ZESZYTY WROCŁAWSKIE

KWARTALNIK KRYTYCZNO-LITERACKI

4

JULIAN KRZYŻANOWSKI
TADEUSZ MIKULSKI
JULIAN LEWAŃSKI
JERZY KOWALSKI

*

MARIA DĄBROWSKA
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
WOJCIECH ŻUKROWSKI
ANNA KOWALSKA
JEAN GIRAUDOUX

*

ANNA NIKLIBORCOWA
ZOFIA GOSTOMSKA-ZARZYCKA
RECENZJE — KRONIKA — SPRAWOZDANIA

WROCŁAW 1947

ZESZYTY WROCŁAWSKIE

KWARTALNIK KRYTYCZNO-LITERACKI

4

WROCŁAW 1947

Zam. 375 *Drukarnia Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu* F 17330

JULIAN KRZYŻANOWSKI

ADAM ASNYK
POETA CZASÓW NIEPOETYCKICH

Nasze zaległości i zaniedbania naukowe wobec literatury czasów Prusa i Sienkiewicza są powszechnie znane. O czołowych pisarzach z epoki t. zw. pozytywizmu i o ich znakomitych nieraz dziełach wiemy stosunkowo bardzo niewiele. Krytyczne wydania ich puścizny, ich biografie, monografie wreszcie o nich wciąż są postulatami, bez których spełnienia niepodobna myśleć o ich poprawnej ocenie naukowo-literackiej.

Dotyczy to powieściopisarzy, dramaturgów i tak nielicznych poetów owych czasów, w pierwszym zaś rzędzie Adama Asnyka. Wprawdzie w r. 1938, w stulecie urodzin, doczekał się on wzorowego wydania swych dzieł, opracowanego przez H. Schippera, objęło ono jednak zaledwie dwa tomy i nie zdążywszy się upowszechnić uległo zniszczeniu. Wprawdzie sporo materiałów biograficznych ogłosił wydawca korespondencji Asnyka, A. Mikulski, dokumentów tych jednak dotąd niepodobna było wyzyskać. Wprawdzie K. Wóycicki pracowicie ustalił dzieje popularności Asnyka u współczesnych poecie pokoleń, ale już same pogłosy, przez studium to wywołane, dowiodły, ile w dziedzinie tej pozostało do zrobienia. Wyniki zaś dzisiejszej naszej wiedzy o twórcy „Albumu pieśni" są raczej nikłe, by nie rzec żałosne. Wahają się między biegunami tak od siebie odległymi, jak pasowanie poety na „wieszcza", co wedle naszych nawyków stanowi najwyższą klasę w hierarchii wartości literackich, a nieuzasadnione lekceważenie, mimochodem zaznaczane, ilekroć dzisiejsza publicystyka literacka o sprawy te potrąca.

Może więc w pięćdziesięciolecie śmierci Asnyka warto rzucić okiem na całość jego dorobku pisarskiego, by — choćby najogólniej — zdać sobie sprawę, czym był, co osiągnął i pozostawił po sobie ten niezwykły poeta, któremu losy żyć kazały w czasach, gdy w życiu zbiorowym dla poezji brakło miejsca, a który jednak dochował jej wiary, co więcej, zdołał dla niej zdobyć uznanie.

Chciejcie być skromni, zrozumiali, prości
Panujcie myślą nad słuchaczów gminem,
I budźcie w sercach pragnienie piękności;
Niechaj pieśń wasza będzie dobrym winem,
Co by nas mogło rozgrzewać w starości;
Lecz nie szukajcie kłótni z Apollinem,
I gdy was rada nie powstrzyma nasza,
Wspomnijcie sobie na losy Marsjasza —

przemawia w ujęciu Asnyka ,,publiczność do poetów''; emerytom duchowym, traktującym poezję na równi z pantoflami i zbiorem praktycznych rad dla młodzieży, obficie zaprawionym uczonymi cytatami z mitologii greckiej, odwiadają poeci:

Wzrośliśmy także wśród dziwnego świata,
Co się zapału i uniesień wstydzi,
Co każdym wzniosłym uczuciem pomiata,
I wszędzie szuka śmieszności i szydzi;
Bawi go jeszcze arlekińska szata,
Lecz ani kocha, ani nienawidzi!...
I to jest nasze największe przekleństwo:
Otaczające nas dziś społeczeństwo!

Tyrada przeciw wiekowi, ,,co wczesnej doczekał starości'', kończy się strofą, która wygląda na mimowolną i bezwiedną parodię programu poezji przyszłości w ,,Beniowskim'':

Potępcie, gdy chcecie,
Przy was jest słuszność, przy was jest zwycięstwo,
Lecz tę rozważcie smutną okoliczność:
Tacy poeci, jaka jest publiczność!

W tak dziwnie płaskie rymy odziany wiersz Asnyka odtwarzał poprawnie istotny stan rzeczy, z tą tylko różnicą, że wystąpienia publicystów przeciw poezji bywały w tonie daleko ostrzejsze, nieraz wprost wulgarne. Celo-

wał w nich zwłaszcza nieposkromiony Świętochowski, pisząc na temat „Pleśni społecznej i literackiej“ ni mniej ni więcej, tylko:

> Tych genialnych wieszczów, którzy kamienieją na widok spustoszeń, jakie nauka w ich wycacanym świecie zrobiła, należy uważać jako szkodliwe owady, jako ostatki maruderów, których po kątach wystrzeliwać należy. Nikt nie ma prawa stawać przed społeczeństwem z myślą zwietrzałą, czczą, na której starość trujący osad położyła. Szanujemy tylko talenta, które biegną równolegle z wartkim potokiem czasu lub go wyprzedzają, a śmiejemy się z tych, którzy kwilą w ukryciu, że żółwim ich czołganiom brak oklasków.

Rezultatem sporu, w którym zarzut starości padał pod adresem przeciwnika z obydwu stron, było jedno, zjawisko typowe dla literatury drugiej połowy w. XIX, ucieczka od poezji tych, którzy uciec od niej mogli w opłotki powieści lub dramatu, by tam z biegiem czasu wywalczyć prawa należne swej indywidualności twórczej. Cóż jednak pozostawało tym, których indywidualność na zmianę pola twórczego nie pozwalała, którym biologiczny nakaz narzucał właśnie formę poetycką? Pozostawał im tylko kompromis między dwoma nakazami sprzecznymi, psychologicznym i socjologicznym, a więc twórczość poetycka zgodna „z wartkim potokiem czasu“, pojęta jako służba hasłom poczytywanym przez epokę za dogmatyczny katechizm obywatelski, reszta zaś zależała, całkiem tak samo jak u powieściopisarzy, od tego, czy dana indywidualność potrafi się ostać i ostatecznie odnieść zwycięstwo.

Osaczana przez krytyków zajadłych polska „dziatwa Apollina“ nie mogła liczyć na jakąkolwiek odsiecz obcą, gdzie indziej bowiem działo się dokładnie to samo. W Anglii, skąd niegdyś płomieniem po kontynencie biegły gromkie hasła Byrona, do godności „poety laureata“ urósł Alfred Tennyson, na wyżynach rymowanej myśli filozoficznej usiłujący znaleźć przytułek dla poezji, we Francji zaś miotał się wprawdzie jeszcze niedobitek romantyczny, V. Hugo, posłuch jednakże budziły nie jego starcze wiersze, lecz poezja Parnasistów, zamykających się przed pospolitością życia w wytwornych willach poetyckich, by w utworach Leconte de Lisle’a, Sully-Prudhomme’a czy

J. M. Heredii snuć egzotyczne pomysły czerpane z świata starożytnego, z dalekich krain wschodnich, z przędziwa myśli filozoficznej wreszcie, jeśli zaś wychylali się stamtąd na ulice i place powszedniości, zdobywali, jak François Coppée, uznanie tym, że szli w kierunku, wyznaczanym przez powieść, tj. w poezję usiłowali przekształcać sprawy, rozbrzmiewające w ówczesnej publicystyce, przede wszystkim sprawy społeczne. Położenie więc poezji polskiej nie odbiegało od ogólno-europejskiego, kryzys poezji był zjawiskiem owych lat powszechnym. Cechą jego niewątpliwie korzystną było to tylko, że Parnas europejski stał się siedzibą elity pisarskiej, że nie usiłowały się nań wdzierać miernoty, znajdujące dla swych miernych zdolności zastosowanie w dostępniejszych dziedzinach pracy literackiej, zwłaszcza w pozornie łatwej noweli, elitaryzm zaś poetycki automatycznie wywoływał doskonałość rzemiosła pisarskiego, jubilerstwo i cyzelerstwo słowa, związane zazwyczaj z ideałami klasycystycznymi, widocznymi już w samym doborze tematów, przypominających ,,uczoną poezję" pokrewnych epok dawniejszych, renesansową czy rokokową. U nas wymownym dokumentem tak właśnie układających się stosunków stała się twórczość Asnyka i Konopnickiej.

Adam Asnyk (2. IX. 1838 — 2. VIII. 1897), z pochodzenia Kaliszanin, z wykształcenia socjolog, legitymujący się doktoratem uniwersyteckim, uczestnik czerwonego rządu powstańczego, w którym kolegował z Narzymskim, po upadku powstania osiadł ostatecznie w Galicji, gdzie zawodowo pracował w dziennikarstwie, jako redaktor krakowskiej ,,Nowej Reformy" i brał żywy udział w życiu politycznym i społecznym, jako szermierz haseł demokratycznych, zadokumentowanych między innymi założeniem instytucji z biegiem czasu tak doniosłej jak TSL. Nieodzownej w pracach tych kulturze intelektualnej towarzyszyła u Asnyka niepospolita kultura literacka, zaświadczona przez jego przekłady poetów obcych, Horacego, Dantego, Shelley'a, Longfellow'a, Tennysona i kilku liryków niemieckich, oraz niezwykle interesujące studia literackie, takie jak prześliczny szkic o ,,Antygonie" lub rozprawka o ,,Królu Duchu",

pierwsza wnikliwa interpretacja arcydzieła Słowackiego torująca drogi jego przyszłym badaniom.

Z kultury tej wyrosły również próby dramatyczne Asnyka, jego tragedie i komedie, interesujące jako eksperymenty literackie, obojętne jako dzieła sztuki, nie wniosły one bowiem niczego naprawdę cennego do wielkiego repertuaru teatralnego. Tak więc tragedie historyczne „Cola Rienzi“ (1874) i „Kiejstut“ (1878) reprezentują typ pospolitej tragedii szekspirowskiej, tak „Żyd“ (1875) jest banalną komedią społeczną, przeładowaną efektami melodramatycznymi, z komedii zaś salonowych „Przyjaciele Hioba“ (1879) i „Komedia konkursowa“ (1888) są zajmującymi obrazkami życia literackiego, ujętego przez pryzmat satyry na światek artystyczny krakowski i stosunek do niego publiczności. Z utworów tych największe zainteresowanie budzi niewątpliwie „Kiejstut“, dramatyczne ujęcie „Konrada Wallenroda“ o charakterze rewizjonistycznym, próba ukazania tylekroć dyskutowanego problemu zdrady ze stanowiska tego kręgu, z którego zdrajca wyszedł, a więc litewskiego a nie krzyżackiego. Rzecz jasna, że tak ujęty dramat liczyć mógł jedynie na zainteresowanie wśród znawców i miłośników twórczości Mickiewicza, jego bowiem problematyka była całkowicie niedostępna zwyczajnemu widzowi teatralnemu, skupiającemu uwagę wyłącznie na stronie widowiskowej dzieła, tutaj zaś dramaturg wznieść się nie potrafił nad szablony obowiązujące w czasach Szujskiego czy Bełcikowskiego.

Dlaczego kompozycje o większej rozpiętości nie udawały się Asnykowi, odgadnąć nie trudno, gdy się rzuci okiem na to, w czym jego indywidualność twórcza wypowiedziała się w całej pełni, na cztery tomy jego „Poezyj“ (1869, 1872, 1880, 1894) a raczej na trzy tylko, w ostatnim bowiem pojawił się również „Kiejstut“, tomy składające się niemal wyłącznie z rzeczy lirycznych, ujmowanych niejednokrotnie w cykle, przy czym najgłośniejszy z nich, „Nad Głębiami“ w formie trzydziestu sonetów zamyka treść, którą inny poeta byłby wyraził w dłuższym poemacie opisowym czy opisowo-refleksyjnym. Rzut oka przekonywa. że Asnyk był lirykiem miniaturzystą, że duch epiki był mu

całkowicie obcy, że po pierwszym z nim nieporozumieniu, tj. po młodzieńczym poemacie „Sen grobów“ poeta, stawiający sobie bardzo górne wymagania, z wędrówki po szlakach, na których nie czuł się swobodnie, najoczywiściej zrezygnował. Ale też dzięki temu właśnie dorobek poetycki Asnyka uderza zdumiewającą jednolitością, jego walory tak najwyższe, jak najniższe występują zarówno w najwcześniejszych utworach jak w pisanych pod koniec życia. Pierwsze z nich to śmiałe loty w dziedzinę myśli, w świat abstrakcji, drugie zaś to wędrówka przez codzienność, zawodnymi nieraz blaskami poezji podnoszoną na wyżyny sztuki. Na polu elipsy zakreślonej od obydwu tych ognisk wystąpi całe bogactwo Muzy Asnykowej, cała skala jej twórczych możliwości. Dół owej skali stanowią wiersze mieszczańskie, błyskami ironii lub sentymentu, lub jednymi i drugimi oświecone drobne fragmenty codzienności miejskiej, inteligenckiej, literackiej, tematami przypominające rymy Rodocia czy Bałuckiego, wolne jednak od rubaszności, a więc „Na przedpieklu“, „Karnawałowy lament poety“, „Scherzo“, „Nawrócenie“ czy „Abdykacja“. Obrazek o zacięciu gawędowym ujęty w wykwintne strofy liryczne, pozbawiony jednak wtóru lirycznego: „Sukienkę miała w paseczki Perkalikową... Nie było piękniejszej dzieweczki, Daję wam słowo“, inaczej „Abdykacja“ ilustruje ten rodzaj najdoskonalej; kończący strofkę zwrot najzupełniej prozaiczny, owo „Daję wam słowo“, stanowi smugę szarzyzny w obrazku, w którym „poranki słodkiej ekstazy, rajskich pożądań owoce, gwiaździstych sfer krajobrazy“ przekształcają się w kontur banalnej sali balowej, wtór zaś liryczny „znikły, ach, czary“, zanika zupełnie dzięki banalnemu „ach“, którego Asnyk będzie używał i nadużywał w całej swej twórczości. W grupie tej snuje się tradycyjny element miłosny, dostosowany najzupełniej do jej charakteru. Uchwycić go najłatwiej w „Karmelkowym wierszu“ motywem donkiszotyzmu spokrewnionym bezwiednie z elegią Norwida „Epos nasza“; gdy Norwid z melancholią akcentował „bo i ja miałem Dulcyneę moją“ i poczytywał się za potomka goniącego za prawdą rycerza, Asnyk „śmieszną donkiszoterię“ i gotowość „za Dulcyneę z Tobozo stanąć do walki“ traktuje jako stadium przezwyciężone:

Lecz dziś komedię salonu
Jak człowiek dobrego tonu
Na wylot znam,

Z serca pożytek niewielki,
Więc mam w zapasie karmelki
Dla dam.

Wytworna impertynencja, rezultat opanowania żywiołowości przez tresurę salonową, staje się najwyższym wyrazem stosunków człowieka do spraw, które niedawno jeszcze uchodziły za najgłębsze źródło najgórniejszych przeżyć tragicznych. Patos bowiem tragiczny był Asnykowi obcy. W postawie młodego, przedwcześnie zresztą postarzałego poety, nawet w dziedzinie przeżyć miłosnych, naczelne miejsce zajęła ironia. Mniej bolesna niż u Musseta, mniej szydercza aniżeli u Heinego, a poetów tych wymienić się tu godzi, patronowali oni bowiem pokoleniu, do którego należał Asnyk, w jego właśnie erotykach doszła ona do głosu w liryce polskiej i upowszechniła się w niej na długie lata. Stanowiła ona maskę ochronną przeciw prozie codzienności, wdzierającej się w świat poezji i ułatwiała przetwarzanie banalnej szarzyzny w motywy co najmniej niebanalne. Maska ironisty odpowiadała Asnykowi, poecie-intelektualiście, ironia bowiem pojawia się zawsze tam, gdzie opanowanie intelektualne pozwala w zjawiskach komicznych dostrzegać coś więcej, aniżeli sam komizm i w ten sposób ratować jakieś narażone na ośmieszenie wartości.

Asnykowskie jednak pętanie żywiołowości nie da się sprowadzić jedynie do postawy ironicznej. Zdumiewające bowiem opanowanie wystąpiło również w ,,Albumie pieśni", zbiorze pełnych wdzięku i subtelności erotyków, odtwarzających własne, osobiste przeżycia poety, któremu w miłości się nie darzyło, jako że z panną, do której cykl był skierowany, pobrać mu się nie dano, miłość zaś druga, uwieńczona małżeństwem, okryła poetę żałobą, po krótkim bowiem pożyciu żona mu umarła. ,,Między nami nic nie było", ,,Posyłam kwiaty", ,,Ja ciebie kocham", ,,Rezygnacja" — wyrazy tęsknoty, uwielbienia, rozczarowania i smutku dzwonią wdzięczną muzyką słów, które raczej kryją i przesłaniają życie uczuciowe, aniżeli je odtwarzają bez-

pośrednio. Zdarzają się wśród nich przedziwności, naszej dawnej liryce miłosnej nieznane, wznoszące się na poziom, ustalony niegdyś przez Shelley'a, którego znawcą i wielbicielem był Asnyk, co zadokumentował i tajemniczym wierszem „Do“, sławiącym prometydę romantycznego jako ducha bratniego, i bardzo pięknymi przekładami dwu jego liryków. Nie dający się opisać wdzięk, lekkość i subtelność migawkowo uchwyconych wrażeń, ujmowanych przez pryzmat zjawisk przyrody, tłumiący bezpośredniość głębokiego przeżycia, wieje z „Tęsknoty“:

Obłoki, co z ziemi wstają
I płyną w słońca blask złoty,
Ach, one mi się być zdają
Skrzydłami mojej tęsknoty.

Te białe skrzydła powiewne
Często nad ziemią obwisną,
Łzy po nich spływają rzewne,
Czasem i tęczą zabłysną.

Gwiazdy co krążą w przestrzeniach
Po drogach nieskończoności,
One są dla mnie w marzeniach
Oczami mojej miłości.

Patrzą się w ciemne odmęty,
Te wielkie ruchome słońca —
A ja, miłością przejęty,
Patrzę i tęsknię bez końca.

Przedziwności takie, a należy do nich „Różowa chwilka“ lub „Na śniegu“, są jednak wyjątkami, na ogół bowiem erotyki Asnyka mają charakter wyznań dobrze wychowanego młodzieńca zwróconych do bardzo dobrze wychowanej panny, a tak poprawnych, że są chyba unikakatem w liryce miłosnej świata. Tym tłumaczy się zachwyt, jaki budziły w sercu przedstawicielek pokolenia Maryni Połanieckiej, zachwyt zadokumentowany pracą kilkudziesięciu kompozytorów, którzy na wyścigi dorabiali do liryków Asnyka wdzięczne melodie, dzięki czemu „Album pieśni“ stało się istotnie zbiorem pieśni w pełnym tego słowa znaczeniu, pieśni niezliczoną ilość razy śpiewanych z estrady przez najpopularniejszych śpiewaków i śpie-

waczki. Okazało się bowiem, że młody poeta zdołał dokazać cudu, mimo powszedniej i banalnej tematyki („Tacy poeci, jaka jest publiczność“ — sam przecież stwierdzał na progu swej kariery) potrafił on utworowi lirycznemu przywrócić jego charakter pierwotny, właściwy, pieśniowy, czarem swoistego, dzisiaj nieraz trudnego do odczucia piękna opromieniając sprawy i wydarzenia najpospolitsze i najbanalniejsze. Skłonność zaś do banału nigdzie u Asnyka nie wystąpiła dobitniej niż w cyklu „Z motywów ludowych“, jaskrawo uwydatniającym mieszczańskość poety, któremu charakter pieśni wiejskiej pozostał całkowicie obcy. Z wyjątkiem „Czarów“, które z pieśnią ludową nic wspólnego nie mają, reszta to wariacje pomysłów Lenartowicza, urozmaiconych konceptami godnymi Jachowicza; w środowisku, w którym nie bez współczucia mówiło się na przyjęciach salonowych o biednych kmiotkach, ginących wskutek barbarzyńskiej ciemnoty, wzruszano się trelami wydekoltowanej śpiewaczki, lamentującej słowami „Słonka“, które na żale smutnego sieroty odpowiada, że i ono jest smutne i kończy morałem bez potrzeby i pokrycia:

Nie pomogą próżne żale...
Ból swój niebu trza polecić,
A samemu wciąż wytrwale
Trzeba naprzód iść... i świecić.

Kontrast między fałszem tego banału a jego popularnością mógł wywołać przy zmienionych warunkach reakcję bardzo nawet ostrą, stąd dziwić się niepodobna, że Asnyk pod koniec życia spotkał się z dotkliwym pamfletem K. Tetmajera, odzianym w szatę obrazka „Laureata“; wielbiony w mówkach jubileuszowych „apostoł ducha“ spostrzega z przerażeniem, że dla mieszkańców suteren niczego nie zrobił, że światło jego dzieł w mroki nędzy ludzkiej dotrzeć nie potrafi.

Atak młodego autora „Melancholii“ nie był odosobniony; czytając pracowicie przez K. Wóycickiego zestawione materiały ukazujące „Asnyka wśród prądów epoki“ tj. ustalające stosunek poety do obozów polityczno-społecznych jego czasów, dochodzi się do przekonania, że żaden inny poeta polski nie wywołał tylu rymowanych sporów i polemik, co on właśnie. Przyczyna tego jest jasna.

Asnyk przez lata całe parający się publicystyką, narowy i maniery dziennikarskie przenosił do swej twórczości literackiej i na sprawy, z którymi nie mógł czy nie chciał się solidaryzować, reagował rymowanymi wycieczkami, na które odpowiadano prozą i wierszem, przy czym wśród przeciwników jego spotykamy obok przeróżnych grafomanów i grafomanek nazwiska poetów starszych i młodszych, Czesława Jankowskiego, A. Niemojewskiego, L. Szczepańskiego i in. Publicystyczny temperament Asnyka zmuszał go do harców wielostronnych, politycznych, społecznych, artystycznych, atakował on tedy zarówno przeciwników z obozu stańczykowskiego, jak naiwnych w swej buńczuczności szermierzy pozytywizmu na gruncie warszawskim, raził go w równej mierze serwilizm społeczeństwa w ,,Galicji i Lodomerii'', jak radykalizm socjalistyczny postępowców krakowskich, trudno mu wreszcie było pogodzić się z hasłami artystycznymi modnego dekadentyzmu, tj. z wystąpieniami pierwszych pionierów neoromantyzmu. Myśliciela, wnikającego w istotę życia, miłośnika kulturalnego umiaru, człowieka z akademickim spokojem obserwującego nurt życia i odróżniającego skrytą prawdę od fałszywych pozorów, drażniła demagogiczna hałaśliwość ludzi i grup ludzkich, usiłujących przekonać świat cały, iż tylko oni posiedli prawdę niedostępną dla innych; tę właśnie jarmarczną chełpliwość Asnyk smagał biczem satyry, ironicznej, często złośliwej a zawsze dowcipnej. Satyry jednak dziennikarskiej, nie wznoszącej się na olimpijskie wyżyny, znane z czasów romantyzmu, satyry ośmieszającej a nie kładącej trupem. Tak w ataku na ,,Historyczną nową szkołę'', która ,,nowym łokciem dzieje mierzy'', punkt kulminacyjny stanowi zwrotka:

W pełnym świetle jej dochodzeń
Jasną gwiazdą lśni despotyzm,
I wychodzi czysto na wierzch
Targowicy patriotyzm,
Gdyż Kościuszko to był wariat,
Co buntował proletariat.

Tak mistrzowskim okazem satyry literackiej jest ,,Napad na Parnas'', gdzie ,,Apollina służba głodna'' znalazła

kąt „ciepły, cichy i wygodny". Najpopularniejsze hasła naukowe zmieniły się tu w broń napastników:

Gmin się burzy, rwie się czeladź
I przekupki i studenci,
Wszyscy krzyczą: „Siec i strzelać!
Niechaj giną wniebowzięci!"

Wydostali gdzieś z przedpiekla
Pozytywnych dział baterię,
W pękające bomby Haeckla
Uzbroili artylerię.

Przypasali miecz Darwina
Mściwi, groźni i zajadli,
Na drzemiących wieszczów wpadli...
I do gaju Apollina

Induktywną swą metodą,
Ewolucji chytrą sztuką,
Jednych rąbią, drugich bodą,
W prawo, w lewo tną i tłuką.

Publicystyka asnykowska nie ogranicza się jednak do samej tylko satyry, do wycieczek i harców z tym, przeciw czemu burzyła się myśl poety; obok przeczenia występują tu z siłą niemniejszą przyświadczenia temu, co autor „Napadu na Parnas" poczytywał za wartości godne zalecenia, satyrze towarzyszą wiersze programowe, rozprawki czy artykuły wstępne z takimi czy innymi wskazaniami. Należą do nich tedy „Publiczność do poetów" i „Poeci do publiczności", odpowiednik dawnych listów Morawskiego do klasyków i romantyków, zawierający spokojne rozważenie wszelkich za i przeciw w sprawie stosunku poezji do życia; serię tę rozpoczętą na progu twórczości zamyka wiersz „Przed jutrem" u jej schyłku, szczyt jej zaś stanowi zdumiewająca swą głębią elegia „W dwudziestą piątą rocznicę powstania 1863 roku", rodzaj autobiografii nie pisarza lecz pokolenia, którego był rzecznikiem. Elegia ocenie powstania romantycznego poświęcona jest najgłębszą charakterystyką romantyzmu polskiego, ujętą ze stanowiska tego, co stanowiło jego istotę, tj. jego nurtu politycznego, wydobywającego się na powierzchnię życia nie tylko i nie tyle słowem „wieszczów krwawiących swe piersi łabędzie",

co życiem „męczenników rwących się do czynu“, nurtu „co jak krwawy wątek przebiegał dziejów pogrobowych kartę, zbrojąc wciąż serca pokoleń uparte“, aby w porywie powstańczym

ostatnim orężnym protestem
Zapisać w dziejach nieśmiertelne: jestem!

Wnikliwe zrozumienie istoty romantyzmu otrzymało pod piórem Asnyka wydźwięk bardzo niezwykły, wznoszący elegię ponad to wszystko, co apologeci powstania kiedykolwiek wypowiedzieli; nie tłumiąc bynajmniej akcentów satyrycznych, nie cofając się przed napiętnowaniem tych, którzy wyzbyli się „ostatnich błysków narodowej dumy“, Asnyk potrafił jednak wznieść się do uznania dla przeciwników ruchu zbrojnego, przedstawicieli nowych haseł politycznych. Stąd w poemacie, który w aureoli wspomnień ukazał ekstatyczne, ostatnie blaski mesjanizmu, znalazło się zrozumienie dla „pokolenia milczącego i smutnego“, które odrzucając orężne wczoraj, pracę uznało za narzędzie dalszej walki i nie szczędząc przeszłości, w istocie rzeczy, choć po innych szlakach dążyło do tego samego wspólnego celu:

Lecz chociaż droga nasza się rozchodzi,
A chłód wasz lodem spada nam na serce —
My błogosławim wam, rycerze młodzi,
Narodowego długu spadkobierce,
I na trud przyszłych, mozolnych wyzwoleń
Niesiem życzenia gasnących pokoleń.

Pełne głębokiej, mądrej wyrozumiałości spojrzenie poety na tradycyjny antagonizm pokoleń, rozwiązanie tego antagonizmu ze stanowiska, na które ani Mickiewicz ani Słowacki wznieść się nie potrafili, było u Asnyka wynikiem jego filozoficznego stosunku do życia, jego ewolucjonistycznego sposobu myślenia, rozwiązującego sprzeczności, tak jaskrawo uwypuklane przez głosicieli rewolucji jako jedynego sposobu załatwienia najbardziej piekących zagadnień istnienia społecznego. Droga do tych wyżyn wiodła przez stosunek poety do przyrody, ujmowany w kategoriach ówczesnej myśli filozoficznej, i właśnie w tej dziedzinie najpełniej ujawniła się górna skala możliwości twórczych autora „Nad głębiami“.

O matko ziemio, dobra karmicielko!
Żywisz nas hojnie przy swej piersi mlecznej
Niebieskiej rosy ożywczą kropelką,
I promieniami jasności słonecznej,
Które przerabiasz na chleb, co się mnoży
Codziennym cudem wiecznej myśli bożej.

„Wstęp“ do cyklu „W Tatrach“ ukazuje w zwięzłym skrócie cały system filozofii Asnyka, wiążący w jedność energię słoneczną i chleb codzienny, i cud tak spowszechniały, że jego niezwykłość tylko wzrokowi myśliciel odsłania się w całej pełni. Wzrok ten dostrzegał istotną jedność człowieka i przyrody odnajdywaną nie w chwili ekstazy mistycznej, jak w „Przedświcie“ czy „Genezis z ducha“, lecz zdobytą drogą stopniowego, harmonijnego wysiłku poznawczego, drogą żmudnych dociekań myślowych, wiodącą przez szlaki obcowania z pracą kilku pokoleń filozofów, od Kanta począwszy, poprzez jego spadkobierców, Schopenhauera, Hartmanna, Fechnera i jego przeciwników, Comte'a czy Spencera, a zgodną z wrodzonymi skłonnościami samego Asnyka. Na drodze tej, której początki stwierdzić można już u samego progu twórczości poety, spotyka się raz po raz próby ujęcia zasadniczych konturów zagadnienia jej centralnego, takie jak „Kamień“, zdumiewająco bliski podstawowym poglądom „Genezis z ducha“, choć bezpośrednie pokrewieństwo przypuścić tutaj trudno, momentem jednak rozstrzygającym była tu wycieczka tatrzańska, upamiętniona zdobyciem Wysokiej. W cieniu masywu jej, w mrokach Czeskiej doliny, w kotle jej stawu wyżniego, doszło do ostatecznego ustalenia podstawowego zrębu poglądów, których wyrazem stała się elegia filozoficzna „Noc pod Wysoką“, a które ujęcie bardziej precyzyjne otrzymały w cyklu sonetów „Nad głębiami“. Osią poglądów tych stało się zagadnienie stosunku człowieka do przyrody, a raczej do wszechświata, podejmowane i rozwiązywane przez romantyków w duchu monistyczno-spirytualistycznym, w czasach zaś wszechwładztwa nauk przyrodniczych w duchu ewolucjonizmu darwinowskiego, czyli — co na jedno wyjdzie — monizmu materialistycznego. „Noc pod Wysoką“ idzie w kierunku ostatnim, pozbawionym jednak płaskości i brutalności wyznawców

takich pseudofilozofów, jak uwielbiany podówczas Haeckel. Taternik z „Nocy pod Wysoką" mógłby rzec o sobie słowami Konrada: „przyszedłem tutaj zbrojny całą myśli władzą", z większą jednak od herosa romantycznego słusznością, z narzędzia myśli bowiem umie on zrobić właściwy użytek. Narzędzie to pozwala mu bezbłędnie rozwiązać antynomię, nad którą od wieków biedziła się myśl ludzka, sprzeczność stanowisk deterministycznego i indeterministycznego. Odziany w zbroję myśli nowoczesnej, pozwalającej mu zrozumieć twarde prawa przyrody, spod których człowiekowi wyłamać się niepodobna, potrafi on jednak ocalić wartość wolnych poczynań ludzkich, dobrowolnie bowiem uzależnia je od nakazów przyrody, by za tę cenę zdobyć umiejętność jej opanowania. Nie bunt przeciw przyrodzie, lecz współpraca z nią stwarza podstawę istnienia i trwania ludzkiego. Gwarancją jej staje się wyzwolenie z grozy, którą budzą tajniki przyrody, oświetlenie ich błyskami wiedzy zmienia grożącą zagładą półkę skalną w pewne oparcie dla stóp wyszkolonego zdobywcy niedostępnych turni:

Więc w rozpostartej na przepaściach nocy
Duch mój wstępował na gwiaździste wozy
I tracił z oczu ludzkich istnień chwile
I wydeptany ślad na ziemskiej bryle,
I zapominał o swojej obroży,
I o boleści, co go we śnie trwoży.
. . . .
Więc w rozpostartej na przepaściach nocy
Już opuszczenia nie czuł i niemocy,
I mógł się poddać jako drobny atom
Tej twórczej myśli co przewodzi światom,
I z nieodmiennym zgodzić się wyrokiem,
I odpoczywać, jak pod matki okiem.

Kompleks zagadnień, który w elegii tatrzańskiej zachował ciepło bezpośredniego, głębokiego przeżycia intelektualnego, drgający jeszcze bezpośredniością wysiłku poznawczego, postać bezosobową, obiektywną, dogmatyczną niemal, otrzymał dopiero znacznie później, odziany w kunsztowną formę sonetów, ułożonych ostatecznie w cykl-traktat „Nad głębiami". Starannie oszlifowane jego ogniwa ułożyły się w encyklopedyczny zarys podstawowych proble-

mów metafizycznych, teoriopoznawczych i etycznych, znamiennych i dla pisarza i jego czasów, zarys przemyślany gruntownie, logicznie nienaganny, artystycznie cenny dla precyzji i sposobu jej wyrażenia. Dzięki temu sonety „Nad głębiami" stały się wyrazem dorobku myśli europejskiej, osiągniętym pod koniec w. XIX, płodnym zresztą, jak się dalej okaże, również dla czasów późniejszych, z owego właśnie dorobku czerpiących. Metafizyka asnykowska, szczególnie wymowna w części kosmogonicznej, odtwarza poglądy związane z nazwiskami Kanta i Laplace'a, i otrzymała postać odpowiadającą wymaganiom nauki, opartej nie tyle na śmiałej spekulacji, co na wynikach cierpliwych eksperymentów. Jako czynnik osłaniający ją przed atakami sceptycyzmu wystąpiła tu teoria poznania, wyrastająca z założeń krytycznych Kanta, a więc akcentująca względność naszego poznania. Pomostem wreszcie między istnieniem wszechświata a życiem ludzkim stał się dla Asnyka ewolucjonizm przyrodniczy, prawo rozwoju form gatunkowych od najniższych po najwyższe, ewolucjonizm jednak w świecie stosunków ludzkich złagodzony przez zasady, które pod koniec stulecia otrzymały postać systemu myśli społecznej, zwanego solidaryzmem; nie prawo pięści, przyjmowane w przyrodzie jako walka o byt, lecz harmonijna współpraca i wzajemna współzależność, gdy „odpowiadają na wypadków szali każdy za wszystkich, za każdego wszyscy", rządzi życiem ludzkim, indywidualnym i. zbiorowym, staje się prawem, normującym bytowanie człowiecze, nakazem etycznym, gwarantującym rozwój ludzkości na szlakach, których ostatecznego końca niepodobna dostrzec okiem śmiertelnym. Chcąc dla stanowiska Asnyka jako twórcy „Nad głębiami" znaleźć formułkę, ujmującą całość jego poglądów filozoficznych w poemacie tym wyrażonych użyć by można terminu — panteizm. Mieć on tu może uzasadnienie zarówno dobre, jak w zastosowaniu do twórczości Shelley'a, zarówno bowiem metafizyka poety polskiego, przyjmująca wyłanianie się bytu z istoty, która światem kieruje, jak jego solidarystyczna etyka wyrastają z tego samego podłoża i dopełniają się wzajemnie; podstawą ich jest przyjęcie identycznych pierwiastków w przyrodzie i człowieku oraz jeśli nie identyczność, to przynajmniej analogia między

rozwojem wszechświata a rozwojem ludzkości, podległych temu samemu prawu. Dzięki temu właśnie system Asnyka wywiera wrażenie tworu myślowego jednolitego i harmonijnego, starannie opracowanego przez myśl i dokładnie opanowanego przez wyobraźnię poety. W tak ujętym systemie myśl poety rozprawiła się z dwoma pokrewnymi zagadnieniami, z których pierwsze było podnietą powstawania wszystkich systemów filozoficznych od czasu, gdy ludzkość tworzyć je poczęła, drugie zaś miało szczególnie doniosłe znaczenie dla Polaka w. XIX, obojętna: romantyka, czy przeciwnika romantyzmu, z zagadnieniami śmierci indywiduum i śmierci narodu. Żądło śmierci myśl poety usiłowała unicestwić, przyjmując, że jest ona niezbędnym zjawiskiem w świecie istnień, przejściem od jednego stanu rozwojowego do innego, doskonalszego, nie zagładą lecz przekształceniem, zagładzie bowiem podlega to tylko, co jest przejawem zła, co stanowi nieharmonijne odchylenie od pionu życia zbiorowego, czego zatem pokolenia dalsze do skarbnicy wspólnego dorobku przejąć nie będą mogły. Ponieważ zaś naród jest zbiorem pokoleń, przeto automatycznie ulec nie może zagładzie, o ile tylko sam na nią się nie zgodzi, nie popełni „samobójstwa ducha". Prędzej czy później musi się on odrodzić, chociaż w stadium śmierci politycznej „musi zatracić niejeden rys miły, i wdzięk w dawniejszym uwielbiany czasie", byle nie zatracił tego, co stanowi jego istotę. Zgodnie z prawami rządzącymi rozwojem życia musi on „nową postać wziąć i nowe siły, i nowych wieków oręż mieć w zapasie" — i z tego stanowiska zrozumieć można ową mądrą wyrozumiałość, tak dobitnie zaznaczającą się wobec nowych pokoleń w elegii o powstaniu styczniowym. W rezultacie więc myśl poety, „zbrojna całą myśli władzą", obejmująca najbardziej powikłane zagadnienia bytu jednostkowego i zbiorowego, człowieka, ludzkości i wszechświata, dotarła do tych samych wyżyn, na których systemy swe wznosili poeci i myśliciele romantyczni, by osiągnąć jeśli nie te same to przynajmniej bardzo zbliżone wyniki, jakkolwiek i jej punkt wyjścia i sposób rozumowania były całkowicie odmienne, jakkolwiek w pracy swej posługiwała się ona kategoriami nie indywidualnymi i nie nacjonalnymi lecz

uniwersalnymi, korzeniami bowiem swymi tkwiła nie w jeremiaszowym biadaniu nad bytowaniem ujarzmionego narodu lecz w tym, co uchodziło za przedmiot dumy człowieka białego w dorobku filozoficzno-naukowym wieku XIX; tym samym oczywiście torowała szlaki próbom dalszym, wyrastającym z konsekwencji owego dorobku.

Cykl „Nad głębiami" zamknął równocześnie koło, którego punktem wyjścia był pełen goryczy wiersz „XIX-mu wiekowi", piętnowanemu jako „nauczyciel zgrozy i nicości", jako czas, w którym ziemia woła z jękiem rozpaczy „po co ja żyję, umieram i cierpię". Sonety przyniosły odpowiedź na owe pytania, których postawienie bojowi pozytywiści uznali za obelgę, rzuconą sobie i zareagowali na nią stekiem wymysłów pod adresem autora. Obecnie role się odwróciły i, jak to w traktowaniu dzieł poetyckich jako manifestów politycznych zwykle bywa, atakowany Asnyk okazał się obrońcą najcenniejszych zdobyczy stulecia, jego zaś dawni przeciwnicy pozostali tym czym byli, stadem niezdolnym wznieść się na wyżyny, stadu niedostępne. Twórca „Nad głębiami" znalazł się w świecie swej myśli całkowicie osamotniony, jak przystało człowiekowi, który wybiega przed swe otoczenie czy wzbija się ponad jego poziom.

Osamotnienie Asnyka było rezultatem nie tylko górności jego myśli, niedostępnej dla gawiedzi dziennikarskiej, przyczynił się do niego nie tylko arystokratyzm jego treści filozoficznej, ale również arystokratyzm jego formy, jego niezwykły artyzm. Tam gdzie artyzm wyrastał z tematyki dostępnej ogółowi, budził on zachwyt, artystyczne natomiast ujęcie abstrakcyjnej myśli wymagało od czytelnika wysiłku, na który go nie stać było. Jako artysta zaś Asnyk należy do największych mistrzów słowa poetyckiego w Polsce. „Każdy mój rym, choć najprostszy, szatan swoim szponem ostrzy", pisał on w nieudałym wierszu młodzieńczym, ujmując trafnie podstawową cechę swej twórczości. Składnikami tego artyzmu podstawowymi są zdumiewająca jasność, prostota i precyzja. Z Horacym, Kochanowskim, Mickiewiczem zestawiać go można, w swoim zaś pokoleniu osiągnął on szczyty znane z twórczości Tennysona czy najwybitniejszych parnasistów. Rozmiłowany w pięknie kla-

sycznym, które wielbił w utworach osnutych na motywach z życia starożytnego, wrażliwy jednak, jak parnasiści, również na piękno egzotyczne, dostrzegane w motywach staroegipskich czy indyjskich, utwory swe, przeważnie drobne, cyzelował niesłychanie starannie. Stąd z wyjątkową u niej trafnością, artyzm pisarza oceniła Konopnicka:

> Schedy też swojej nie oddał Asnyk narodowi w chaotycznej rudzie żywiołowego bogactwa i pierwotnej siły. Zostawił mu ją w gotowych, ważnych, mniejszych i większych sztukach złota, które zaraz w obieg szły, niosąc na sobie jasny, mistrzowsko odbity stempel ducha.

Wątpić natomiast wolno, czy w poezji jego nie było „żadnego też aliażu podlejszych, tańszych kruszców, sztuka choćby najmniejsza złotem byłą i dźwięczała złotem", produkowanie bowiem złota nie leżało w programie Asnyka, traktującym poezję jako monetę obiegową, ta zaś nie tylko z jednostek złotych się składa, choć wszystkie skalą złota mierzy. Program mianowicie autora „Nocy pod Wysoką" obejmował zjawiska życia bieżącego, które wznosił na wyżyny poezji, życie zaś codzienne miało swój język daleki od patosu poetyckiego. Stąd właśnie styl Asnyka wchłonął mnóstwo składników najzupełniej prozaicznych, stopionych w nowy twór, uprzedzający próby dzisiejszego ekspresjonizmu, a zharmonizowanych z tematyką samych utworów. Tematyce tedy naukowej towarzyszyło słownictwo naukowe, by nie rzec: żargon podręcznika szkolnego. W elegii tatrzańskiej „drobny atom", „prostopadłe ściany" — nie krzesanice, „dwa wyniesione ostrokręgi (stożki) cieniu", nie wirchy, w sonetach „Nad głębiami" zaś wyrażenia jak „słońc miliony", „nieskończoności łańcuch", „małość atomu", „wirujących światów zbiorowiska", „eter bez skupienia", „światów fizyczna budowa" odznaczają się ścisłością naukową, jakżeż odmienną od metaforycznych obrazów wszechświata w „Wielkiej Improwizacji" czy „Przedświcie", ale równocześnie wnoszą do poezji Asnyka szarzyznę prozy zgoła nie poetyckiej. Podobnie w jego wierszach o charakterze publicystycznym zwroty i wyrażenia żywcem przeniesione z artykułów wstępnych czy felietonów dziennikarskich, niekiedy zresztą użyte dla wywołania zamierzonego efektu komicznego, nadają jego mowie poetyckiej

znamię swoistego stopu, obniżające polot całości, o ile polot ten mierzyć kryteriami patosu romantycznego. Ale bo właśnie użycie owych prozaizmów w najbliższym sąsiedztwie rymów niezwykle wyszukanych, wmieszanie ich w zdania, ujęte w najbardziej wymyślne układy wierszowe i zwrotkowe stanowi o specjalnym uroku liryki asnykowskiej, której wszelka sztuczność, po za bardzo niewielu wyjątkami, jest całkowicie obca.

Tak właśnie utkana szata stylowa, najzupełniej zgodna z tematyką poetycką, stała się przedmiotem wielu nieporozumień, zwłaszcza w środowisku, które w teorii odrzekając się poezji, w praktyce mierzyło ją miarkami, wynoszonymi z lektury ,,Adama" i ,,Juliusza", jak to się podówczas mawiało. Stąd skargi na Asnyka, że nie był prorokiem, stąd złośliwa uwaga Wyspiańskiego, że poeta był orłem ale wypchanym, stąd obrona, głosząca, że był to orzeł zraniony, stąd wreszcie efektowna formułka, traktująca go jako Prometeusza przedzierzgniętego w Anteusza, i sporo innych, mniej błyskotliwych. W gruncie zaś rzeczy był to wielki liryk, jeden z klasyków tego na pozór łatwego rodzaju literackiego, związany ze swą epoką, i jak na prawdziwego klasyka przystało, wybiegający przed nią, mistrz słowa i twórca doskonałych wzorów dla pokolenia następnego, obejmującego prócz epigonów (w rodzaju T. Konczyńskiego lub H. Wrońskiego) całą plejadę neoromantyczną, z Kasprowiczem, Tetmajerem, Żuławskim i Rydlem w pierwszym szeregu.

Poeci ci, czy to piewcy żywiołu, jak dwaj pierwsi, czy natury opanowane przez tresurę kulturalną, jak dwaj drudzy, wyczuwali w twórczości Asnyka walory bardzo niepospolite, dalekie jednak od tego wszystkiego, co u nas tradycyjnie oznacza się przymiotnikiem ,,wieszczy", a co nie pozwala nam wciąż jeszcze dostrzegać wielkości poezji lirycznej Mickiewicza, Słowackiego czy nawet Norwida. Asnyk bowiem, którego ,,communis opinio" traktuje przede wszystkim jako filozofa-moralistę, poeta, z którego cytuje się zazwyczaj banały w rodzaju ,,Trzeba z żywymi naprzód iść", był właśnie poetą, bodajże nawet tragicznym poetą, świadomym własnej niewspółmierności z czasami, poezji zdecydowanie niechętnymi. Zmuszany ustawicznie do kom-

promisów z nimi, usiłował wartość poezji ratować przez opromienianie blaskami jej spraw codzienych i prozaicznych i przez wciąganie w jej orbitę zagadnień, rozwiązywanych przez naukę i filozofię. W ten sposób poeta-intelektualista wiązał poezję z życiem i zdobywał w nim należne jej miejsce. Był jej sługą raczej niż kapłanem i w tym właśnie dopatrywać by się można źródła jego tragizmu!

Warszawa 1942

TADEUSZ MIKULSKI

REYMONT I DUCHY

1

Pisarze chętnie odwiedzają gotowalnię autorską, by przywdziać maskę na twarz. Jest tych masek wielość tak różnorodna, że systematyka sposobów literackiej maskarady nie zapowiada się zbyt ubogo. Najłatwiej przysłonić sobie rysy znakami kryptonimu czy pseudonimu. (Ale zabiegi bibliografów potrafiły uchylić tych maseczek i rozpoznać twarze prawdziwe, które niezawsze stały się przez to bardziej interesujące). Do innych autorów trzeba wołać zamiast bibliografa mistrza z fryzjerni literackiej, by wyzyskał dla charakterystyki postaci wąsy starego Kniaźnina lub wspaniałe czupryny dekadentów z końca stulecia. To także maski, troskliwie pielęgnowane. Kiedy indziej wzywamy krawca, aby uszył pyszną czerwoną kamizelkę dla Teofila Gauthier (jakżeby odbyła się inaczej premiera ,,Hernaniego"?) lub modniarkę wysokiej próby — dla ułożenia białej szaty, w której występuje Deotyma, owładnięta natchnieniem. Są to wszystko maski zewnętrzne (stylizacja stroju lub postaci), nieraz dzieła starannego kunsztu, atrybuty wielkości.

Trudniej, niż obyczaj codzienny poddać stylizacji — całe życie. Trzeba wówczas usunąć z własnej biografii wszystkie wydarzenia i dokumenty, które mogą stanąć w niezgodzie z ideą główną, kierowniczą. Ustawić swoje życie, jak model — najpierw przed czytelnikiem, później przed historykiem, nie wydaje się rzeczą zbyt łatwą.

Jedna z metod — metoda Wacława Berenta — stosuje ostracyzm wobec najmniejszej kartki papieru. Jest to postawa, której trzeba przyznać celowość i skuteczność postępowania: pisarz usuwa i pali wszystko, cokolwiek jest do-

kumentem biograficznym, notaty, listy. Z przebiegu powstawania swojego dzieła niszczy wszelkie materiały, bruliony. Ma zostać po nim,— po Wacławie Berencie — książka. Zamiast stosu papieru — ten jeden monolit. Ze wszystkich rodzajów maski literackiej o tej jednej powiemy, że jest rzymska w swojej surowości.

Metodę przeciwną można nazwać sprawiedliwie imieniem Władysława Reymonta. Reymont o swoim życiu pisze dość, mówi zaś bardzo wiele. Jego żywiołowy temperament nie pozwala mu na milczenie. Nakładać pieczęć na swoje życie sposobem Berenta — nie wytrzymałby tego ani przez tydzień. Gdy od wczesnej młodości pochłaniają go liczne „rzeczy widzane", trzeba szukać formy dla obrazu. Reymont szuka tej formy nieustannie, czyniąc ze swego życia model rzadkiej przygody literackiej. I z gestem szczególnie charakterystycznym, „przesuwając często ręką przez bujną, w tył zaczesaną czuprynę", nieustannym ruchem poprawiając binokle — Reymont opowiada swoje życie chętnie, szeroko, wielokrotnie. I o dziwo, wielomówstwo okazuje się także sposobem zakładania maski. Ale wytrwać w jednej pozie o ileż łatwiej przy naturze milczka, niż retora. Słowo ponosi, słowo zniekształca prawdę.

Zabiegi stylizacji wokół własnej biografii rozpoczyna Reymont już w młodości. Życie chłopięce na pastwisku, etapami, ale zupełnie wyraźnie prowadzi do sławy, do nagrody Nobla. W konstrukcji, która ma służyć ciekawości wielbicieli i badaniom krytycznym, można pozostawić jedne epizody, inne należy zgubić i zatracić. Ale opowiedzieć życie jest trudniej nieraz, aniżeli przeżyć je dotkliwie i po prostu. Zwłaszcza, gdy zachowuje się nieustanną czujność, by nie popaść w kolizję z innymi wariantami tej samej gawędy i nie przekreślić celowości końcowej pointy. Bowiem opowiada Reymont życie niezwykłe. Jeśli są w nim szczegóły gminne albo pospolite, pozostawia się je tutaj z całą świadomością: dla rozłożenia kontrastów, dla potrzeby konstrukcyjnej, aby narzucić wrażenie, że życie było „jak z bajki". Czyż nie w bajce chłopiec, który pasa krowy, sięga i zdobywa fortunę? Jakże to było? Oto jak. Reymont poprawia binokli i przebiega dłonią po czuprynie. Tylko sceptyk spostrzega, że się z niej kurzy.

Wśród relacji, ogłoszonych drukiem, postawę niechętnego niedowiarka zachował wobec Reymonta Jan Lorentowicz, który gwarzył z pisarzem w listopadzie 1896:

O swoich personaliach mówił często i za każdym razem inaczej. Najczęściej powtarzała się wersja, że „po czasach szkolnych" itd.

Entuzjastom, wśród których wyróżnia się Alfred Wysocki, gorliwy słuchacz Reymonta w Krakowie r. 1899, gorzeją policzki.

Wszystkie te przeobrażenia Reymonta widzieliśmy kolejno przed sobą (zawód czeladnika krawieckiego, pomocnika geometry, aktora, kolejarza, mnicha, znów kolejarza, a ciągle poety...), bo opowiadał o nich z szaloną ruchliwością maski, rąk i oczu i odgrywał te role, z których każda miała swój wyraz i swój odmienny charakter.

Jeden Stasinek w tym zasłuchanym gronie u krakowskiego Schmidta, „Stasinek Sierosławski mówił potem, że Reymont pewno fantazjuje i że w tych opowieściach musi być wiele blagi..." Ale słuchacze porwani, szczęśliwi zakrzyczeli go, aż zamilkł.

Niewiele co później, choć nie ustały gawędy przy stoliku, rozpoczęły się ankiety, wywiady, opowieści pisane. Nowy ten zwyczaj, do którego pisarz w miarę swojej kariery literackiej dorasta, nakłada na niego obowiązek wzmożonej samokontroli. Ale pióro biegnie w ceratowym zeszycie coraz bardziej żwawo, stawiając długie rzędy ostrych, smukłych literek. Zmienna prawda się tai za tą czarną palisadą.

Dnia 15 kwietnia 1903 r. trzeba odpowiedzieć wreszcie A. Wodzińskiemu, który oddawna czeka na obszerniejszą wiadomość o życiu pisarza. Reymont donosi mu bez żenady, że gdy miał lat sześć, jednej nocy księżycowej wymknął się „tajnie" do ogrodu i tak przeczytał przy miesiącu „Lillę Wenedę": „przeczytałem i wprost oszalałem". Gdy miał lat 9, zakochał się — prawem znanym z „Godziny myśli" Słowackiego — w pannie 26-letniej. Odczuwał tę miłość „z całą pasją", „ze wszystkimi pętami męskimi". W twórczości poetyckiej 9-letniego autora wadził Juliusz Cezar. Bowiem Reymont w tym wczesnym wieku poznał Cezara w tłumaczeniu i lektura ta urabia jego styl i pisarstwo. Czy

Wodziński uwierzył tej opowieści, trudno wiedzieć. Ale Stasinek nie uwierzył.

W miarę jak rośnie liczba tych relacji, bierze ochota, by skonfrontować je wzajemnie, by z kolei zestawić je skrupulatnie z dokumentami biograficznymi i z tymi kartami w dziełach Reymonta, które noszą akcent wspomnienia osobistego. Niewątpliwie konfrontacja podobna ujawniłaby cały zawiły mechanizm kształtowania własnej biografii, którą Reymont chciał uczynić — godną wielkiego pisarza.

Adam Grzymała Siedlecki, strawiwszy niejedną godzinę na rozpoznawaniu skrytek biograficznych Reymonta, nie zawahał się przed sądem następującym (w liście do autora z dn. 13. II. 1947):

> Przy olbrzymich swoich zaletach pisarskich i ludzkich miał nasz znakomity twórca i tę genialną obojętność na różnicę między prawdą a fantazją. List do Wodzińskiego jest jedną z udatniejszych jego nowel.

Grzymała ma rację. „Tyle pisał już o mnie — powiedział sam Reymont — zna moje książki, jak swoje buty".

2

Owa nowela, „jedna z udatniejszych", czyli list Reymonta do Wodzińskiego kryje następujący fragment młodości pisarza:

> Poznałem się był z niejakim Puszow (Puschov?), spirytystą zawołanym, i wyjechałem z nim do Niemiec, poświęcić się temu w zupełności. Stąd przeniosłem się do Wrocławia...

Pokusa zatem, by wydobyć ów fragment i poddać go badaniu, jest zbyt silna. Toteż jak preparat kładziemy go ochoczo pod mikroskopem.

Pierwszy zabieg polega na możliwie dokładnym schronologizowaniu epizodu. Kiedyż Reymont pojawił się we Wrocławiu? Odpowiedź na to pytanie nie jest ani krótka, ani zbyt pewna. Bowiem jedną z manier traktowania przez pisarza własnej biografii jest staranne mącenie chronologii. W młodości Reymonta, laurowej i ciemnej, niewiele dat potwierdziły dotychczas dokumenty.

Rachubę trzeba rozpocząć od dnia 2 stycznia 1884. Wówczas bowiem w cechu krawieckim w Warszawie Rey-

mont „okazał frak bardzo dobrze uszyty“ i wyzwolony z terminatora na czeladnika, wpisany został do ksiąg Zgromadzenia czeladzi krawieckiej. Ten dzień, chociaż później skrywany z wielką starannością przed Lorentowiczem, ujawniły archiwa cechowe. Ale zaraz później zaczynają się domysły. Bo nieopodal żenującej daty wyzwolin znajduje się rozkaz policji rosyjskiej w Warszawie, którym młody Reymont podejrzany o socjalizm i wydalony z miasta miał odsiedzieć rok życia w domu rodzicielskim. Na ten rok pokuty — prawdopodobnie przełom 1884/1885 — przypada niefortunna ucieczka z młyna ojcowskiego pod Rokicinami, marzenia o seminarium duchownym, które zadziwiają u niedawnego socjalisty. Reymont liczy podówczas lat 19. Gdy zawodzą dotychczasowe próby stabilizacji życiowej, wyrostek przystał do aktorskiej trupy, dla kompanii, dla cudownej swobody. „Coś przeszło rok włóczenia się z bandą“. Jak to obliczył Lorentowicz, Reymont teatr opuścił w grudniu 1886. Niesławny powrót do domu rodzicielskiego i jakieś „miejsce na kolei“, między Rogowem i Płyćwią, gdzie przyszły pisarz zdołał przetrwać „przeszło rok“. Jeśli cały ten rachunek jest trafny, znajdujemy się właśnie w ciągu r. 1888. W tym momencie „niejaki Puszow“ zdołał obudzić czy wyzyskać w Reymoncie żywe zainteresowanie dla spirytyzmu i porwać go najpierw do Niemiec, później do Wrocławia. A więc rok 1888.

Data ta potwierdza się jeszcze od innej strony. Obyczajem dotychczasowym Reymont nie zasiedział się także przy stoliku spirytystycznym. Mówi o tym zbyt pobieżnie: „Nie wytrzymałem jednak długo“. Jak długo wytrzymał?

Następny dzień w kalendarzu Reymonta, poświadczony przez zapiskę współczesną, to 24 lipiec 1889 (na odwrocie oprawy notatnika poetyckiego, w czworoboku wyciętym w papierze, wraz z późniejszą uwagą: „Przekleństwo tej dacie“, dopisaną 13. VIII. 1891). Owego dnia przeklętego Reymont znowu na kolei, 24 lipca 1889 w miejscowości Krążce wpisał do wielkiego zeszytu jakiś błahy i rozpaczliwy tekst poetycki. Poprzednio jednak zdołał rozejść się z Puszowem i w Częstochowie przystał po raz drugi do teatru. Ale na scenie przewracał krzesła dla swojego krótkowidztwa i znowu uznał, że nie odkrył jeszcze powołania.

Tedy druga ucieczka na kolej i — przeklęta data, wypisana w Krążkach (może właśnie data powrotu do służby?). Jeśli na te ostatnie przygody, licząc wstecz od 24 lipca 1889, przy całej ruchliwości zygzaków Reymonta przyjmiemy conajmniej pół roku, znów nam wypadnie rok 1888 — na Wrocław w towarzystwie duchów.

Radzibyśmy wiedzieć co nieco o samym przewodniku. Kimże jest Puszow, spirytysta zawołany? Pod tym względem list do Wodzińskiego nie daje żadnych szczegółów, ledwie nazwisko. Ale bardziej rozrzutny okazał się Reymont na starość, w życiorysie francuskim, sygnowanym 10 kwietnia 1925 w Nicei. Jest to życiorys laureata Nobla, pisarza uwieńczonego. I wszystko w tym ostatnim szkicu pamiętnikarskim przygotowuje świetną konkluzję: już nie ze startu pisarskiego spogląda Reymont na własną młodość. Jest to dzisiaj — w Nicei 1925 — pisarz znany światu.

Do przebiegu, któryśmy mozolnie ustalili, autobiografia 1925 wprowadza nowy zamęt na etapie powrocławskim. Ale mamy prawo ignorować tę chronologię, pomieszaną przez wyobraźnię i starość. Nazwiska Puszowa nie ma w tych wspomnieniach, ale jest jego charakterystyka.

> Par bonheur je fis connaissance d'un certain professeur de collège, allemand, spirite actif et convaincu. Il m'éblouit et me conquit. Des mondes entiers de fantastiques réveries et possibilités s'ouvrirent devant mes yeux. Je quittai mon poste (między Rogowem i Płyćwią) et partis rejoindre le dit professeur. Il habitait Częstochowa, était en relation étroites et suivies avec les cercles spirites d'Allemagne et d'Angleterre, en correspondence régulière avec Mme Blawatska et Olcot, écrivait dans les feuilles vouées au spiritisme et donnait incessament des séances ad hoc. Il considerait le dit spiritisme comme une science et une religion; une atmosphère mystique régnait dans toute sa maison.

Oto Puszow. Mamy wszelkie prawo pomiędzy nazwiskiem 1903 a charakterystyką 1925 położyć znak równości. To on uwiódł Reymonta znad toru kolejowego między Rogowem i Płyćwią, ukazując możliwości komunikacji astralnej. Nowy „odcinek“ górował tak bardzo w swoich rozmiarach, zwrotnicach i perspektywach nad odcinkiem dróżnika, że wybór był prosty i łatwy. Jeśli pilnować jakiejś drogi, to już nie żelaznej, ale drogi mlecznej.

W tej chwili zyskujemy nową wątpliwość, gdzie właściwie odbyło się to uprowadzenie Reymonta między spirytystów. Autobiografia 1903 upiera się wyraźnie przy Wrocławiu:

Stąd (z Niemiec) przeniosłem się do Wrocławia, tam bowiem był główny kościół spirytystów.

Jeśli istotnie prasa spirytystyczna pozwoli kiedyś ustalić stosunki Puszowa z grupą wrocławską, ten skok Reymonta na Wrocław będziemy umieli wymierzyć i oznaczyć zupełnie precyzyjnie. Ale według relacji drugiej Puszow mieszkał w Częstochowie. W Częstochowie też Reymont po rozstaniu się z kościołem spirytystów napotkał trupę teatralną, z którą jął się włóczyć na nowo. Ta zbieżność topograficzna dziwi i niepokoi. Może i nie był we Wrocławiu? Gdzież naprawdę stały stoliki Puszowa, na których kładł ręce z emocją, obserwując seans wieczorny przyszły autor „Wampira"? Młodzieniec atletycznej budowy, uwikłany przez duchy, to jedna jeszcze niespodzianka dla słuchaczy Reymonta. Na tle ruin dzisiejszego Wrocławia, postrzępionych, złowrogich, wśród wypalonego domu, którego puste wnętrze kryje ściana gładka, z martwymi oknami, lokujemy bez trudu młodzieńczy seans Reymonta, pełen trwogi, wzruszeń nowicjusza, szarlatanerii starych bywalców.

Epizod nie trwał długo, może kilka miesięcy. Niespokojny temperament nakazywał ruch, pośpiech życia. Należało je smakować w każdej przygodzie. Reymont zawiedziony i rozczarowany wywinął się mistrzowi fortelem:

Zbyt prędko spostrzegłem naiwność tej niby nauki i jej wyznawców. Puszow chciał mnie gwałtem zatrzymać i gonił za mną, aby zawrócić (gdzież się odnaleźli? może właśnie w Częstochowie?). Więc układamy między sobą, że wyjadę do Ameryki i tam wpośród Polonii rozszerzać będę doktrynę. Musiałem znowu zmykać pod wiatr.

W wersji francuskiej brzmi to dość ubogo:

...ayant perdu la foi dans ces miraculosités je le quittai précipitamment.

Sam wiatr roztrącił stoliki, ekierki, astrale. Obalił przerażonego Puszowa. I Reymont, rozdwojony między

dwie postawy: chłonąć życie czy zdobywać tajemną wiedzę o materii, poszedł w życie chyżymi, śmiałymi krokami.

3

Sposób, w jaki Reymont mówi o swojej przygodzie wrocławskiej, każe sądzić, że był to epizod bujnej młodości, bez trwalszego znaczenia. Ale było inaczej. Z papierów Reymonta, które dochowały się dość licznie z lat późniejszych, możemy dobyć wiele przykładów zainteresowania ucznia Puszowa dla studiów spirytystycznych. Lekcja wrocławska nie okazała się zatem zbyt pamiętna, albo dyspozycje pisarza w tym kierunku zbyt silne. Bezwiednie wreszcie wyraziły się w ten sposób związki Reymonta z własną epoką, która tajemnicę człowieka usiłowała poznawać nie tylko w realistycznej obserwacji.

Notatka Reymonta, porzucona w zapiskach z r. 1894 ,,Ze świata nowych prawd'', dowodzi jasno, że młody autor utrzymuje żywe stosunki z grupą spirytystów warszawskich, wśród których uwija się Witold Chłopicki (,,nogi miejscowego spirytyzmu, bo nie głowa''), w ironicznej charakterystyce środowiska i jego publikacji (Chłopicki wydał podówczas ,,Szkic popularny teorii i praktyki spirytyzmu'', Warszawa 1892, który Reymont określił jako ,,premium dla całorocznych prenumeratorów Muchy'')[1]. Ta właśnie groteskowa obserwacja zbliża wrażenia późniejsze i wyprawę z Puszowem. Jednocześnie jednak Reymont przeprowadza wyraźny podział grupy.

Mediumiści i okultyści, ludzie przeważnie głębiej się zastanawiający i mający prócz wiedzy i umiłowanie prawdy, odsuwają się od spi(rytystów)... (kartka urwana w zapiskach).

Cały ten nurt zainteresowań Reymonta posiada również inne oblicze — czystej humorystyki. W jego szpargałach osobistych przechował się pisany na hektografie statut Towarzystwa Spirytystycznego pod nazwą ,,Warszawskie Towarzystwo Psychologiczne'' (z daty 15. X. 1890, Reymonta nie ma zresztą wśród członków założycieli), a nie opodal, na tym samym hektografie ,,Majówkowy personel'', który wyruszył jednego ranka na zabawę podmiejską, prawdziwie warszawską. Wśród uczestników wy-

cieczki znajduje się „W(ielmożny) Reimont, kawaler, tańczy, sp(irytysta)“. Podobny przejaw dobrego humoru bractwa wyczytamy w humorystycznym ogłoszeniu, które Reymont przechował z całą starannością, chociaż bez daty:

> Tylko jedno przedstawienie!!! Znanego spirytualisty, spirytysty, magnetyzera, hypnotyzera, odgadywacza myśli, czarodzieja ze spodkiem i profesora czarnej i białej magii, p. Rajmunda...

Ale Reymont wyżywał w ten sposób nie tylko zmysł towarzyskiej awantury. Jego pierwsza wyprawa na zachód w r. 1894 (Londyn pod opieką dra Józefa Drzewieckiego, lekarza-homeopaty) pozwoliła Reymontowi wślizgnąć się na salę obrad Towarzystwa Teozoficznego w Londynie i zobaczyć ludzi i portrety, których wspomnienie utkwiło mocno w pamięci. Najwidoczniej głód metafizyki jest zbyt silny u tego wspaniałego realisty i między dwoma biegunami: świata ludzi i świata duchów — Reymont uprawia aż do śmierci woltyżerkę doskonałą. Jest też przykładem pisarza, dla którego trzeba szukać nie jednej formuły, ale dwu charakterystyk, zupełnie wyraźnie opozycyjnych.

Śledzimy ciekawie, jak ten dualizm w osobowości Reymonta wyraził się w jego sztuce. Nade wszystko w poszukiwaniu tematów. Niewątpliwie na majówkach warszawskich i w obcowaniu, bodaj przelotnym, ze środowiskami spirytystycznymi w Polsce i za granicą, musiała powstawać bogata formacja przeżyć i obrazów, która z życia przechodzi do twórczości. Elementy niesamowite (tuman śniegu, który spowija książkę — bezimienna stacja kolejowa, wypełniona przez tłum ludzki, pokazany w rysach bezosobowych) unoszą się powieści „Marzyciel“ (1910). Ale cała magia eksperymentów spirytystycznych i mediumicznych pojawi się dopiero w „Wampirze“ (1911), powieści, dla której gromadzi Reymont materiały od czasu młodzieńczej podróży do Londynu. Tu z całą swobodą pisarz dał folgę swojej ciekawości dla zjawisk psychopatologicznych, których opis rzucił na zapamiętane tło sali Towarzystwa Teozoficznego w Londynie. Odpryski tych samych doświadczeń marnowały się w pomysłach niezrealizowanych (np. w noweli „Medium“, której szkic pozostał w papierach) lub fragmentach (np. w przerażającym „Seansie“ na

Montmartre, w środowisku bohemy paryskiej, z dokładną datą powstania: Warszawa, 19. IV. 1924, ostatnio w tomie: Krosnowa i świat, złożonym przez Grzymałę Siedleckiego w r. 1928). Odrębność tematyki w twórczości Reymonta prowadzi go do przyjęcia i stosowania dwu technik literackich: naturalistycznej i symbolistycznej, przy tym proces twórczości, podobnie rozdwojonej, oznacza zjawisko ogólnopolskie, pospolite nie tylko w epoce, ale także w Europie.

Pasjami poznawczymi Reymonta żywi się pyszna anegdota biograficzna. Wielki pisarz do końca życia chodzi do wróżek i wróżbitów. Może oni znają prawdę o świecie, prawdę o przyszłości? Na kartach z kalendarza notuje Reymont wrażenia z tych odwiedzin. Czasem jest zniechęcony i lakoniczny: 12. V. 1917, „Byłem u wróżki. Głupstwa". Ale nieraz rozigra mu się wyobraźnia. Wówczas pismem trudno czytelnym rzuci na kartę w kalendarzu z wyraźną emocją:

> 14. VI. 1917. Byłem u Anyża (?), wróżbity. Powiedział oba moje imiona. Twierdził, że od lat 15 do ożenienia noszę kajdany i we łzach wylanych mógłbym się wykąpać. Że od 14 roku życia przechodziłem straszne rzeczy, że dopiero ostatnie lata lepsze — przepowiadał udanie się podróży, stosunki z wielkimi osobami, może królem, może cesarzem. Dalej, że za parę miesięcy dostanę wiele pieniędzy, on nie wie skąd, może spadek, że będę żył 42 lata jeszcze, a kajdany spadną jesienią, że będę miał jakieś wielkie znaczenie, że będę miał wiele, że (wyraz nieczytelny) dzisiaj słońce i ziemię.

Podniecony Reymont dodaje jeszcze: „Czekajmy zatem".

Równie ochoczy i wytrwały uczestnik seansów spirytystycznych, notuje pisarz ich daty i wrażenia, które potrafi opowiedzieć w sposób urzekający. Dnia 31. V. 1917 odbył się seans w mieszkaniu Juliana Ochorowicza, przy składzie szczególnie atrakcyjnym, bowiem jako media wieczoru służyli Domańska i Guzik, w obecności Andrzeja Niemojewskiego. Stanisław Miłaszewski zapamiętał inną opowieść Reymonta, „po prostu arcydzieło narracji": seans, na którym duch oficera z r. 1830 wskazał grób w ziemię zapadły i rzucił na dowód realności swojej zjawy srebrną szlifę.

Wówczas obaj pisarze wybrali się razem do pani W., na ulicę Mokotowską, i Miłaszewski, ciągle wielki sceptyk, jak Stasinek, zanotował ironicznie rozmowę z astralem, którą Reymont prowadził. Słuchajmy tego dialogu, który toczy się z zaświatem. Duch mówi pierwszy.

— Ne ...ph... ph... ph... al! Ty... y... y... ne ph...:
— Co mówisz, mój opiekunie? — zapytał Reymont niewidzialnego dla nas gościa drgającym ze wzruszenia głosem. — Powtórz proszę...
— Nne ph... al! Ne ph... phal!...
— Co? Czego mam nie robić? Powiedz wyraźnie, mój opiekunie... Poradź mi... Ja taki chory...
— Ne... phaal... Ne phaal! — bąkał gorliwie opiekun astralny z akcentem brzuchomówcy.
— Rozumiem! Mam nie palić! — krzyknął Reymont radośnie. — Nie będę! Daję ci słowo, opiekunie!

Nie upłynęły trzy minuty, jak Reymont sięgał po papierosa.

Z tych dokumentów i źródłowych anegdot wyziera inny portret pisarza, aniżeli na płótnie Jacka Malczewskiego. To już nie jest świetna głowa, zanurzona w zapachy kwiatów i głosy ptasie. Wokół postaci pisarza gęstnieje tuman astralny, wyroiły się tłumnie duchy, życzliwe i groźne. Oficer z „Warszawianki" gubi srebrne szlify gestem teatralnym. Duchy mówią do Reymonta, bodaj akcentem brzuchomówców, i ocierają się o jego surdut. Mają może twarze faunów Malczewskiego, złośliwych, rogatych, którzy chodzą po Lipcach łowickich, jak niegdyś po Czarnolesie. Ale jeden z faunów krzywi się grymasem starego Puszowa, belfra z Częstochowy.

List Reymonta do A. Wodzińskiego z daty Paryż, 15. IV. 1903, ogłoszony w Kurierze Warszawskim, 1926, N. 1, w dostępnym przedruku znajduje się w książce Juliana Krzyżanowskiego: Władysław St. Reymont. Twórca i dzieło. Lwów 1937. Autobiografia w języku francuskim Reymonta z daty: Nice, 10. IV. 1925, przeznaczona dla jakiegoś obcego dziennikarza, przechowała się w papierach Reymonta, obecnie w Bibliotece Ossolińskich we Wrocławiu rkps 6977/1.
Inne dokumenty i daty biograficzne, przywołane w obecnym szkicu, są rozproszone w papierach osobistych i literackich Reymonta w Bibliotece Ossolińskich rkps 6952/2, 6954/7, 6958, 6977/1, 1 B i 3.

Materiał rękopiśmienny uzupełniły wspomnienia: Jan Lorentowicz, Spojrzenie wstecz. Warszawa 1935 (gdzie znajduje się gawęda: Reymont w Paryżu), Stanisław Miłaszewski, Wspominamy. Cz. 2. Poznań 1939 (wspólnie z Wandą Miłaszewską), tu rozdział: Reymont i duchy, od którego autor pozwolił sobie zapożyczyć tytułu, wreszcie Alfred Wysocki, Trzy spotkania z Reymontem. Twórczość, III, 1947, N. 7/8.
Należytej ekspozycji uzyskanego materiału dopomogła książka J. Krzyżanowskiego, nade wszystko w rozdziale 2: Krosnowa i świat.

JULIAN LEWAŃSKI

GIANBATTISTA MARINO

WIELKI ZAPOMNIANY

Znużon tym wszystkim pragnę tylko śmierci:
Widzę jak zasług mieniem kij żebraczy,
I jak się nicość napuszona wierci,
I jak i szczerość przysięga inaczej.
I jak niegodnym krzyże dają złote,
I jak zdeptana jest dziewiczość miła,
I jak prawdziwą ukrzywdza się cnotę,
I jak przez słaby rząd kuleje siła,
Jak wobec władzy sztuka mdłą jest w słowie,
I jak nad wiedzą pieczę mają błaźni,
I jak prostactwem prostota się zowie,
Jak dobro więźniem, a zło stróżem kaźni...

Szekspir, Sonet LXVI

Mało kto słyszał w Europie o angielskim dramaturgu — w czasie, gdy cavalier Gianbattista Marino królował na kontynencie niepodzielnie i trwałą spuścizną obdarowywał naszą kulturę. Do bardzo niebezpiecznych pytań należy kwestia, dlaczego to łatwiej było mistrzom pióra w wieku XVII sięgać za Alpy po wzory i zachętę niż na mglistą wyspę — pytanie to i trudne i zawczesne. Rzeczą sprawiedliwości będzie wydobycie z niepamięci postaci włoskiego Mistrza i jego polskich satelitów — niespodziewanie licznych i wartościowych.

Przełamać tylko naprzód musimy sugerowaną przez historyków literatury niechęć do baroku i Mariniego: nietrwały widać był ów wielki stos pochwalnych sonetów, którymi wielbiciele zasypali jego grób. Z tym stosem rósł jednocześnie drugi — inwektyw, fałszów do dziś jeszcze żywych.

Twórczość jego była bezwątpienia wielkim zjawiskiem europejskim. Oburzenia historyków literatury na rozwiązłość jego poezji — mogą bawić nas dzisiaj albo irytować, narzekania krytyków na przesadną kwiecistość — są zupełnie niezrozumiałe, bo nie ukazali granicy, dokąd *fiorito* jest zaletą. Nasz neapolitański poeta był twórczy — to wystarcza, aby miał nieśmiertelność, był czytywany i naśladowany — to powinno zyskać mu najwyższe uznanie historyków kultury. Croce rozwodzi się ze smutkiem nad oschłością, wyrachowaniem poetyckim — dzisiejsza krytyka powinna wybuchnąć entuzjazmem dla wspaniałego rzemiosła. Oto poezja bez cienia metafizyki, oto spekulacja bliska biologicznej, nareszcie prawdziwa poezja, która nie służy żadnej ideologii, nie pełni żadnej „zaszczytnej" służby. Strumień mowy, który zachwycać ma stylem samym, a nie uczuciami — kłamanymi nieudolnie, nie patriotyzmem — będącym zwykle służbą mniej lub więcej krwawej tyranii, nie obrazami życia — bo zwykle osobowość pisarza załamuje obraz, więc oglądamy karykatury. Fikcja literacka, jaką szeroko rozbudował neapolitański poeta, wydaje się nam dzisiaj bardziej moralna od owych rozlicznych wzorów poczciwego człowieka, racjonalnego obywatela, gorącego patrioty, pozytywnego społecznika. Uchylała bowiem literaturę od rozlicznych funkcji, jakimi ją w innych epokach obarczano — zostawiała umoralnianie księżom, politykę kondotierom, sprawiedliwość zbirom najemnym.

Nieznane są Mariniemu troski Szekspira.

4

Taka właśnie poezja czysta, poezja jednej olbrzymiej metafory mitologicznej, słów i pojęć, które poza dziełem literackim nic nie znaczą — podbiła Europę. Dość wspomnieć, że znany u nas dzięki Morsztynowi zbiorek „La Lira", w szczególności „la parte terza" odbita pierwszy raz w Wenecji w roku 1614 — ma jeszcze w wieku XVII samych włoskich przedruków 25; wieśniaczki toskańskie do dziś ponoć śpiewają piosenki Marinowe, malarze, znani i niebyle jacy, przesyłali poecie swe obrazy w nadziei, że raczy ich wymienić w poetycznym katalogu „La Galeria", który

10 razy był przedrukowany. Prozaiczne „Dicerie Sacre" miały 14 wydań, poetycka zjadliwa polemika między Marinim a niejakim Murtolą — wydań 10. Wobec tych setek przedruków, uznania dworów sabaudzkiego i francuskiego, nie zdziwi nas, że prelekcja Mariniego w akademii „Oziosi" po powrocie do Neapolu zgromadzi samych tylko książąt i markizów 160, a kiedy wreszcie po kilku latach dokona on w spokoju i zamożności (uskładał wcale ładny majątek) barokowego żywota, grób jego przysłoni stos sonetów, 500 pochodni płonąć będzie na cmentarzu na świadectwo jego wielkości.

Dwa zwłaszcza wymiary określają wielkość Mariniego. Jeden to szybkość, z jaką podbił świat. Wszedł do literatury w roku 1602 zbiorkiem wcześniejszych ulotnych wierszy, kończy karierę pisarską olbrzymim poematem „Adone", którego ukazanie się w Paryżu w roku 1623 było sensacją miary europejskiej. Dwadzieścia lat działalności pisarskiej, przeplatanej więzieniami, ucieczkami, podróżami wystarczyły mu na podbicie całej Europy — od Francji, gdzie hotel de Pisani (madame de Rambouillet) traktował naszego kawalera jak proroka, po Anglię, po klasztor żyrowicki na ziemiach ruskich. To jest właśnie drugi rozmiar monumentalności Poety — światło tego meteoru dotarło wszędzie — błyśnie u nas całkiem niespodzianie z kart najbardziej sarmackiego baroku, z rękopiśmiennych „toreb dworskich", z druczków literatury mieszczańskiej.

W czym odszukamy tajemnicę tej wielkości — oto jest pytanie. Zważmy, że współcześnie żył mało komu znany prostacki pisarzyna i aktor — Szekspir. Widocznie ten operował innymi wartościami, skoro pamięć o Marinim zniknie w lat kilkanaście, czy kilkadziesiąt — i to bezpowrotnie. A przecież i neapolitański poeta dał naprawdę szczytowe osiągnięcie w pewnej dziedzinie sztuki pióra. Jakże bowiem inaczej tłumaczyć fantastyczny sukces wydawniczy, sławę, majątek i popularność na kontynencie, setki markizów i książąt — wielbicieli, zachwyt królów i wieśniaczek. Wypaliła się pamięć o poecie — zostało jednak trwałe dziedzictwo literackie. Wprawdzie „virus secentistico" przeżywał długi okres utajenia w Hiszpanii, ale dopiero Marini

z hiszpańskiego poniekąd Neapolu zaszczepił go w Europie tak skutecznie. „Virus" znalazł widocznie świetne pożywki — mnożył się i rósł na pewnych formach życia, na jakichś cechach psychiki ówczesnych ludzi, odpowiadał im, dopełniał ich dom i świat. „Virus secentistico" w Polsce stanowi jeszcze zagadkę. Materialne skutki jego bytowania obserwujemy w liczbie i masie aż nadto wielkiej: w każdym starszym kościele stajemy zadziwieni mnogością kwiatonów, putti, gzymsów, liści, kolumn, które niczego nie podtrzymują, łuków sklepiennych, które rozcięte i zwinięte w spirale są zabawkami, zdumieni złotem — zapewne fałszywym, marmurem — nieco sztucznym. Nie było stylu ani tak powszechnego, ani tak głęboko przyjętego jak barok — renesans żył na dworach (wyjątkowo zupełnie po dworkach), rokoko zastrzeżone było dla magnaterii, pseudoklasycyzm stanisławowski mieścił się po Arkadiach i piwniczkach jakobinów.

Dziedziczymy po wszystkich — ile po baroku? Chyba w literaturze najwięcej — choć nie potrafiliśmy tego dotąd opisać.

2

W Bibliotece ongiś Baworowskich we Lwowie znajdował się rękopis, którego losy dziś nieznane, noszący sygnaturę II E 24; był to foliant, oprawny w drewno, obciągnięte skórą wytłaczaną w starannie przemyślane wzory. Pismo ozdobne, naśladuje współczesny druk miejscami, miejscami frakturę, obwiedzione bywa ozdobnymi ramkami; pismo, papier, ortografia wskazują na lata 1640—1670. Rękopis prezentuje powszechną w wieku XVII zastępczą formę książki niedrukowanej. To coś pośredniego między książką, archiwum ciekawostek domowych, pamiętnikiem literackim i politycznym, a zbiorem niecenzuralnych wierszy, utrwaleniem mniej wartościowych lub bardzo prywatnych płodów amatorskiego pióra, wreszcie poradnik oratorski i listowy. Nasz rękopis związany jest w jakiś sposób z rodem Kostków, co poświadcza wielekroć zanotowane nazwisko.

Na stronie 80-ej czytamy:

Wiersze z Włoskiego na Polskie Przełożone Przez Je^o Mości P. Piotra Kostkę ze Stemberku Roku 1622

— po czym następują 43 wiersze polskim i łacińskim językiem pisane, z tych 20 ma wyraźne pierwowzory włoskie u kawalera Mariniego. W ten oto sposób chwytamy moment, w którym „virus secentistico" zgoła jawnie wchodzi na ziemię polską. Nie znamy bliższych okoliczności przekładu, nie wiele można powiedzieć o tłumaczu — mamy tekst:

Kartko szczęśliwa, mych myśli tłomaczu,
Wierny sekretarz wzdychania i płaczu!
Ciebie otworzy ona wdzięczną ręką,
O której myślę z wielką w sercu męką.
O szczęśliwy, o błogosławiony papierze!
Tak szczęśliwy nie jestem, jako ty w tej mierze,
Abym miał ślicznymi dotknion być rękami
Tak często, a cóżem słyszał i piersiami!
Ale szczęśliwszy, gdy się jeszcze zdarzy
— A tegoż każdy patrząc na Cię zajrzy —
W supeł ode mnie gdy będziesz związany,
Przez kogokolwiek do Paniej posłany:
Śliczne oczy, usta, wargi koralowe,
Lice perłowe, usta rubinowe:
Rozwinąć się, przychylić się muszą.
Te całowania kości moje suszą.

Tak oto nasz Piotr Kostka, bliżej nieznany zresztą i literaturze więcej niezasłużony, dawał sobie radę z finezją tekstu włoskiego — wcale zresztą dobrze. W oryginale madrygał CV, „Lettera amorosa" ma wprawdzie wierszy tylko 10, więc tłumacz rozwodnił nieco tekst — ale przeliczyć trzeba tę ilość szeregów rytmicznych nieco mniej rygorystycznie, bo oryginał operuje wierszem swobodnym, nieregularnie rymowanym. Tekst polski zaś wytrzymuje swoje słabe gramatyczne rymy i ilość zgłosek dość poprawnie.

Pozostałe wiersze nie wiele odbiegają w swym charakterze od cytowanego, jeden jest tłumaczony dwukrotnie, jakby nasz Polonus próbował pióra — robota cała zresztą nie zdradza ani talentu, ani pracowitości, ani szkoły. Inte-

resuje nas przede wszystkim, czego szukał Kostka ze Stemberku w madrygałach Mariniego z Neapolu.

Włochy były ojczyzną kanonu poetyckiego dla obrazu pięknej kobiety i spraw niewieścich w literaturze — barok podtrzyma i rozbuduje portret narzucony przez Petrarkę, utrwali konwencjonalny opis urody niewieściej na dobre 200 lat — przecież jeszcze powieść wieku XIX lubuje się powszechnie w kształtach toczonych, brwiach czarniawych, ustach koralowych. Natomiast wniesiona przez renesans cześć dla niewiast potraktowana została przez wiek XVII, jako jeszcze jedna fikcja mitologiczna. Jednocześnie zaś surowa cenzura i groźny cień inkwizycji wtłaczały bujny erotyzm w dziesiątki domyślników i niedomówień, sprowadzały do opisów niby niewinnych pieszczot, zalecały opisy scen mitologicznych, podstawiane zamiast ziemskich, bo takie można było wylegitymować erudycją klasyczną. Cytowany madrygał można by traktować jako patologiczny przykład nadwrażliwości erotycznej — poeta zazdrości listowi dotknięcia rąk, ust i łona (tak w oryginale — *recetto*) kobiety; nie bardzo wierzymy mu, aby myślał z wielką w sercu mękę o wybranej dlatego tylko, że ją kocha — raczej chodzi o owe dotknienia same, tak starannie przewidziane i wyobraźni przedstawione. Barok sprowadza miłość do realiów wcale niedwuznacznie malowanych; jednocześnie deklamuje się ciągle o omdlewaniach z miłości, nadużywa Amora i jego strzał. To Eros opiekował się jedną ze ścieżek między Italią a Sarmacją.

Frapuje przede wszystkim data przekładu. Nie mamy podstawy przypuszczać, aby była fałszywa — a jest zadziwiająco wczesna. Pierwszy książkowy druk Mariniego, mianowicie „Rime amorose“ tłoczy w Wenecji Ciotti w roku 1602. W lat dwadzieścia mamy w Polsce przekład — przypuszczać możemy, że nie jedyny, otwierający ciąg zjawisk literackich o wielkim zasięgu przestrzennym i czasowym.

Wymieńmy na drugim miejscu doskonałego pisarza, tłumacza i twórcę: Andrzeja Morsztyna. Praca Porębowicza, głosy pomniejsze, przedruki informują dostatecznie o materiale i wyznaczają miejsce jego twórczości. Naturalnym biegiem rzeczy — czeka na opracowanie stylistyczne,

czeka na sławę, jaką powinna przynieść mu analiza przekładów w tylu miejscach prześcigających oryginały.

Przyswoił Podskarbi Koronny naszej literaturze wiele wierszy z ,,La lira", przetłumaczył z ,,Adone" pieśń czwartą, poszerzając o obszerne wstawki aktualne, przełożył świetnie dwie oktawy z tego poematu, które w przedrukach noszą tytuł ,,Vanegiar d'una innamorata", a opiewają gorączkę miłosną nimfy (wiedźmy — jak chce współczesna nomenklatura) Falsireny do pięknego Adonisa.

Równy mu będzie talentem pisarskim Salomon tego wieku — Stanisław Herakliusz Lubomirski. Wielbiciel Mariniego, chwali go i cytuje w ,,Rozmowach Artaxessa i Ewandra" — wstawi cztery oktawy z początku XV pieśni ,,Adone" słusznie i zgrabnie do swojego ,,Tobiasza Wyzwolonego", przetłumaczy też uroczą, paruset wierszową opowieść o smutnych przypadkach Eurydyki i Orfeusza (znaną z rękopisu).

Anonim, wykształcony, oczytany i znający stosunki włoskie, nie tyle świetny poeta ile doskonały tłumacz, dokonał wielkiego dzieła — przekładu całości ,,Adone", przenosząc w polski klimat tę olbrzymią encyklopedię konceptyzmu, liczącą 40.966 wierszy. Do dziś ocalały rękopisy sześciu ksiąg zaledwie. Rozmiar dzieła i talentu zmusza do ostrożności przy rozwiązywaniu autorstwa przekładu. Propozycja Józefa Załuskiego, aby obdarzyć nim Jerzego Lubomirskiego, zasłużonego dobrym przekładem bardzo popularnego ,,Pastor Fido" Guariniego — postawiona jest oględnie i niczym nie poparta.

Anonimowy jest także pracowity tłumacz — prawdopodobnie zakonnik z klasztoru w Żyrowicach, który w kodeksie rękopiśmiennym (obecnie w Ossolineum we Wrocławiu, rkps 4872 I) zostawił nam przekład ,,Strage degli Innocenti". Jego też zapewne ręki są również tłumaczenia modlitw-aktów: ,,Wiara", ,,Nadzieja", ,,Miłość", zachowane w tym samym kodeksie.

Na koniec wieku XVIII przypadają przekłady dwu idyllicznych kierszy, które powierzył drukowi opat mogilnicki (syn Mikołaja, kasztelana przemyskiego) Jędrzej Wincenty z Unichowa Ustrzycki, w książeczce: ,,Troista historia, To jest Prozerpina, Faeton, Achilles. Z innemi drobnieyszemi

edycyami.. do druku podane R. P. 1700". Na stronach 156—167 odczytujemy Joannis Baptistae Marini „Nietrwałość piękności" (— Belta del sommo sole), oraz niezatytułowany przez tłumacza — ostatniego chyba, jeśli nie uwzględnimy świetnych przekładów Porębowicza — wiersz, noszący w „Idylli favolosi" tytuł „I numeri amorosi":

Presso d'un fiume tranquillo
Disse a Filena Euryllo etc.

1.

Schodząc nad ciche strumienie,
Rzekł Euryl ku swej Filenie:
Ile tu piasku drobnego,
Tyle utrapienia mego,
A ile kropel w tej wodzie,
Tyle ran serce mi bodzie.

2.

Rownym affektem odpowi
Filena wnet Euryllowi:
Ile tu kwiecia się mieści,
Tyle jest moich boleści.
A ile ogniow po niebie,
Tyle mam chęci do ciebie.

3.

Więc w sercu uweselony
Pasterz tak rzecze z swej strony:
Co ptastwa przeleci wszędzie,
Tyle mych uciech niech będzie.
A ile w tobie wdzięczności,
Tyle niech uznam miłości.

4.

Tak chęcią zdjęta wzajemną
Nimfa tę mowę przyjemną
Uczyni: W miłej odmianie
Rowne lamentom kochanie
Zaczniemy — i przeszłe smutki
Życzliwe nagrodzą skutki.

3

O, Boska rumianości!
Śliczna nader, jakim cię imieniem mianować?
Trzecia córka światłości
Przedwiecznej Ojca Niebios...
Siostra nad dwie ozdobna,
Jesteś dziwna z znamienia,
Nie mogę-ć dać innego nad ogień imienia...

Ogień: jego światłością,
Która służy, oświeca duszę kochającą,
Nakłania ku miłości,
Niespokojną, w swych żądzach chęć wielką mającą,
Wznieca omdlewającą.
Kiedy ją tak oświeca,
Ona mu się poleca:
Nie wiedząc co się z nią dzieje,
Sama na wosk od słońca gorąca topnieje.

Przytoczony fragment anonimowego przekładu wskazuje, że skala tematów Mariniego była wcale bogata. Oto mistyczne epitety przypisane Nadzieji, a godne św. Jana od Krzyża:

Kwiecie w skrytość odziany,
Nie w nocy ciemnej, ale w sekrecie będący
I zapieczętowany.

Syn skromnego neapolitańskiego adwokata, dręczony przez ojca studiami prawniczymi, debiutował w rodzinnym mieście ulotnym druczkiem „I baci" i kroczył konsekwentnie dworskim trybem życia ku coraz świetniejszemu środowisku — przez Aldobrandinich, dwór księcia Sabaudii do Paryża, gdzie Concini, Maria de Medici otwierają mu drzwi na pokoje królewskie. Nie zaszkodzi mu nawet rewolucja pałacowa. Skreśla tylko w „Adone" — kończył właśnie pieszczone od lat dzieło — pochwały dla tych Włochów, którzy z Concinim na placu de la Grève kładą głowy. Te panegiryki były już zbyteczne. Nie miał szacunku dla ludzi, którzy się dali zabić. Sam dokona żywota w aureoli największego poety Europy, otoczony dostatkiem i wielbicielami. Ba, poemat można napisać o uroczystości żałobnej, urządzonej przez akademię Umoristi w Rzymie, o por-

trecie malowanym z tego powodu przez hrabiego Francesco Crescenzio. Miał przecież w swoim życiorysie trzy pobyty w więzieniu — dzięki takim chwilom odosobnienia zostaliśmy obdarzeni świetnymi popisami retorycznymi na tematy religijne. Nastrój więzienny sprzyjał twórczości poważnej, choć wątpliwe jest, aby można wyśledzić w niej jakieś ślady liryzmu. Moralność poety da się sprowadzić do jednego prawa: posłuszeństwo wobec silniejszego. Poeta nie potrafi zauważyć winy Heroda, gdy każe mu mówić monolog nad trupem żony i syna, który padł z ręki pełniących jego rozkaz żołnierzy:

O, jak srodze okrutny, mizernie żałobny
Ojcze! Nieszczęsny synu zrodzony dla kary!
Takoż-li ci to przygoda daje tron ozdobny!
Takie berło koronne! Te królewskie dary?
O! Jak przygotowania akt w strachu osobny
Łóżko małżeńskie nasze przemieniło w mary!
Żądałem po lat kilka małżonkę dać tobie,
A teraz trzeba widzieć grzebanego w grobie!

Głupio szalony umysł! Czego pożądałem!
Czy mój błąd, czy Twój wyrok, czy to tak się stało?
Niepożądna porada, której ucho dałem,
Jak się to rozsądkowi mojemu przydało!...

Hej, kto mi poda w ręce ostro miecz dobyty!
Ów, który zabił moje jedyne kochanie!
Aby przez który padł syn, padł ojciec zabity,
Gdzie dwojgu, tam trzeciego by stało rozstanie...

Opisanie zabicia niewinnych młodzianków

Zamiłowanie do kontrastów, operowanie różnicami diametralnymi — było regułą i dla porządku stylistycznego i dla grupowania materiału. W „Adone" maluje na przykład spotkanie uroczego Amora (tym razem wcale nie w dziecięcym wieku!) ze Śmiercią:

Na głowę z skóry i z włosów złupioną,
Na siatkę z żeber i członków złożoną,
Na grabie pyska bezzębne strasznego,
Na srogie pary brzucha bezdennego
I na bezłystne suchych nóg wrzeciona
Parsknęła śmiechem Miłość rozśmieszona.

I tejże nocy w jednym gmachu stały
I w jednym z sobą w zgodzie łóżku spały.

Wstawszy po ranu oręże zmieniały,
Jedna od drugiej wzięła łuk i strzały.
Skąd to pochodzi, że kiedy strzelają
Odmienne skutki obie odprawiają:
Śmierć miłość leje, a miłość śmierć daje.

I odtąd mają takie obyczaje,
Bo śmierć podwodzi starych do miłości,
A miłość wiedzie do śmierci w młodości!

Baczmy, jak błahymi stały się rzeczy wielkie — Miłość i śmierć pod piórem naszego poety. Potrafił je zmniejszyć do rozmiaru igraszki sytuacyjnej, skażonej w dodatku aluzją erotyczną. Świat stawał się mały i bezpieczny — dla umysłu sceptycznego, dla ludzi, którym sztylet i trucizna, nędza i bogactwo, sława i zapomnienie groziły w każdej godzinie. Intensywność, błyskotliwość życia czyniły ze sztuki świat bezpiecznej fikcji.

Przeciwstawienia, owe wywiedzione w regułach, ba, nawet we wzorach graficznych „zgodne niezgodności" obowiązują i w zdaniach. Prezentujemy doskonały, idealnie wierny przekład definicji Amora, wyważony w symetrii niedościgłej chyba dla późniejszych poetów:

Chętne szaleństwo, śmiechy żałobliwe,
Strudzony pokój, pożytki szkodliwe,
Ucieszna szkoda, nadzieja zwątpiona,
Śmiertelne życie, bojaźń ośmielona,
Kruchy diament, szkło wielkiej twardości,
Mróz pałający, zmarzłe gorącości,
Zgodliwych niezgód przepaść nieśmiertelna,
Smutek niebieski a radość piekielna!

Taki język wyłączał się już właściwie poza obręb kultury społecznej. Mamy przykład dobrze opisany i znany: salon d'Artenice.

Doskonałość rzemiosła poetyckiego dała w wielu wypadkach doskonałe efekty, obrazy o niekłamanym uroku, żywym jeszcze dziś. Oto spłoszona Eurydyka bieży przez las:

A ona coraz prędzej uciekała,
Choć jej rozwlekła szarfa przeszkadzała,

Która po wietrze nakształt morskiej fali
Chwiała się, jakby nie radząc biec dalej.
Śliczne zaś włosy i te ją trzymały,
Bo się o gałęź coraz zawadzały.
Nie mówię włosy, lecz żywe promienie.
Bo gęstych lasów oświecały cienie.
Gdzie zaś urwane po listkach wisiały,
Złote na drzewach manele się zdały.
Wiem, że postrzegłszy, Phoebus złotowłosy
Do swej niebieskiej przyłączył je kosy,
Albo je Bożek, co złote skrzydełka
I łuczek nosi, schował na sidełka.

Równie pięknie przekładał dalej Lubomirski — autorstwo potwierdza notatka ręką Załuskiego: „Orpheus y Eurydyka Przez J M Marszałka Koronnego wierszem opisany Stanislai Lubomir Archi Mareschalli Regni" na rękopisie ongi Biblioteki Narodowej w Warszawie Pol Q XIV 3. Oto pieśń Orfeusza:

Wiem ja, że przystęp tu jest zagrodzony
Temu co żywy i niepotępiony —
Mnie dla jej śmierci łzy duszę wyparły,
Jam też umarły...

Więc mi się godzi wniść i prosić ciebie —
Wszak do Jowisza wolny przystęp w niebie.
Ty mu bądź równym jakoś jest w godności,
Tak w łaskawości.

Jakoś ty niegdyś gorzał — ja goreję,
Tyś mdlał w płomieniu — i ja w nim zemdleję.
Wspomnij jak ciężko było cierpieć tobie,
Wspomnij po sobie!

A jeśli supplik nie przyjmiesz daremnych,
Dozwól: niech tu dni z nią zażywam ciemnych,
A mnie i Piekło, bylem z nią żył wszędzie
Za Niebo będzie.

4

Kiedy biorę znowu do ręki dawno zapisane kartki, które się zaczynają od znaku Pol. Q, Pol. F, trudno mi pozbyć się wrażenia, że pamięć o tych grubych rękopiśmiennych, w pergamin przeważnie oprawnych kodeksach żyje we mnie jak

myśl o ludziach, przesłoniętych już latami wojny, o znajomych, dla których się miało szacunek. Pamiętam gruby — najcenniejszy tom, choć był tylko katalogiem rękopisów. Ale spisany jakże czcigodną ręką! Ogień zabrał ten najpełniejszy, przebogaty przewodnik, którego każda strona zdumiewała informacjami, sensacjami, gruntownością encyklopedycznego umysłu Biskupa-Bibliotekarza. Z uśmiechem notuję pomyłki — jak to pomieszane przez niedbałego introligatora fragmenty „Adone" ponumerował jako osobne księgi, z uznaniem odczytuję: *videtur mihi,* przy suponowanym niepewnie nazwisku tłumacza Jerzego Lubomirskiego.
A kiedy patrzę na moje skromne wyciągi i myślę o katastrofie warszawskiej, o naszej opieszałości w pomnożeniu drukiem tej olbrzymiej przepadłej spuścizny — gorzką i szyderczą miarę podsuwa mi Norwid: to jakbyśmy na grobie brata herboryzowali.

Rękopis Biblioteki Narodowej Pol F XIV 21 zawierał fragmenty „Adone", mianowicie ułomki pieśni III, IV, VI, VII, XII, XIV i całą XIII, natomiast rękopis Biblioteki Czartoryskich nr 1886 zachował pierwsze sześć pieśni tego samego przekładu w całości. Tłumaczenie mogło powstać między rokiem 1623 (data pierwszego paryskiego druku) a 1676, który da się wywnioskować z daty druku użytego na oprawę rękopisu Biblioteki Narodowej. Staranne poszukiwania nie dały wyników — nie znamy ani pozostałych pieśni, ani nazwiska tłumacza. A rzecz warta zachodu — posłuchajmy, co mówi o epopei Stanisław Herakliusz Lubomirski (w „Rozmowach Artaxessa i Ewandra"):

> Pospolitymi zaś narodów językami, co zowią „in vulgari", wiele godnych ludzi siłę rzędne i wyborne Poezye pisało. Ale między wszystkimi Marinus Włoch najpierwsze moim zdaniem ma miejsce, a osobliwie Księga jego o Adone Oktawą złożona nie ma żadnej, którąby się jej w wdzięczność stylu, obfitość konceptów i słów bogatych i żywych piękność porównać mogła. Sonety jego i Idylie są także dziwnie piękne i uczone.

Sekunduje mu... Brückner:

> ... — a przecie znalazł się poeta, który takie dwadzieścia pieśni przełożył! bo musiał być poetą, musiała go oczarować i olśnić melodia i przepych niezrównanego języka, musiało zhołdować sobie niewyczerpane bogactwo inwencji, epizodów, aluzji tego, który tę pracę w rękopisie zostawił...

Bo rzeczywiście „Adone“ jest doskonałą i olbrzymią syntezą baroku, a zwłaszcza jego marinistycznej odmiany. Osnowę poematu stanowi historia miłości Adonisa i Wenery:

Przeto z zasłony, którą ja tu snuję,
Z wierszów pieszczonych i bajek gotuję —
Każdy niechaj ten czerpa sens prawdziwy:
Zbytniej rozkoszy koniec żałośliwy.

Swobodnie jednak i bez kłopotów o motywację, dołącza nasz autor kilkanaście wątków różnego rozmiaru. Prócz wątków przysmaczony jest poemat setkami aluzji politycznych, osobistych, opisami „naukowymi“. Oto opis obrazu — prawdopodobnie pędzla któregoś z przyjaciół autora:

Odźwierny prosi, by Adon na ściany
Patrzał i na on ganek malowany,
Na którym widać nieme poezyje...

A wtym nań Panna nazbyt śmiała wsiada
A on z nią z wielkim w morze biegiem wpada.
I unosi ją, która wylękniona,
Wzad się obraca zewsząd opuszczona.
Woła ratunku, a jedną się z męką
Za róg a drugą za grzbiet trzyma ręką.
Kwiatki jej z łona do morza wpadają,
A wiatry z włosem rozpuszczonym grają.

Stoją na brzegu srodze utrapione
Jej towarzyszki z niej osierocone,
Skazując Pannę, co srodze płakała,
Że zbójcy nazbyt wielką wiarę dała.
Zda się, że ten głos, co od nich pochodzi
— Dokąd Europo? — w polach się rozchodzi,
Zda się, że piasek, wiatry, woda żywa
— Dokąd Europo? — wzajem się odzywa.

Nawet dwukrotnie spiętrzona fabuła mitologiczna nałożona jest na konkretną sytuację z ówczesnego świata czy światka, podbarwioną pochlebstwem zręcznie ulokowanym. Bliska poecie rzeczywistość, czynniki społeczne i gospodarcze, które warunkowały jego życie i twórczość — wprowadzane są setki razy na karty pozornie mitologicznego tylko poematu.

Croce robi zarzut Mariniemu, że nie potrafił on zbudować sugestywnego — w naszych pojęciach — opisu. Wi-

docznie takie sposoby organizowania materiału słownego nie były wtedy postulowane. Stosunek baroku do rzeczywistości wizualnej najlepiej odda nam „opis" kwiatu:

Są tam Tulipy, w których jak o sztukę
Chce przyrodzenie zwyciężyć naukę.
Te złotem szczerym swe lilie haftują,
Którym i perski złotogłów celują,
Te się w powłokę rumianą odziały,
Z którą szarłaty arabskie przegrały.
Igłą szytego ani też tkanego
Niemasz jedwabiu Tulipie równego!

Twory rąk ludzkich przenosi poeta nad piękno natury. Świat — w oczach seicentysty — zaledwie może dorównać wyrobom cyzelatora i rzemieślnika. Odczytajmy z narzędzia poety pychę człowieka, który niedawno zaczął myśleć, poruszać się po rzekomo jasnym, uporządkowanym niedawno przez sceptycznego filozofa globie.

Setki metafor, hiperbole, paradoksy, przebogata inwencja rozmieniana na efekty, które wydawać się mogą płaskie lub zabawne — suma zabiegów uniezwyklania, które obowiązuje do dziś wszystkie sztuki, wszystkie gatunki literackie, pozwalają na zilustrowanie podstawowej cechy formalnej, maniery literackiej baroku. Jeśli mianowicie rozróżnimy w dziele literackim materiał i sposoby organizowania go w konwencjonalne kształty wyrazu poetyckiego — powstaje problem stosunku owych dwu przestrzeni zjawiska literackiego do siebie. Barok ułożył ten stosunek po linii podporządkowania materiału słownego i pojęciowego zabiegom stylistycznym. Zasada ta posiada zresztą swoistą morfologię, a w wieku XVII przeprowadzona była konsekwentnie w pełnych, krańcowych formach. Narzędzie poetyckie osiągnęło nie tylko autonomię, ale taką samodzielność, że często przestaje służyć i utworowi: „Adone" z powodzeniem można posiekać na kilkanaście książek i kilkaset sporych wierszy — to zaiste ocean imaginacji. A ocean to żywioł chaosowi najbliższy. Wahalibyśmy się jednak nazwać ten poemat katalogiem: długość fabuły, sumy nagromadzeń też są komponentem wyrazu poetyckiego — dziś nieużywanym. Dotyla już obcym, że Marino-Mistrz jaki się na tle pieszczonej za-

słony z wierszów i bajek, jako uczeń czarnoksiężnika, któremu oktawy znoszą i znoszą bez końca kwiaty z klejnotów misternie rzeźbione.

5

Przedstawiony wykaz dziesięciu przekładów, sześciu znanych tłumaczy, fragmenty wierszy cytowane dla ilustracji uwagi o wprowadzonych za ich pośrednictwem elementach poetyckiego spojrzenia — szkicują zaledwie punkt wyjścia rozważań, na jakie czeka daremnie historia polskiej literatury i kultury. Chodzi mianowicie o wyznaczenie zależności między strukturami kulturalnymi Polski i Włoch w momencie ważnym, w momencie genezy nowożytnej myśli filozoficznej, przełamania supremacji świata antycznego, sprowadzonego właśnie do funkcji ornamentu. Przytoczone materiały, tak fragmentaryczne, ukazują, że Gianbattista Marino był pisarzem z obcych najgłębiej i najpowszechniej aż po wiek XIX przyjętym. Wpływ Petrarki i petrarkistów, jakkolwiek ważny kulturalnie i formalnie, w ogólnym obrazie poezji polskiej słabo się tylko zaznaczył; Ariosto w swej głębszej istocie pozostawał obcy Polsce VXII wieku — słusznie to oceniał już Mickiewicz w paryskich wykładach.

Jak Marino został przez krytyków i czytelników zapomniany, tak barok zlekceważony przez historyków literatury i kultury. Gdy pierwsze jest rzeczą gustu i wyboru — drugie grzechem. Dziś rozumiemy, że nie wolno było wykreślać z całości naszej kultury okresu blisko dwusetletniego, prądu najpowszechniejszego, mody najbardziej swojskiej. Płytka i nieprzemyślana pejoryzacja konceptyzmu w naszej historii literatury przypisała do baroku grymas błazeński. Nie umiano zbudować nawet właściwej problematyki tej epoki. A trzeba wreszcie zapytać jak uformowane były w ówczesnej Polsce środowiska twórców i czytelników, jako była odległość między kręgami Lubomirskiego, Potockiego, Władysławiusza, czym wypełniona, jakimi treściami kulturalnymi żyły owe kręgi. Powinniśmy odczytać, jakie naprawdę znaczenie mają przeszczepione „włoskie" symbole literackie. Wiadomo, że zmieniła się ich treść kulturalna, skoro przekroczyły Alpy, wiadomo, że musiała się zmienić, gdy wędrowały z tarasu zamku królewskiego, na którym wiedli

dyskurs Artaxes i Ewander, do literatury mieszczańskiej. Warto też przedyskutować, jaką wartość na rynku badawczym będzie miał rękopis siedemnastowieczny, zastępujący książkę, warto zrobić rachunek, jakimi materiałami operujemy, jaką typologię można do nich zastosować.

Trzeba umieć zrezygnować z obserwacji tych badaczy, którym zjawisko literackie samą swoją datą o 300 lat odległą — usuwało się w mroczną perspektywę dawności. Mroczną, jak wszystkie hipostazy. Bo badanie humanistyczne rozróżnia już układanie faktów w struktury od zabawnego nizania paciorków według chronologii. Z madrygału humanista odczyta tyleż samo, co z współczesnej powieści realistycznej, jeśli tylko przełamie naiwność rzekomego dystansu historycznego.

Humanista nie rozróżnia literatur pożytecznych, złych, dawnych — widzi tylko sumy wyodrębnionych faktów kulturalnych i relacje między nimi.

Inaczej świeci słońce w Brytanii, inaczej w Neapolu.

Szekspir po długotrwałych badaniach wnętrza człowieczego — z pokorą niewiedzy staje wobec życia i świata. Na kontynencie, gdy wspaniały i groźny sceptycyzm Descartes'a uprzątnął przestrzeń — wybucha entuzjazm dla pierwszych zdobyczy nowoczesnego, empirycznego poznania. Taki pyszny optymizm przerzucony na sprawy międzyludzkie, jeśli stawał się czynnikiem komponującym rysunek świata, tworzył konstrukcje tyleż imponujące, co nietrwałe. Obowiązuje to dziś z taką samą dokładnością, co i w królestwie neapolitańskim. Doświadczył tego na sobie w sposób najpełniejszy nasz poeta: rzadko kiedy amplituda znaczenia i sławy nakreśli tak gwałtowną krzywą.

Gianbattista Marino — gwałtowność kwitnienia, gwałtowność zgonu.

JERZY KOWALSKI

„RODZI SIĘ — CZY TO MOŻLIWE? — COŚ WIĘKSZEGO OD ILIADY!

,,Enejda" jeszcze powstaje, a już zrywa się oklask, długo potem nikt go nie powtórzy. Zrywa się z półkola, w którym zasiada kilku poetów i krytyków. W pośrodku Wergili, niemłody już, o ciemnej twarzy wieśniaka, wyniszczonej chorobą. Urodzony w roku siedemdziesiątym przed erą chrześcijańską pod Mantuą w Italii północnej, liczy w tej chwili czterdzieści kilka lat. Ledwie przekroczywszy pięćdziesiątkę, zakończy życie, wyczerpany trudami podróży greckiej, w mieście portowym Brundisjum, w roku dziewiętnastym przed Chrystusem.

Wola cesarza Augusta poderwała lękliwego samotnika do dzieła, które sam nazwał szaleństwem, a inni witali szyderstwami. Urągliwe porównania z Homerem zaczynają się już po pierwszych recytacjach, a echa tych krytyk dolatują nas z wieków, kiedy ,,Enejda" stała się już częścią nieśmiertelności Rzymu. Łaska dworu otuliła ,,Enejdę", wydarła ją płomieniom, na które skazywał ją testament autora. W wiek później nauczyciel podejmuje z drogi zapomnienia dzieło trudne i uroczyste, już obarczone literaturą kalumnii. Tak życie wielkiego dzieła bywa zrazu wątłe. Chuchane w pieluchach, pieczołowicie ujęte pod ramiona wkracza w historię.

Wergili nie był pierwszym poetą wielkości Rzymu. ,,Annały" poety Enniusza streściły ją, i ta kronika sławy wychowała naród. Sam Wergili nazywa go ludem enniańskim. Chociaż rozebrał na swoim warsztacie ,,Iliadę" i ,,Odyseję" na wiersze i słowa, na drobiazg porównań i metafor, chociaż wyjął z rejestrów homerowych wątki i motywy,

czyni ustępstwo, rzuca ludowi enniańskiemu wyrazy z mowy *ojca Enniusza*. I tak do tego ludu przemawia w „Enejdzie".

Drudzy miedź czuciem natchną wyborni rzeźbiarze
I marmurom potrafią dać żyjące twarze;
Wytworniej mówić będą i pod cyrkla władzę
Wschody gwiazd i niebieskie obroty oddadzą:
Ty pomnij Rzymianinie w twój rząd objąć ludy!
Taki twój kunszt!

Jest on kunsztem „Enejdy":

Drudzy miedź czuciem natchną!

Przeznaczenia narodu, w religijny sposób objawiane, rządzą powieścią o Eneaszu. Cokolwiek mu się przydarza, żadna przygoda nie należy w całości do niego, ani on do żadnej przygody nie należy. Idzie dalej i służy dziejom, wystarcza mu rozkaz. Słyszy go częściej, niż ludzie Homera słyszą rady bogów swoich. Niewiele jest poematów podobnej udręki. Nie fortele ocalają Eneasza, nie męstwo bojowe, nie opieka bogów, lecz posłuszna świadomość posłannictwa: ona go ocala przed sobą samym, przed własnymi złudami i pragnieniem spoczynku. Jest ono tak wielkie, tyle razy „Enejda" zdaje się już dobiegać szczęśliwego końca, że podrywana na nowo, piętrzy się, bohater przezwycięża się w każdej przygodzie, poemat nasila się bohaterstwem według miary tragicznej. W „Boskiej Komedii" Dantego Wergili nazywa tragedią swoje dzieło. Nawet elegijny epizod miłości Dydony jest uczepiony u tego belkowania stropowego „Enejdy"; w nim się zadzierzga odległy, poza metę „Enejdy" sięgający los.

Temat „Enejdy" był w małym tylko zakresie pozostawiony pomysłowości pisarza. Wielki ojciec starożytnictwa narodowego, Warro, gromadzi i rozsypuje na piśmiennictwo wszystkie dokumenty narodu rzymskiego. Wergili miał przed sobą to tylko zadanie: uczynić z tego „Enejdę". W materii prawie bezbrzeżnej okazał się po wielu rozmysłach ostrożnym gospodarzem i pojętnym uczniem Homera. Bo epizody homerowe w „Enejdzie", to jakby tyleż kropli ambrozji z puhara poezji homerowej. Wergili trzyma go w ręce, bo kto pisze epos, ten spełnia toast na wieczność

Homera. Na puharze jest rzeźba wyobrażająca ubóstwienie ojca wszelkiej poezji, a wewnątrz znajduje się ambrozja, napój, który daje nieśmiertelność. Wergili rozlewa jej krople na „Enejdę", czyniąc z niej książkę nieśmiertelną.

Burza odrywa Eneasza od przeznaczonej ziemi i rzuca na brzeg Kartaginy. Pierwszą przygodą, jaka dzieje się w „Enejdzie", jest nieheroiczna miłość Eneasza i Dydony. Od Owidiusza i malowideł pompejańskich aż po najnowsze czasy żyje ten najmniej bohaterski epizod „Enejdy" przez to, że ma swoje szczególne bohaterstwo, dosyć częste w miłości: bohaterstwo kobiety. Nie wzrusza ono Eneasza, ale zdobywa nas, to my cierpimy z Dydoną i dlatego za jej cieniem nadąża zastęp tylu poetów. Wergili stworzył ten cień i w szóstej księdze ukazał Eneaszowi: cień nieprzejednanie milczący. Dydona oskarżyła kochanka, a na karę śmierci skazała siebie. A teraz milczy, bo użyła ostatecznego argumentu, przepłynęła rzekę zapomnienia i nie zapomniała.

Eneasz przybija do brzegów Italii, kończy się Odyseja tułaczek, a *zakryta* jego oczom jest jeszcze Iliada walk o nowe państwo. Między tymi dwoma trudami odbywa się zstąpienie Eneasza do podziemi. Ledwie Eneasz stawił nogę na lądzie, Wergili ukazuje mu nową ojczyznę: nie jej piękność, nie bogactwa, lecz konieczną, nałożoną na Eneasza wielkość Rzymu.

Wrócony światu, jest bezdomnym tułaczem. Musi walczyć o piędź ziemi dla stóp swoich i wykrawać z niej mieczem pierwszy kształt państwa. Poczyna się *coś większego od Iliady.* Tam walczą dwa lądy o kobietę boskiej piękności, lud królów helleńskich staje u furty Azji. Tu rzesza niedobitków trojańskich mobilizuje przeciw sobie półdzikich władyków. Miasto, o które walczą, jest niemal bez imienia, jego królewna Lawinia — bo o nią poszły gniewy — nieznana i jakby niedostrzegalna w „Enejdzie". Bohaterzy walk, to pacholęta: Pallas, Euryatus i Nisus. Dziwna to „Iliada", nie szumiąca ochotą bojową. Poeta zawiesił nad nią smutek przedwczesnych zgonów. Takie smutne jest od początku męstwo Nisusa. Zwierza przyjacielowi swoją nagłą, jakby obcą sobie, przez niedobre bóstwo podszepniętą chętkę wielkiego czynu i prosi go

o garść ziemi na oczy: taka jest w tym chłopięciu wiotka i niezawiniona żądza sławy. I taki także jest Wergili: obcy furii miłości, obcy furii męstwa. Ma pieśń i ma łzy także dla nieprzyjaciół, obdziela żalem obie strony walczące, bo wojna domowa pisze tu poprzez tekst Homera swoje nekrologi. Królewna Kamilla walczy przeciw Trojanom, a przecież zgon jej jest tak samo bolesny. Dante powiada, że Italia powstała z tych zgonów i nie trzeba się nimi smucić. Wergili uczy tego smutku. Ale w obrazie wojny jest wielkim artystą. Nie ma w niej owych bezładnie gnających rydwanów po *ulicach wojny,* nie ma pojedynków tak ważnych, że tymczasem bitwa gdzieś się zapodziewa. Wergili nie oddaje strategii Dzeusowi, unika zamętu, owego *klonos polemoio.* Pisze zawiły romans o intrygach, zasadzkach, szaleństwach śmierci. Śmierć się dwoi, zadysza się morderczo w katalogach nazwisk wymazywanych z życia, nie zapowiedziana przeszywa z dala, przypada, rąbie wręcz, to się obwieszcza, mrozi i obezwładnia, kroczy i przystaje, długo waży pocisk i gubi przebiegle, w niewidziany jeszcze sposób. Ma ostatnie słowo w ,,Enejdzie": to z jękiem dusza wodza Italów Turnusa ucieka w mroki. Dalej żyje wizja, ukazana w podziemiach, bo podziemia są ostatnim wyrazem poematu: *sub umbras.*

Skończyła się i wizja wielkości Rzymu, ale nie skończyło się trwanie ,,Enejdy". Nowi jej czytelnicy uczyli się na niej już nie przeznaczeń swojego narodu: samej łaciny uczyli się teraz na ,,Enejdzie". Zachowały się do niej objaśnienia szkolne, w których są wyrazy gockie. ,,Enejda", podręcznik nauki języka łacińskiego, jest jedyną kładką nad ciemnościami siedmiu wieków. Po niej pisarze rzymscy przeszli ze swojej chwały ku jej odnowieniu w wieku piętnastym. Układano gramatyki i retoryki dla lektury samej jednej ,,Enejdy". Uczono się na niej czytać i pisać, jak na Biblii. Istotnie, przez tych siedem wieków ,,Enejda" była drugą po Biblii książką świata, bożym płomieniem — mówi Dante — który zapalił płomieni tysiące. Z ławek gramatyków Dante podnosi ,,Enejdę" w świetliste przestrzenie. I on uczył się na niej, zna ją całą: *tutta quanta.* Z niej wziął styl piękny, co mu dał sławę: *lo bello stilo che m'a*

fatt' onore. Ale ponadto *l'altissimo poeta.* jest w teologii dantejskiej teologiem świata nieodkupionego, wysłannikiem bożym dla tej ludzkości, którą krzyż oddzielił.

W czwartej eglodze zapowiedział przyjście Dziewicy i narodziny cudownego Dzieciątka. Ta to egloga odkupiła „Enejdę". Dzięki niej „Enejda" z podręcznika gramatyki staje się podręcznikiem moralności, poradnikiem w strapieniach duchowych i niepewnościach: wszak jest nim jeszcze w rękach Wojskiego! Ludzie ciągną z niej losy, jak z Biblii. Ze starorzymskiej ojczyzny czarnoksięstwa, z Neapolu, z samego pobliża grobu Wergilego, wstaje jego zjawa pół pogańska, idzie, wyciąga ręce i czyni cuda. Czytamy w romansach z owych czasów, jak to Wergili hodował zioła czarodziejskie, jak rzeczy odległe widział w zwierciadle czarnoksięskim, jak z ust głowy magicznej słuchał przepowiedni. Rybacy neapolitańscy nie umieli czytać, ale widywali Wergilego na ulicach, na brzegu, po polach Kampanii, jak przystawał, dociekał, gdzie Eneasz lądował, gdzie grzebał swoich towarzyszy, którędy zstąpił do podziemi. Tam obok wieszczka Sybilla spisywała losy Rzymu. Czarnoksiężnik Maro wyrósł tedy nie z „Enejdy", lecz z owych wędrówek po jej teatrze.

Zdumiewająca to, prawie czarnoksięska siła książki i postaci. Obie urzekły świat. Niemal nie ma w literaturze i w historii znaczniejszego nazwiska, któreby nie znalazło się w zasięgu tej siły. „Enejda" jest po dziś dzień główną lekturą klasyczną, skarbnicą słynnych wierszy i powiedzeń. A nasz Mickiewicz ileż to ich rozsypał po dziełach swoich? Niedarmo zwracał z Kowna „Enejdę" *niegodziwie obszarpaną.*

Bo i w Polsce Wergili objawił się czarodziejem i pocieszycielem. Rzucił na nią czary w chwili, kiedy szukała leków po utracie państwa niepodległego. I oczywiście znalazła te leki w „Enejdzie". Ale z większą wiarą, niż Wergili, który rzucał spełnione proroctwa, Woronicz je podejmuje i przekazuje nowemu spełnieniu:

Nie zagrzebie naszego rodu ta mogiła!
Troja na to upadła, aby Rzym zrodziła.

Pożar Troi rzuca łunę na nasze zgliszcza, nowi Eneadzi unoszą z nich wiarę w cud „Enejdy".

Unieść w sercu poczciwym z popiołów Pergamy
Co najdroższego jeszcze od pradziadów mamy —

pisze mały filomata wileński.

Nie stanęła i nasza dola na drugiej księdze „Enejdy": na zburzeniu Troi. I my na zwycięskiej walce zamykamy naszą „Enejdę" i przekazujemy tę niebolesną odtąd lekturę młodym Polakom, bo wszak to nasz Wergili i nie ma chyba polskiego dziecka, któreby nie zataczało koła czarodziejskiego, śpiewając piosenkę o ojcu Wirgiliuszu. A on od tylu wieków uczy dzieci swoje.

1936

MARIA DĄBROWSKA

URYWEK WSPOMNIEŃ

Pisane w Warszawie w 1943-im r.

Przeglądając moje notatki z lat 1929—1935, stwierdzam przerwy w prowadzeniu dziennika, obejmujące długie miesiące, nieraz prawie rok czasu. Te przerwy, podobnie jak i dawniejsze, przypadają często na okresy mojego życia ważne, nieraz ważniejsze niż czas, zaznaczany codziennym zapisywaniem błahych zdarzeń. Zauważam przytem dziwną rzecz. Zaczęłam pisać dziennik z początkiem pierwszej wojny światowej w przekonaniu, że żyję w wielkiej epoce, w której każdy co najmniej ociera się o fakty warte zanotowania. Lecz z biegiem lat ,,historja" znika niemal z kart mego dziennika i nie notowane są nawet fakty dziejowe, które odegrały bezpośrednią rolę w moim życiu, jeśli nie zewnętrznym, to duchowym. A chęć i potrzeba pisania dziennika, ograniczającego się coraz bardziej do spraw osobistych i prywatnych, mimo to nie słabnie. Pozostaje to zapewne w związku z moim stopniowym odsuwaniem się od czynnego udziału w t. zw. życiu publicznym i z coraz wiekszym moim sceptycyzmem co do wartości tego życia. Może tu jednak wchodzić w grę mnóstwo innych przyczyn, których nie dostrzegam lub nie uświadamiam sobie.

Wszystko to pogrąża mnie w zadumę nad sensem pisania dzienników. Co rządzi najbardziej tą czynnością? Co chcemy przez to osiągnąć? Przekazać jakimś potomnym wieść o tym, co razem z naszą śmiercią przepada bez śladu, a co jest naszą niepowtarzalną, jedyną w swoim rodzaju, własną doczesną osobowością? Dać wyraz tej całkowitej prawdzie naszego życia, której pełnię warunki realnej rzeczywistości każą przemilczać, zatajać albo wypaczać? Przed-

stawić się jakiemuś urojonemu trybunałowi w korzystniejszym świetle, jeśli uważamy się za krzywdzonych ludzkim sądem, lub ujawnić naszą nędzę duchową czy moralną, gdy dręczy nas poczucie niezasłużonych łask losu i opinii? Co za złudzenie, że którykolwiek z tych wysiłków doprowadza do zamierzonego i upragnionego celu! Nie wiemy nigdy czym i jacy jesteśmy w oczach bliźnich, ale nie wiemy również, czy istotnie jesteśmy tacy, jakimi wydajemy się sami sobie. Nie wiemy nawet, co przedstawia nas istotnie w lepszym lub gorszym świetle. Nasza próżność i miłość własna bywa źródłem najzabawniejszych w tej kwestii nieporozumień. A jeśli idzie nam już tylko o tak mało w życiu dostępną satysfakcję powiedzenia raz t. zw. „nagiej prawdy" o sobie i o świecie, to wszak docieranie do prawdy naszych przeżyć jest podróżą bez kresu i podróżą po manowcach. Jedno dodane albo ujęte słówko, jeden pominięty albo podkreślony drobniutki szczegół zbijają nas już z drogi. Dodajmy, że to, co przeżywamy dziś, po latach we wspomnieniu staje się zgoła czymś innym, czasami czymś znacznie bogatszym i ciekawszym, czasami czymś o wiele mniej ważnym, lub nawet czymś odwrotnym. Nie dosyć na tym. Czytając swoje notatki, przypominam sobie, że już wtedy, kiedy się działo to, co zapisywałam, i fakty i moje reakcje bywały niekiedy cokolwiek różne od tego, co z nich w raptularzykach utrwaliłam. Czasem przypominam sobie nawet względy uboczne (przeważnie wpływ najbliższego otoczenia), które kazały mi daną rzecz, jakby trochę inaczej zapisać, niż ją czułam i przeżywałam. A jednak nie „poprawiam" dawniej zapisanego tekstu w poczuciu, że i owo „inaczej" jest jakąś postacią prawdy o mnie samej, o moim życiu i moim świecie. Według Einsteina godzina, którą stwierdzamy na zegarku, nie jest już „tą" godziną. Przeżycie zapisane nie jest już tym przeżyciem, któregośmy doznali przed paru zaledwie godzinami. Niemniej — oba są chyba w jakimś sensie prawdziwe. Przy czym powiedzieć „oba" to jeszcze za mało. Gdyż jest się tak rozmaitym człowiekiem, a każde nasze przeżycie ma w sobie zadatki na tyle innych przeżyć. I nie raz, nie dwa, lecz wiele razy i na wiele sposobów doświadczamy go, zarówno w czasie jego trwania, jak potem w naszych wspomnieniach. Które z tych przeżyć jest najprawdziwsze? Co

kieruje nami, kiedy bezwiednie czynimy wybór, żeby zanotować nie tę lecz ową postać tych wielu aspektów tego samego zdarzenia czy uczucia? Tajemnica, tajemnica, w którą spowite są mimo ciągłych ,,odcyfrowań" wszystkie nasze kroki, gesty, uczucia i myśli na tej ziemi. ,,Pièce d'identité" stwierdzająca tożsamość naszej osobowości wśród tak różnych i sprzecznych ze sobą jej przejawów, jest nam zazwyczaj — tak jak paszport i równie mało zabawnie — wystawiana przez innych.

W poczuciu, że tak już być musi, przystępuję do uzupełnienia szczerb w notatkach za rok 1929-ty [1]. To coś trochę, jak bywa w czasie owocobrania. Już nam się zdaje, że zebraliśmy wszystko, gdy nagle postrzegamy trochę przeoczonych owoców. Tedy wracamy raz jeszcze. Owocobranie jest poza innymi pożytkami — przyjemnością.

*

Gdy przypominam sobie rok 1929, staje mi przed oczyma kilka jego momentów szczególnie ostro zapamiętanych, a o których w raptularzyku są tylko pobieżne wzmianki. Więc np. w czerwcu zapisuję, że po jakimś (jedynym, na jakim byłam) podwieczorku w Belwederze wyszłam z paniami Zofią Nałkowską i Jehanne Wielopolską i byłam z nimi w cukierni. Otóż tę bytność w cukierni pamiętam bardzo jaskrawo, m. in. dlatego, że wówczas po raz pierwszy (i jedyny) zetknęłam się i zapoznałam z panią Wielopolską, a nawet w ogóle po raz pierwszy ją zobaczyłam. Miało to dla mnie znaczenie z dość osobliwego powodu. W mych bardzo młodych, bo niespełna dwudziestu, latach, na krótko przed wojną światową, wracając przez Kraków z zagranicy, wstąpiłam do Wilhelma Feldmana i ze drżeniem serca wręczyłam mu rękopis noweli. Dziś nie pamiętam nawet jej tytułu, choć mniej więcej pamiętam treść. Nowela została wydrukowana w ,,Krytyce" i wywołała gwałtowną napaść ,,Tersytesa" (jak się później dowiedziałam, Jerzego Bandrowskiego, brata Juliusza) w krakowskim ,,Słowie Polskim". Pani Jehanne Wielopolska, która mogła (lecz nie musiała) o mnie tyle tylko wiedzieć, że napisałam

[1]) Podaję tu tylko drobną część owych „uzupełnień".

była w „Tygodniku Polskim" głupio zarozumiałą i krytyczną recenzję którejś z jej książek, wystąpiła wówczas w mojej obronie. Ogłosiła w lwowskim „Wieku Nowym" duży artykuł, tyleż pochlebny dla mego opowiadania, co rycerski, uczciwy i rozumny jako postawa wobec niewłaściwych metod polemiki literackiej. Byłam tym bardzo wzruszona, ale jak to w młodości, człowiek jest na nic niepamiętny, i nawet jej nigdy nie podziękowałam.

Teraz w owej cukierni skorzystałam z niespodzianej okazji, aby w jakichś tam czułych słowach spłacić ten dług wdzięczności. Lecz, jak się okazało, nawet uczucie wdzięczności może być tylko zbyt dobrym o sobie mniemaniem. Pani Jehanne zaledwie mogła sobie przypomnieć owo zdarzenie. Była ona już wtedy starszą damą, starszą i ode mnie i od pani Zofii. Nie miała wrażającej się w pamięć twarzy ani postaci, lecz to zapamiętałam, że była w jakiś sposób miła, pełna uroku, dowcipna i zajmująca w rozmowie. Podobała mi się i to mi sprawiało wielką przyjemność, gdyż lubiłam jej książki, pomimo wyrozumowanych zastrzeżeń, jakie we mnie, kiedyś w młodości, budziły. Dotąd myślę, że „Kryjaki" są obok „Wiernej rzeki" najpiękniejszą powieścią o powstaniu 1863-go roku i zawsze żałowałam, że ten oryginalny talent, ozdobiony rzadką u nas kulturą literacką, tak się jakoś rozmienił na niesmaczne dziwactwa i wyskoki „ozonowej" publicystyki politycznej.

Te panie zaprosiły mnie do cukierni w Alejach Ujazdowskich (tej z werandą). Siedziałyśmy na powietrzu i jadły lody. Czułam się młoda, świeża, wesoła i prawdziwie „ufetowana". Obie damy były po rozejściu się z drugimi już mężami. Obie mówiły z melancholijnym humorem o swoich „eksach", jak nazywały byłych małżonków. W jakiejś chwili pani Zofia popatrzyła na mnie i powiedziała żartobliwie: — „A to oto stworzenie zawsze milczy o swoich sprawach osobistych. Nigdy nic z niej na ten temat nie można wydobyć". Spłoszyłam się, a ponieważ niedawno przeczytałam była „Biesy" Dostojewskiego, odpowiedziałam durnie choć prawdomównie: — Bo ja, jak Stawrogin mogę mówić o tym tylko z osobą bezpośrednio zainteresowaną, z tym, kogo kocham". Panie zaśmiały się, popatrzyły na siebie wymownie porozumiewawczym okiem i obie jednocześnie powiedziały

coś w rodzaju: „Ah, ten jest zawsze najmniej odpowiednim partnerem do takich rozmów“. Odczułam te słowa jako wyższą klasę dowcipu i finezji, wydałam się samej sobie jakaś pospolita i naiwna, a jednocześnie zrobiło mi się czegoś strasznie żal tych świetnych, sławnych kobiet, których przedmioty miłości nie nadawały się do zaspokojenia potrzeby ich wynurzeń sercowych. Nie wiem w końcu dlaczego ta scena i ta rozmowa zostały tak mocno w mojej pamięci, ale zostały.

Tegoż roku, pod koniec listopada czytałam w auli Uniwersytetu Warszawskiego nowelę moją „Ksiądz Filip“, napisaną częściowo w Gdyni, a częściowo w Jaworzu. Wieczór był urządzony przez Koło Polonistów pod protektoratem prof. Józefa Ujejskiego, który był bardzo moim „występem“ przejęty, choć nie byliśmy jeszcze wtedy w takiej przyjaźni. jaka się potem wywiązała. Przed odczytem przebywaliśmy chwilę w przybocznej salce, do której dużo ludzi wchodziło, a niektórzy witali się ze mną, przedstawiali mi się i starali się ze mną rozmawiać. Byłam oszołomiona, gdyż znałam wtedy (jak zresztą zawsze) bardzo mało osób z t. zw. świata. Z tego czekania na rozpoczęcie lektury został mi plastycznie w pamięci tylko jeden moment, gdy do owego pokoju weszła, również mi nieznajoma, bardzo urodziwa młoda para. Prof. Ujejski objaśnił mnie, choć go o to nie pytałam, że to młode małżeństwo, Józef Zaremba i poetka Ewa Szelburg-Zarembina. Dodał przytem rozpromieniwszy się: — „Prawda, jak od razu widać, że to weszła para kochanków“. Zaraz potem znaleźliśmy się w sali, która była wprost przepełniona. Akustyka w auli uniwersytetu jest bardzo zła, lecz ja miałam jeszcze wtedy giętki, niezmordowany głos, który nie bał się najgorszej akustyki. Umiałam jakoś pokonywać jej trudności i byłam bardzo dumna, gdy potem chwalono mnie, że w najdalszym zakątku sali każde słowo było doskonale słyszane i rozumiane. W jednym z pierwszych rzędów siedzieli wtedy, pamiętam, Tuwim, Iwaszkiewicz, Jasnorzewska i Maria Morska (Knasterowa). Tuwim z Iwaszkiewiczem, a jeszcze bardziej Morska z Jasnorzewską tak ciągle coś do siebie szeptali, że mnie to strasznie płoszyło. Ale jakoś wszystko poszło dobrze. Po skończeniu lektury, zanim wyszliśmy z auli, Dymitr Fiłosofow

zapoznał mnie z panią Eugenią Weber-Chirjakow. Była to maleńka osoba z pełną wyrazu twarzą, w której było coś z egipskiego ptaka, nieładna, lecz z urokiem i o wielkich niebieskich oczach. Przyjechała była właśnie wtedy z Paryża z córeczką i mężem, o jakieś trzydzieści lat od niej starszym, niegdyś sekretarzem Lwa Tołstoja. Rosjanka ta, niezwykle inteligentna, egzaltowana, z pesymistycznym poglądem na życie, posiadała wielką zdolność do entuzjazmu dla tych nielicznych jego przejawów, które uznała za możliwe do przyjęcia. Bywała u nas potem częstym gościem, nauczyła się dobrze po polsku, a rozmowy z nią, jak i w ogóle historia tej rodziny Chirjakowych mogłaby stanowić osobny rozdział wspomnień. Pani Eugenia odebrała sobie życie w październiku 1939 roku po kapitulacji Warszawy i wkroczeniu do niej wojsk hitlerowskich.

Wkrótce po tym wieczorze wyjechałam do Wilna, gdzie znowu czytałam „Księdza Filipa" w tamtejszym Związku Literatów, w gmachu podominikańskim, w domniemanej — jak mnie objaśniono — „celi Konrada".

Wilno, które znałam od dziecka z opowiadań mojej matki, z literatury, z historii, z rycin — zobaczyłam wówczas po raz pierwszy jako realną rzeczywistość. Niestety, pobyt w tym ślicznym mieście w roli prelegentki nie usposabiał mnie do obcowania z jego urokami tak jakbym chciała. Przytem warunki do „zwiedzania" były wyjątkowo niekorzystne. Cały czas panowała okropna pogoda, wicher, błoto i deszcz ulewny lub mokra śnieżyca. Pokazywano mi różne rzeczy, lecz deszcz i śnieg zalewały mi oczy, tak że patrzyłam na wszystko niby przez łzy. Marzłam i cierpiałam, najlepiej też chyba oceniłam wnętrza zabytków, w których przynajmniej nie lało. A nade wszystko — barokowe wnętrze kościoła św. Pawła, dzieło najwyborniejszej (zdaje się włoskiej) sztuki, jaką można sobie w tym stylu wyobrazić i z rzeźbami tak pełnymi natchnionego artyzmu, że mało gdzie chyba można coś równie czarownego podziwiać.

Mieszkałam w Wilnie u literatki tamtejszej, pani Wandy Dobaczewskiej, z domu Niedziałkowskiej, siostry znanego posła socjalistycznego, dziś już zamordowanego przez Niemców, Mieczysława Niedziałkowskiego. Mąż pani Wandy był majorem, oboje reprezentowali odmienny (sanacyjny) po-

gląd na aktualną politykę niż brat i szwagier domu, którego nazywali „Mek", ubolewając nad jego nieprzejednaną opozycyjnością wobec rządu. Z domu tego zostało mi wspomnienie jakichś rodowych portretów, staroświeckiego pokoju, w którym nocowałam oraz dwojga dzieci, inteligentnych i miłych. A właściwie, nie tyle same te dzieci pamiętam ile niezwykle interesujące dwuwierszowe piosneczki, z typu, zwanego w Rosji „czastuszkami", a których prześpiewywaniem owe dzieci mnie z własnej inicjatywy ochoczo zabawiały. Był to rodzaj dowcipnych grotesek, układanych przez młodzież gimnazjalną, w których motywy z kursu historii oraz literatury były komicznie w aktualia życia szkolnego wplatane. Żałuję bardzo, że nic z tego nie zapisałam.

Państwo Dobaczewscy byli dla mnie uprzejmi i gościnni, ale czuliśmy się ze sobą tak nieswojo i obco, że bliższy kontakt, ani wtedy, ani potem, nigdy się między nami nie nawiązał. Pamiętam jeszcze, że urządzili wtedy dla mnie „podwieczorek", z którego gośćmi także żadnej duchowej łączności nie nawiązałam, tocząc z nimi zdawkowe tylko t. zw., „niby rozmowy". Był na tym podwieczorku prawnik, p. Władysław Zawadzki, później kilkuletni minister skarbu, ożeniony też z Niedziałkowską, siostrą pani domu i drugą siostrą Mieczysława Niedziałkowskiego. Tego pana Zawadzkiego poznałam była w tragicznym dla mnie 1925 roku w Kosowie, gdzie często rozmawialiśmy bez żadnej zresztą satysfakcji. Nie podejrzywałam w nim wtedy żadnych możliwości na osobę w jakimkolwiek sensie wybitną. Jakoż nią nie był.

Jedno popołudnie tego mojego pobytu w Wilnie spędziłam u drugiej miejscowej sławy, pani Heleny Ochenkowskiej, która mnie zaprosiła do siebie na podwieczorek i kolację. Potem dowiedziałem się, że między tymi dwiema damami były jakieś rywalizacje, m. in. także w sprawie „organizacji" mojego pobytu w Wilnie, skąd jakoby wszystko „wypadło nie tak, jak być miało". Co jednak całkiem uszło mojej uwadze i w czym się nic nie zorjentowałam. Pani Ochenkowska była tęgą jejmością w średnim wieku. przystojną w sensie zwrotu „warta jeszcze grzechu". Mieszkała w bardzo małych pokoikach, czyściutko, starannie

utrzymanych i aż przeładowanych estetyką (w przeciwieństwie do pustawego i zaniedbanego mieszkania Dobaczewskich) w postaci mnóstwa kilimów, starożytnych tkanin, rodzinnych miniatur, sztychów i ceramiki wszelakiego rodzaju. Gość miał z nią ułatwione zadanie spożywania tylko w milczeniu podawanych smakołyków, ponieważ pani domu, ożywiona i rezolutna, sama przez cały czas mówiła. Zdaje mi się, że opowiadała zajmujące historyjki, ale nic z tego, co wówczas mówiła, nie zapamiętałam. Prawdopodobnie z winy mojego roztargnienia i mojej skłonności do czucia się w pewnych okolicznościach ,,nieobecną'', co uważam za największą wadę mojego obcowania z ludźmi. Pamiętam natomiast, że nad wieczorem przyszedł do pani Ochenkowskiej młody człowiek (znacznie młodszy od niej), który siadł z nami do stołu (a raczej do stoliczka, bo wszystko tam było jakieś filigranowe) z miną i sposobem zachowania się stałego bywalca, jeśli nie domownika. Był to urodziwy dryblas, wyglądający na ziemianina, przyjemnie swobodny i wesoły w rozmowie. Wobec pani Heleny zachowywał się tak, jak można by sobie wyobrazić, że zachowywał by się ,,prince-consort'' — wobec w jakiś sposób panującej, a w jakiś — poddanej mu osoby.

Rolę mojego przewodnika i ,,opiekuna'' w Wilnie wziął na siebie p. Witold Hulewicz, zdaje mi się kierownik literacki radiostacji wileńskiej (w każdym razie urządzał mi w niej wtenczas odczyt radiowy) i może prezes czy sekretarz Związku Zaw. Literatów tamtejszych. Jadąc, byłam bardzo ciekawa go poznać, gdyż pani Zofia Nałkowska opowiadała mi o nim (zwłaszcza o jego urodzie i jego jakimś dramacie rodzinnym) istne cuda, napełniając mnie wręcz tremą przed spotkaniem z tak niepospolitym człowiekiem. Znalazłam go przystojnym ową mało zajmującą urodą ,,typowego mężczyzny'', wielkiego, barczystego, o dużych płaszczyznach twarzy, co zawsze czyni jej wyraz nieco sennym. Stwierdzałam obiektywnie, że jest inteligentny, sympatyczny, uprzejmy, dla mnie i dla mojej twórczości życzliwie usposobiony, ale to wszystko nie docierało jakoś do mnie osobiście. Później nauczyłam się cenić Witolda Hu-

lewicza, jako wyjątkowo umiejętnego szerzyciela kultury, szczególnie poprzez radio. Jego wstępy do audycji muzycznych, jego radiofonizacja „Zimowego Wieczoru" Orzeszkowej były to klasyczne wzory tego, jak można i należy popularyzować rzeczy piękne. W tym sensie był on wielką i wartościową siłą społeczną. Ale myślę, że nie był pod tym względem ani w pełni dostrzeżony, ani należycie oceniony i wykorzystany. Lubiłam też jego radiowe recytacje utworów literatury, bo i to, co czytał i to, jak czytał, było wszystko zawsze w najlepszym smaku i bardzo komunikatywne. Po raz ostatni słyszałam jego piękny przejmujący głos w pierwszych dniach września 1939 roku w Warszawie, kiedy czytał przez radio Mickiewiczowskie: — „Bo krzyżackiego gada nie ugłaszczę"...

Pani Wanda Dobaczewska jest, jak się niedawno dowiedziałam już oddawna w obozie w Niemczech, bodaj że w Ravensbruecken, jej mąż podobno przepadł na wojnie. Jakoby i panią Ochenkowską Niemcy wywieźli. Witold Hulewicz zaangażowany w najniebezpieczniejsze działy roboty podziemnej, zginął na Pawiaku śmiercią męczennika i bohatera. Tak zaświadczyli o swym życiu ludzie, z którymi przyjemnie nudziłam się przez trzy dni w Wilnie, nie zdoławszy z nimi zawrzeć żadnej bliższej znajomości. Ni później — losom ich dorównać.

Ów mój wileński wieczór autorski upamiętnił mi się jeszcze tym, że w czasie kiedy czytałam „Księdza Filipa", jakaś starsza pani, zgorszona treścią tego opowiadania (które bez najmniejszego zgorszenia czytali potem — ksiądz Tadeusz Puder i ksiądz Kazimierz Korniłłowicz), wstała i wyszła z sali.

Był też na tym wieczorze ojciec Juliusza Poniatowskiego, piękny starzec o najdłuższych białych wąsach, jakie kiedykolwiek w życiu widziałam, spadających mu aż na ramiona. A w ogóle osób było niewiele, może trzydzieści lub czterdzieści, które jednak wypełniały dość szczelnie małą sklepioną komnatkę Związku. Gdy skończyłam czytać i „przebrzmiały oklaski", Witold Hulewicz powiedział: „Pani czytała bardzo dobrze, ale miała tu pani konkurencję, z którą trudno iść komukolwiek w zawody. Bo niedawno czytał tu pani nowelę „Szklane konie"... Stefan Ja-

racz". To była najprzyjemniejsza rzecz, jaką wtedy od Hulewicza usłyszałam, gdyż zdało mi się wielkim zaszczytem, że Jaracz czytał moje opowiadanie. A potem, wśród kilku innych osób, zbliżył się do mnie i przedstawił mi się niziutki pan o zawiesistych wąsach. Żachnęłam się, gdyż wzięłam go za znanego mi tylko z widzenia Władysława Studnickiego. Był to jednak nie on, tylko kubek w kubek z twarzy do niego podobny jego brat, Wacław Studnicki. Później pani Dobaczewska opowiedziała mi o nim, że przeszedłszy z jakichś życiowych powodów (bodaj że rozwód), na któreś wyznanie protestanckie stał się gorliwym szerzycielem poglądów swej nowej wiary. Rzecz godna uwagi, gdyż ci, co w owych czasach zmieniali z podobnych przyczyn religię. nie mieli dla swoich nowych wyznań tych nawet względów, jakie się okazuje krawcowi, który nam uszył wygodniejsze ubranie.

Pan Studnicki przymierzał zresztą widać do wszystkiego swą neoficką żarliwość, gdyż od razu powiedział mi, że moja nowela podobała mu się, bo jest pisana w duchu ewangelickim. Nie zrozumiałam w owej chwili, skąd mu się wzięła taka konkluzja i zdziwiłam się, mówiąc, że nie zdawałam sobie z tego sprawy. Na co on: — „A to jest właśnie tym cenniejsze, tym bardziej zachwycające". Nie wiem dlaczego — nie byłam zachwycona. Ów pan Wacław Studnicki złożył mi potem wizytę u państwa Dobaczewskich, okazywał mi dużo uprzejmości i on głównie oprowadzał mnie po Wilnie, o którego pamiątkach umiał mnóstwo ciekawych rzeczy opowiedzieć. Straszliwy deszcz, śnieg i wiatr nie były przez niego dostrzegane.

Ale jedyną naprawdę czarowną chwilę przeżyłam w Wilnie, kiedy wyrwawszy się z holującego mnie zacnie otoczenia, poszłam sama odwiedzić państwa Leszczyńskich. Od mojej ciotecznej siostry, Stelli Dziewulskiej, z domu Leszczyńskiej, wiedziałam, że w Wilnie mieszka brat jej dawno zmarłego ojca, Bronisław Leszczyński. Przed wyjazdem wzięłam od niej na wszelki wypadek adres owych Leszczyńskich. Bo ten pan Bronisław, brat naszego wuja, Władysława Leszczyńskiego, ożenionego z jedyną siostrą

mojej Matki, Julią, był niemal księciem z bajki naszego dzieciństwa. Tyle słyszeliśmy zawsze od Matki o Jej czarownych pobytach na Litwie u rodziny szwagra, o miłym panu Bronisławie, o tym jak ślicznie śpiewał, jakie urządzał dla Niej koncerty, wieczory, przedstawienia, jaki był wesoły, dowcipny i poetyczny. A znów od innych osób z rodziny — jak był w naszej Mamusi za jej panieństwa zakochany. Strasznie chciałam zobaczyć tego człowieka, który Matkę naszą, a przez nią nas, nauczył śpiewać wszystkie Ballady Mickiewicza. Serce mi biło, kiedy szłam pod wskazany adres i zbliżałam się do drzwi, za którymi nie wiedziano nawet o mym istnieniu na świecie. W pięć minut po moim przyjściu lody zostały przełamane, a właściwie nie było nawet żadnego lodu do przełamania. Bronisław Leszczyński był cudnej urody siwym panem, piękniejszym od naszego Ojca (choć i Ojciec był co się zowie przystojny) i któremu starość nie odebrała wdzięku. Musiał być w młodości naprawdę porywający. Jego żona za to nie odznaczała się urodą, ale była miła i pełna „kresowej" bezpośredniości w obejściu. Dowiedziawszy się kto jestem, pan Bronisław o mało mnie nie ucałował i przez cały czas wizyty nie odrywał ode mnie ładnych błękitnych oczu, może szukając jakiegoś podobieństwa do „panny Ludomiry". Przyjęli mnie jak bliską dawną znajomą albo krewną, żałowali, że się u nich nie zatrzymałam, namawiali mnie, żebym się do nich przeniosła i jeszcze jakiś czas pozostała w Wilnie. Dopiero jednak kiedy pani Bronisławowa wyszła, żeby mi przygotować sakramentalną herbatę, piękny siwy pan zmienił się jakoś na twarzy, położył dłoń na mojej ręce i oznajmił tajemniczo: — „Czy pani wiesz, że ja się w Matce pani bardzo kochałem? Umarła, mówisz pani?... O małośmy się nie pobrali!... „Przerwał, zadumał się, weszła pani Leszczyńska, więcej o tym nie było mowy, choć, owszem, dalej wypytywał o dzieje naszej rodziny, a ja nie skąpiłam opowiadań. Najzabawniejsze było to, że owi państwo słyszeli o mnie coś niecoś i wiedzieli z afiszów o mym odczycie. Mieli nadto w domu panienkę, wychowankę czy krewną, która znała moje książki i z nimi o nich mówiła. Ale oczywiście nawet im do głowy nie przyszło, że ta Dąbrowska jest Marią Szumską, córką „panny Ludomiry Gał-

czyńskiej". Mniejsza zresztą o to wszystko. Nie wiem jak to się stało i czym to się działo, ale siedząc w tym staroświeckim pokoju, z tymi dwojgiem starymi ludźmi, zaciągającymi „z litewska", czułam się rzewnie szczęśliwa. I jakby nagle wzbogacona o nową znajomość z moją Matką.

Państwo Leszczyńscy mieszkali na krańcach miasta i przez ich okno widać było tylko piaszczyste urwisko, uwieńczone rąbkiem niskich zarośli, wśród których stała, chwiejąc się, wysoka ruda sosna z atramentowym czubem. Patrzyłam na ten widok, nabierający gwałtownych barw pod przelotnym błyśnięciem zachodzącego słońca spomiędzy chmur.

I ten wzgórek z tą sosną, to było dla mnie właśnie miasto, którego oczekiwałam.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

CMENTARZ W TOPOROWIE

Już mi się nieraz opłaciło chodzenie po miejscach, gdzie chowają umarłych. Oczywiście mówię tu „opłaciło" w znaczeniu literackim. Z odwiedzin na pewnym cmentarzu urodziła się idea „Młynu nad Utratą", stary kirkut w Warce nad Pilicą patronował całym partiom „Błędomierskich Pasyj", a na cmentarzu w Sandomierzu układaliśmy z Pawełkiem Hertzem poemat o Iłłakowiczównie, który nie ujrzał światła dziennego, jako że był nie moralny. Teraz znowuż będąc w Toporowie nad Odrą polazłem sam nie wiem dlaczego na tamtejszy cmentarz. Ale przede wszystkim muszę opisać Toporów.

Jeszcze zdaje się niedawno jadąc samochodem do Weimaru na uroczystości goethowskie, przejeżdżałem samochodem przez schludne i zapadłe miasteczko niemieckie Topperau. Teraz jest to zbiorowisko wypalonych ruin, na których wiją swe gniazda bociany, i dopiero na drugim brzegu wspaniałej w tym miejscu Odry leżą ocalałe domy, kasyna, restauracja na górze ze zdziczałym kelnerem, i spadają do wody kaskadą piękne i zapuszczone ogrody. Stoi tam także na wysokim wzgórzu kościół, na prędce przy pomocy dwóch prowizorycznych ołtarzy, jednej figury świętego Antoniego i jednej świętej Tereski z różami, przekształcony z protestanckiej kirchy na katolicki przybytek. Całe życie miasteczka, a przypuszczam i okolicy, koncentruje się naokoło kościoła i położonej po przeciwnej stronie wąwozu restauracji. Pobożni mieszkańcy przybywszy do kościoła na nabożeństwo, po mszy popijają w restauracji, a pod wieczór rozpoczynają tańce: tanga, swingi i kujawiaki.

Oczywiście — ponieważ to było święto — poszliśmy do kościoła. Nigdy nie zapomnę tego wrażenia. Już po drodze, na wysokich schodach, prowadzących na pagórek świątynny, wyminęła nas jakaś panienka w sukni koloru tureckiego bzu. I kolor i krój sukienki były tego rodzaju, jakiego się nie spotyka w okolicach Poznania czy Warszawy. Przy kościele stało dużo ludzi. Rozmawiali z sobą wszystkimi narzeczami Polski. Ktoś czystym akcentem spod Suchedniowa mówił: „tako jezdem spocono!" — a ktoś od Ślesina przepędzał natrętnego dzieciaka: „Knajaj do chazy, żywo!" Ale w środku nie ulegało już wątpliwości: było mi tak, jakbym wszedł do kościoła mojego dzieciństwa. Pobożne baby w jedwabnych chustkach na głowach, panienki w wianuszkach i marszczonych sukienkach, chłopcy trzymający granatowe kaszkiety w rękach, wreszcie nabożeństwo samo, okazalsze i bardziej pompatyczne niż pod Warszawą, z wymusztrowanymi chłopakami w czerwonych spódniczkach i pelerynkach, którzy uderzali w dzwonki częściej niż gdzie indziej — wszystko to pochodziło stamtąd. Gdyśmy wyszli z kościoła, na ulicy w dole czekały rozmaite wehikuły: to wozy z „dugami", to bryczki poniemieckie, a nawet jedna staruszka w koronkowej „kosynce" na głowie porozmawiała z woźnicą siedzącym na koźle autentycznej karety i z nonszalancją wsiadła do wspaniałego pojazdu. Przyznam się, że poczułem się tutaj bardziej w Polsce, niż w jakimś Pleszewie czy Jarocinie, w Polsce ponadczasowej i ponaddzielnicowej, w kwintesencji polskości.

Do mojego gospodarza przyjechali rodzice i narzeczona, rozumiałem, że jestem trochę zbyteczny w tym towarzystwie i po obfitym obiedzie mimo upału, wybrałem się na przechadzkę. Zauważyłem za kościołem górkę pokrytą cienistymi drzewami, myślałem, że to jest park miejski, poszedłem więc w tamtą stronę. Tymczasem to nie był park, na zniszczonym murowanym ogrodzeniu widniały ślady rozlicznych pocisków, brama była zupełnie rozwalona, a na jej miejscu widniała na kijku deseczka z napisem: „Wejście dla cywilów i przejście do miasta milicyjnie wzbronione". Był to dawny cmentarz niemiecki.

Mimo tak groźnego napisu cień drzew rosnących na cmentarzu znęcił mnie i przestąpiłem bramę. Ogarnęła mnie atmosfera miejsc zupełnie opuszczonych. Strzyżone niegdyś krzewy na mogiłach puściły dzikie pędy, a między bukszpanami, ligustrem i jaśminami wybujała niezwykle dorodna, ciemnozielona pokrzywa. Cienista klonowa aleja doprowadziła mnie do przedpogrzebowej kaplicy, nad jej wyszarpniętymi z zawiasów drzwiami widniał duży, złocony niegdyś napis: ,,Ich lebe und du sollst leben". Akacje były w pełnym kwiecie i ich gęsty przenikliwy zapach wisiał nad całym cmentarzem. Teren opuszczonych mogił schodził w dół — w tym miejscu, w dali, za murem siedział żebrak, którego zauważyłem jeszcze idąc do kościoła, i grał nieumiejętnie na gitarze. Brzęk monotonnie szczypanej struny mieszał się z brzmieniem trzmieli i pszczół unoszących się nad gronami akacjowych kwiatów.

Mogiły były bardzo poniszczone. Pomniki pogruchotano i powywalano, posągi wywrócono, a co cenniejsze kamienie wyniesiono przez wybite przez pociski otwory w murze. Zeszłoroczne kwiaty wysiały się i kwitły tu i ówdzie pomiędzy gęstymi chwastami na zapadniętych mogiłach. Puste miejsca po wyniesionych grobowcowych płytach bielały odkrytym żwirem. Na tych krzyżach, które jeszcze stały, widać było niemieckie napisy. Jakiś radny miasta ,,Schiffseigner und Weinbergbesitzer" chwalił się, że żył 82 lata i zostawił dzieci, wnuki i prawnuki. Mogiłę jego zarastała ognicha.

Nagle za załomem ścieżki ledwie widniejącej wśród spiczastych zarośli pokrzywy, pośród specjalnie dotkliwie obrabowanych grobów ujrzałem oczyszczone miejsce, a na nim świeżutką mogiłkę, ozdobioną starannie zasadzonym wzorem drobnokwiecistych, różowych begonii. Zatrzymałem się zdziwiony i spostrzegłem, że przy mogiłce na nowej drewnianej ławeczce siedzi staruszka podobnie ubrana, jak te, które widziałem w kościele. Miała na sobie czarną jedwabną spódnicę w adamaszkowy wzór, czarny długi kaftanik zakończony koronką i chustkę czarną na głowie. W ręku trzymała różaniec, więc chyba nie Niemka. Zresztą Niemcy już stąd wyjechali.

Zrobiłem parę kroków i znowu stanąłem. Staruszka zwróciła się ku mnie i popatrzyła. Ujrzałem wtedy jej oczy wyblakłe i spłowiałe, tępe i jakby niewidzące. Ale widziała ona, i dobrze widziała, bo po chwili milczenia spytała:

— Pan się dziwuje?

Głos jej brzmiał dość nisko i jakby nieumiejętnie, tak samo jak gra ślepego żebraka na gitarze, tam pod murem. Nie wiedziałem co odpowiedzieć.

— Pan się dziwuje — tym razem potakująco powiedziała staruszka, a potem dodała — to siednij że pan — i posunęła się na ławce dając mi miejsce.

Z bliska dopiero zobaczyłem, jak mogiłka była starannie utrzymana. Szlak pomiędzy begoniami ułożony z potłuczonych niebieskich kafelków w kształt krzyża, a boki mogiły umocnione mchem i posypane piaskiem.

— To pani krewni tu leżą? — spytałem, choć wiedziałem, że to niemożliwe. Polski cmentarz był zupełnie gdzie indziej.

Stara uśmiechnęła się i pokiwała głową.

— Ni — powiedziała — moi krewni tu nie leżą.

W głosie jej nie było smutku, przeciwnie żartobliwość jakaś, jak gdyby myślała o czymś bardzo wesołym.

— A któż tu pochowany? — spytałem.

— A czy ja wim? — przeciągnęła stara — niemiec jakicić, a może niemka. Nie wim. Tu już napisu żadnego nie było.

— Niemiec?

— Ano, Niemiec. Tu innych nie chowali.

— I dlaczego pani tu siedzi? To pani posadziła te kwiatki?

— A ja. Ładne, prawda?

— I ten krzyż niebieski?

— Tyż ja. Taki sam był u mojego Kaziuka. To i ja tutaj taki zrobiła.

— A gdzie pani Kaziuk leży?

— A, pan wí... koło Ongrodu jest taki cmyntarz. Wysoko, nad rzeką. Nad samą rzeką, tak pan widzi, tu rzeka, tu cmyntarz.

— Młody był? — spytałem obojętnie.

— A na dwudziesty mu szło. Niemcy go zabili. To mój najmłodszy był.

— A może ten Niemiec co do niego strzelał, to tutaj leży, co? — spytałem dość ostro. Ale staruszka się nie przestraszyła.

— Chiba ni — powiedziała.

— A co pani tu robi?

— Co robię? Mieszkam. U wnuczki. To wnuczka po moim najstarszym. Jej mąż za piekarza tu jest. Zarabia, i owszem.

Zamilkła chwilkę, jakby się wahała przed tym, co miała powiedzieć. W pauzach dolatywały brzmienia skowronków — zaraz za cmentarzem zaczynało się pole — i holowniki na Odrze ciągnące barki z węglem gwizdały przeciągle. Potem staruszką westchnęła, niby moja niania, kiedy zaczynała mówić bajki, westchnęła po prostu dla nabrania oddechu i zaczęła opowiadać.

— Dawniej człowiek siedział na miejscu, to i wiedział, gdzie będzie pochowany. A teraz to jakosi pogubili się nam nasze mogiłki. A ja tak myślę, że matki jednakowe na świecie. Każda matka jednakowa. On się został w Ongrodzie. To może i tam jest jaka matka, co jego mogiłki pilnuje Za to, co ja tutaj tego Niemca — a może on był dobry, ten Niemiec, myśli pan, nie? chociaż to o dobrego Niemca trudno... co ja tego Niemca pilnuję. Może ona tam mojemu Kaziukowi kwiatków posadziła i konewką polewała. Ona tyż gdzieś swoje mogiłki może zostawiła... tak to już musi być na te czasy, paneńku kochany. A no, może nie?

Babunia nie wymagała ode mnie odpowiedzi. Odwróciła się cała ku mogiłce, i twarz jej skuła się w jakimś kamiennym wyrazie, którego znaczenia nie mogłem odgadnąć.

Ciągnęła dalej:

— Tak ja sobie wybrałam tę mogiłkę... że to niby będzie moja, jak mojego Kaziuka; spodobała się ona mnie... no, i dawaj ją polewać i chodzić... i tak myślę sobie, że tam musi ktoś koło mojej chodzić...

— No, a jeżeli nikt tam koło niej nie chodzi?

— To i cóż? Mało to opuszczonych mogiłek na świecie... i żywe ludzie są opuszczone, nie to, co umarłe... dobry uczynek nie zmarnuje się, nie bój się, paneńku...

Jak tylko kończyła mówić wyblakłym swoim głosem, nastawała upalna cisza. Kropkowała ona każde zdanie, pauzy

były długie między słowami, jak gdyby każdym zdaniem chciała na nowo zacząć całą sprawę. Ale już po dwóch słowach ochota mówienia odpadała i kończyła niewyraźnie. Prawie przestałem ją słyszeć.

Ale staruszka nagle jakby się zbudziła. Odwróciła się do mnie. Popatrzyła mi w oczy z dziecinnym wyrazem. Szukała jakiejś odpowiedzi, ale ja milczałem.

Znowu więc patrzyła na mogiłkę i znowu mówiła już jakby do siebie:

— Bo ja tak mówię sobie... znaczy się mówię... wszędzie są ludzie. Wszędzie są człowieki, człowiek za człowieka pracuje... i modli się...

— Prawda, paneńku? — dodała po chwili, nie patrząc już na mnie.

Zapadło milczenie. Siedziałem przez chwilę jak przykuty, ale od wilgotnych cieniów pod drzewami, od zbutwiałych liści, od pokrzyw rozrosłych szedł zaduch ciężki w upalnym powietrzu. Akacje pachniały w górze, a dołem ciągnęło jakby grzybami. Bez słowa wstałem, i stara się nie poruszyła.

Podążyłem ku wyjściu. W rozwalonej bramie spotkałem zdziczałego kota. Szybko znalazłem się na ulicy, w słońcu, na trotuarze zrujnowanego ale czystego miasteczka. Turkotała bryczka zaprzęgnięta w konia z dugą. Z pobliskiej restauracyjki dolatywały dźwięki harmonijki. Wracałem pospiesznie do mieszkania mojego przyjaciela.

— Wszędzie są ludzie — powtarzałem — amen, amen.

ŁAZARZ WSKRZESZONY CZYLI RADOŚĆ ŻYWOTA

Stukanie do drzwi nie ustawało. Stara kobieta podniosła się z zydla niechętnie. Kaganek oliwny ustawiony wysoko rozkwitał puszystą, żółtawą plamą sam dla siebie, nie ułatwiając rozpoznania przedmiotów przyczajonych w ciemności. Za ścianą stękały utrudzone woły, chrzęściły racicami w świeżo podrzuconej słomie.

— Kto tam? — zawołała stara. Oparła się rękami o drzwi i przekrzywiwszy głowę nadstawiła nieufnie ucha.

— To ja sąsiadko! Otwórzcie — odezwano się z ulicy. — Myślałam, żeś mnie już poznała.

Przestała się dobijać. Skrobała tylko niecierpliwie paznokciami w spękane dębowe deski, jak wdzierający się pies do izby, gdy poczuje podchodzące hieny.

Stara kobieta powoli namacała zasuwy. Odtoczyła nogą kamień, którym na noc barykadowano drzwi. Do izby wśliznęła się młoda żona garbarza, mieszkającego nieopodal. Stara kobieta znała ją od dziecka. Pamięta ją jeszcze, jak biegała naga i bawiła się zeschłym wielbłądzim pomiotem. I to małżeństwo, przed którym ją ostrzegała. Gwizdały flety, głucho tłukły się bębenki w ciasnym podwórzu. Potem przyszła noc, gdy wywołał ją garbarz i przyjmowała na ręce szorstkie jak ze spękanego rzemienia, dziecko śliskie od krwi. Dzieliły się radością i smutkami. Nie. Od zawodzeń i łez młoda stroniła. Brakło jej, gdy przystrajano Łazarza do ostatniej drogi. Za to ma w uszach jeszcze jej ptasi, judzący krzyk, jakim przynaglała męża, gdy mocowano się z kamieniem. Pamięta oczy młodej, jaśniały radością bardziej szczerą niż u krewnych, którzy musieli

długo ucztować i wypić wiele wina, zanim przeboleli przebudzenie. Jakże trudno im było oddać szaty, które już rozdzielili między siebie.

Stara kobieta dotyka sztywnymi palcami włosów młodej. Ma to być gest pieszczoty, ale palce zaczepiają się, jak zeschła gałąź. Młoda jednak rozumie bezradność starej, bo przytula się lekko, obejmuje ją wpół i podprowadza do ławy. Sama przykuca na piętach, z dłonią opartą o wydeptane kamienie posadzki. Gdy ociera policzek łaskotany włosami, czuje jak do palców przywarł zapach domowy startej na pył gliny i zeschłego kurzego łajna. Uśmiecha się w ciemność i patrząc w światełko lampki oliwnej, podobne do żółtego pisklęcia, zaczyna mówić.

— Zobaczyłam u was światło, więc pomyślałam — napewno coś się stało u Łazarzów. Byłam niespokojna, i przyznaję się, strasznie ciekawa. Narzuciłam suknię i przybiegłam, choć to już po północy. Teraz widzę, spokój tu i cisza, jest mi wstyd... Ale nie gniewasz się chyba?

— Nie — westchnęła kobieta. — Nawet we dwie przyjemniej posiedzieć. Mnie starej nie dużo snu potrzeba, a tyś młoda, krew ci po nocy spać nie daje. Męża nie ma?

— Po skóry poszedł do Damaszku. Obudziłam się. Nudno samej.

— Biegaj tak po nocy, biegaj, to się z Dżinami spotkasz. Słyszałam jak przelatywały po dachu. Bydło się płoszyło. Zapaliłam lampkę.

— Ja się Dżinów nie boję. Noc mi nie straszna, a przyjazna. Jakbym jej nie ufała, nie miałabym ani dziecka, ani męża. Łazarz śpi?

— Nie.

— To może już pójdę, wyszeptała, będzie zły, że was po nocy niepokoję...

— Siedź. Łazarz wyszedł.

— No, widzisz, on się też Dżinów nie lęka... Dawno wyszedł?

— Koguty piały jeszcze przed północą. On naprawdę niczego się nie boi, jeżeli chodzi tam...

— Tam chodzi?

— Teraz prawie co noc.

— Znowu go tam ciągnie?

— Tak. Czeka aż zasnę. Dzisiaj czułam, jak łaził mi po czole brodą, nadsłuchiwał, czy równo oddycham. Potem wyszedł cicho jak duch. Już nawet nie próbuję go zatrzymać, bo krzyczy: Kobieto, daj mi spokój! Ach, pocoście mnie wywołali, skoro go już raz zakosztowałem?

— Och, opowiedz mi wszystko! Chodzę koło was, drżę z ciekawości, a wy jak na złość mówicie o kozach i winie. Wiem, że źle fermentuje w tym roku i dzbany przeniosłaś do groty. Słyszałam już, że cap jest do niczego i nawet jego woń nie odpędza szczurów, ale oboje dobrze wiecie, że nie na to czekam. Patrzę na Łazarza, jak na przybysza z obcej ziemi, oby tylko zechciał przemówić! Przecież jest jedynym, któremu udało się powrócić. Ileż by nas mógł pouczyć i przestrzec.

— Kiedy on nie umie opowiadać, zaledwie parę słów od niego wyciągnęłam. Gdyby na jego miejscu był Juda, albo rzezak Achames, ci potrafiliby nam nie jedno rozjaśnić...

— A jeśli nie wolno nawet z takim kagankiem wchodzić poza zasłonę i gdyby on umiał opowiadać, nie pozwolono by mu powrócić?

— O chyba tak... Z tego, co z niego wyciągnęłam, wiem, że tam są chciwi i zazdrośni. I nic przed nimi nie można ukryć. Widzisz przecież co zrobili z Łazarzem. To już nie jest ten sam mąż. A przecież gdy go przywiedli do domu i tłum wiwatował na drodze... Kiedy wsparł głowę na moim ramieniu i czułam, jak dwie łzy spływają mi po łopatce — nigdy nie był bardziej mój. Pomyśl, dziś wymyka się co noc...

— Może przestał cię kochać? Czy podejrzewasz go, że się z inną spotyka? Wprawdzie, widziałam go jak rozmawiał u studni z młodą żoną Zaarona. Zasłaniała się przed nim dzbanem. Ale zrozum, nawet gdyby jej pragnął, nie będzie jej miał. Tu wszyscy go się boją. Dzieci przed nim uciekają. Jednak jest w nim coś z tamtych stron, gdzie w ciemności mieszkańcy się nie poznają.

— Skąd wiesz, że się nie poznają? On poznał wszystkich, gdy spadli na niego jak jastrzębie. Już wolałabym, żeby innej szukał. Ale on mnie nie zdradzi... On już nic nie potrafi pożądać.

— Urzeczono ci go?

— Na pewno urzeczono. Siedzi teraz całymi dniami na skałach i myśli. A czasami gada do siebie, tłumaczy i wygraża pięściami. To jest w nim nowe.

— A czy nie robił tego dawniej? Nieraz widywałam go na krawędzi dachu, jak wychylony, patrzył ku zakrętowi wąwozu. Nie wiem, jakiego gościa oczekiwał. Może się już spodziewał...

— Nie, nie spodziewał się, to nas oboje jednako zaskoczyło.

— To w takim razie przyglądał się dziewczętom, jak zakasawszy sukni zmywają sobie zakurzone kolana.

— Może, wtedy jeszcze mieszkał w nim płomień. Teraz tli się jak wilgotny nawóz. Zanim wyciągnie ręce, już w nim pożądanie wygasa.

— Ale dlaczego? Powiedz, dlaczego? Gdybym tak jak on powróciła, nie spoczywałabym ani chwili. Pamiętałabym o czarnej wnęce wykutej w skale, darłabym owoce obu rękami. Czy wiesz, że patrzę na niego jak do mrocznej studni, gdy potem odwrócę oczy — skały się jaśniej palą i krzyczy radość ze słońca.

— Mówił mi, że niczego nie warto pożądać, bo tam i tak wszystko odbierają.

— Kto?

— Oni.

— Strażnicy? Nieprzyjaciele? Synowie ciemności?

— Nie. Ci sami, co tu po tobie skrzynie rozdrapią — krewni, przyjaciele.

— Nie rozumiem cię. Jakże mogą tam odbierać?

— Bo już tam są i czekają na ciebie.

— Umarli?

— Wiszą całymi gronami, uczepieni rękami w ciemności. Wzdłuż tego łańcucha, który nazywa się ród, musiał się Łazarz wznosić.

— Tak chciałabym wiedzieć wszystko. Jesteś przy nim cały czas, podsłuchujesz go we śnie nawet. Ty musisz wiedzieć więcej!

— Tak. I dlatego zazdroszczę ci niewiedzy. Lepiej dla ciebie, byś nie wiedziała. Wszystko co on mówi, odtrąca świat od nas.

— To dziwne, bo ja właśnie pragnę po to wiedzieć, by mnie świat jeszcze mocniej posiadł.

— Ja wiem lepiej, więcej znam, jestem stara.

— Więc ty już się niczego nie spodziewasz? Na nic nie czekasz?

— A czy jest ktoś, kto by do ostatniej chwili nie czekał, że tam o nim zapomną? Choć wiem, że się łudzę, przystaję na to z ochotą. Ale oni pamiętają o każdym i wiem, że przyjdzie noc... Gdybyż wtedy dorzucono mi dni, jak ja nalewam oliwy, bo knot spragniony czernieje...

Chwilę nadsłuchiwały przytulone do siebie. Coś przebiegło po dachu, potoczyły się ziarna żwiru. Płomyk jakby wspiął się na palce i nic nie dojrzawszy skulił się parskając.

— Słyszysz?

— To tylko wiatr. Zawsze przed świtaniem się zrywa i wymiata drogi. Budzę się wtedy, dotykam męża śpiącego obok i zaraz jeszcze mocniej usypiam. Jak to dobrze mieć pewność, że wkrótce będzie dzień. Powiedz, co on czuł, jak do nas powracał?

— Mówił, że gniotły go węzły prześcieradeł, był zdrętwiały i zły, że takim krzykiem go budzą. Dopiero gdy pojął, skąd go Głos odwołał, począł drżeć i płakać.

A w domu wynosił wszystko z komory i gościom podtykał. Cieszył się jak dziecko, że ich może jeszcze podejmować.

Nocą jak już się rozeszli, siadł przy ogniu, głaskał sobie uda i piersi. — Kruchy mój domku — szeptał, znów cię zamieszkałem.

Potem położył się przy mnie. Dotykał palcami mej twarzy. Miałam jeszcze ślady na policzkach, tak je poorałam paznokciami, gdyście powiedzieli — umarł. Łazarz mówił: — Słyszałem jeszcze jak krzyczysz, ale głos twój był wołaniem dziecka, któremu ojciec ukrył się w jaskini. Spadałem, osuwałem się coraz niżej. Kolejno opuszczali mnie, jak zatrwożeni słudzy — wzrok, słuch i węch.

Owej nocy po powrocie nie mówił wiele. Powiedział tylko, tuląc twarz do mej piersi, do której przylgnęły ziarna piasku. — Jakże ostro pachniesz... Wtedy koguty

odezwały się czujnie. Uniósł się na łokciu i słuchał ich głosów jak muzyki.

Co ci jest? — spytałam.

Znowu mi służą — odpowiedział — znowu są ze mną.

Kto? — zapytałam.

Zmysły moje. — Wzrok, węch i słuch.

Przewracał się na posłaniu. Nie mógł długo zasnąć. Przekonałam się, że płakał bezgłośnie w ciemności. Końcami palców rozgniatałam mu łzy, uciekały mu po skroniach.

Dlaczego płaczesz — zapytałam, co ci jest? Może cię co boli?

Nie, odpowiedział mi Łazarz, tylko te pchły...

Chcesz, to przetrzepię posłanie, albo pójdziemy na dach, tam nie będą nam dokuczać?

Nie — odpowiedział — nie, ty tego nie możesz pojąć, niech mnie tną! Niech gryzą! Dzięki nim czuję, że mam ciało. Nareszcie wiem, że je znów odzyskałem.

— Poczekaj, przerwała młoda, zaczęłaś mówić, że spadał?

— Bo spadał — stara kobieta powiedziała to z taką pewnością, jakby temu lotowi towarzyszyła. — I to coraz szybciej...

Łazarz mi mówił: Myślałem, że się rozbiję. Opadałem w głąb siebie. Skulony przyciskałem do piersi cały świat, który skurczył się i mogłem go z łatwością przygarnąć. Był skończony i zadziwiająco przejrzysty. Uderzała mnie jego prostota, bo tyle razy był dla mnie trudny i niepojęty.

Leciałem w ciemności — mówił Łazarz — a z niej przypadali do mnie rodzice, krewni i przyjaciele. Byli to oni i nie oni. Rozpoznawałem ich. Rysy ich twarzy były nie ustalone, dopiero formowały się pod mymi przypomnieniami. Wiedziałem, że to są oni, ale kształty ich były nałożone jeden na drugi, jak łuski kukurydzy. Mogłem je długo zdzierać, jednak czułem pod nimi znajome ziarno.

Kochałeś nas! Przecież modliłeś się za nas! Pracowałeś dla nas tyle dni! — wołali. Wypadali z ciemności jak jastrzębie i wydzierali mi — mówił Łazarz — część mego życia, która im przypadała. Odlatywali w ciemność, oświe-

cając sobie twarze moją pamięcią, ale trwało to tylko chwilę i znowu pochłaniała ich noc.

Ubywało mi życia, pokazało się, że nie wiele jest naprawdę mego. Nawet grzechami musiałem się dzielić. Wreszcie została ich garść. Naprawdę moich, ale nie mogły mnie one obciążać.

— Nie musiało ich być wiele. Wiesz — westchnęła stara kobieta — jak Łazarz żył przykładnie. Mówił mi, że je wtedy pokochał. Były resztką tego, co pozostało po nim, żyjącym tu, między nami.

Zaciskałem je w palcach, jak chłopiec wygraną w kamyki, czerwone i zielone. Zamykałem oczy, mówiłem — przybyło ich. Ale wiedziałem, że przybyć ich nie mogło. Przez zamknięte powieki widziałem ich liczbę, która miała pozostać na zawsze nie zmienioną.

Mogłem zielone nazywać — oliwkami, a czerwone — owocami granatu. Mogłem je gryźć, lizać i rozpamiętywać ich smak. A jednak pozostawały te same. Nie syciły już pragnień.

Czy ty rozumiesz — jęczał Łazarz — że tylko tu drzewa kwitną i owocują, dziewczętom nabrzmiewają wargi, każdy dzień jest nowością. Tam nie ma zmian. Od razu widzisz wszystko, początek i koniec. Niczego się już nie spodziewasz.

Byłem w krążącym dookoła mnie tłumie — zupełnie sam. Leciałem tak straszliwie długo, bo tam nie ma dni, ani lat, nie ma czasu.

Wtedy zapytał mnie Głos Tego, którego imienia nie wolno wymawiać — obie kobiety pochyliły głowy. — Żyłeś dla mnie, chwaliłeś mnie o świcie dnia każdego, żegnałeś mnie przed każdą nocą. Byłem dla ciebie prawem i nadzieją. Dla mnie żyłeś, przynajmniej tak mnie przywołując co dnia zapewniałeś. Biorę cię więc teraz, jako własność swoją.

Nie, nie — zawołał Łazarz, kuląc się. Mógł się jeszcze opierać. Mówił mi potem: — Pojąłem wtedy, że przyzywałem Go modląc się codziennie, po to tylko by mi służył, wołałem Go, by mnie przed Sobą osłonił.

To wszystko moje — mówiłem — tak jak moje są nogi i ręce. Moja jest przeszłość, moja! Tylko moja!

A czy jesteś pewny, że członki masz jeszcze?

Wiedziałem, że są, ale w tej przeklętej ciemności nie mogłem ich dojrzeć, ani namacać. A jednak były...

Możesz mi wszystko odebrać, zawołałem z rozpaczą.

Czułem, jak mnie zakołysało, zgadywałem, że się śmieje. Rozumiesz, On jest tak silny, że odebranie czegokolwiek nie sprawia mu przyjemności.

Poczekam, aż mi się sam powierzysz, odpowiedział. Czułem, że się oddala. I nagle cały wydałem się sam sobie nietrwały jak sen, to tylko Jego pragnienie dawało mi pewność istnienia. Jakże bardzo chciałem, by powrócił, dzięki temu, że mnie pożądał na własność — byłem, rozumiesz, nawet tam byłem sobą.

Dookoła słyszałem głosy podobne do brzęku ula. To śpiewał cały mój ród. Istnieli jednak, choć nie byli osobno, jak kulki winogron, wyciśnięto z nich treść prawdziwą — byli sokiem winnym zlanym w czarną kadź nocy.

Buntowniczo odtrąciłem tę wspólnotę uwielbionego bytowania. Uczułem lęk. Już byłem gotów otworzyć ramiona i zawołać: — Panie, ufam... gdy usłyszałem Głos wołający na mnie z głębokości — Łazarzu! Wstań!

— Tłum prowadził go wtedy. Śmiejąc się przez łzy, kroczył na czele tak prędko, jakby uciekał. Po cóż tam teraz powraca?

— Wymyka się co noc. Skradałam się za nim. Ale trudno go przejrzeć.

— Co on tam robi?

— Kładzie się na tym miejscu, na którym wtenczas leżał, narzuca na ciało całuny i milczy.

— Ale po co?

— Nadsłuchuje pod bramą, którą danym mu było przekroczyć. On już jest dla świata stracony. Patrzy na drzewa, chleb, dziewczęta i szepcze — nie warto. Przyjrzy się okiem pociemniałym z żalu, splata na plecach ręce i odchodzi.

— Mówił ci o tym? Czy się nie mylisz?

— Nie mogę się mylić. Rozumiem go dobrze. Czy ty wiesz, że my wszyscy jeszcze mamy nadzieję, gdy on już — wie. Czerpać życie jak wodę do płachty i łudzić się, że uda się nią ugasić pragnienie tam, gdzie nie może już być niczego, bo jest — Ten Który Jest.

— Jeżeli chodzi tam, jak mówisz — pod bramę, to znaczy, że świat znowu go bierze w posiadanie.

— Dlaczego?

— Bo jeśli brama nie jest z nim, jeśli musi aż powracać do grobu, jak do miejsca narodzin — to już go świat wypełnił. Może broni się jeszcze albo szuka sprawiedliwych miar...

— On zna prawdę, więc musiał świat jak mierzwę przekroczyć.

— On zna prawdę, ale słudzy go nieustannie przekonują i w końcu im uwierzy. Wzrok, węch i słuch. Zgon. Z nim się ciało nigdy nie pogodzi. Przecież każdy z nas wie, że śmierć nosi w sobie, jak powoli dojrzewający owoc, a jednak nie dopuszczamy do siebie myśli o niej. Żyjemy, jakby jej nie było.

— Nawet jeśli już raz przez nią przeszliśmy.

— Nawet i wtedy. Słudzy mówią — popatrz na drzewa, co roku odnawiają się, przechodzą przez śmierć, jak przez sen. Świat mówi — zaufaj mi. Jestem dobry i piękny. Pozwalam ci zapomnieć.

— Ale on zapomnieć nie może. Łazarz wie, że nie warto się do niego przywiązywać, żyjemy tak krótko...

— I tylko raz. Właśnie dlatego trzeba świat mocniej pokochać, jak rzecz cenną i kruchą.

— Więc myślisz, że Łazarz dla świata chodzi tam?

— Nie wiem, ale zdaje mi się, że wsparty plecami o kamień, który go nakryje, najlepiej świat może oglądać. Przecież i ja sycę ciekawość tylko po to, by świat jeszcze więcej smaku dla mnie nabrał.

— Nie. Nie, to jest zbyt trudne. Ja mam słuszność — jestem stara.

— Tak. I słudzy twoi pragną tylko spoczynku, dlatego są światu niechętni. Teraz wiem, że nie Łazarza opowiadałaś mi losy, tylko swoje. Pójdę tam i zapytam go.

— Nie zostawiaj mnie samej!

— To chodź ze mną.

— Boję się...

— Czego się boisz?

— Ciemności i tego co tam może być.

— Może... Może być... A przecież mówiłaś, jakbyś już wszystko wiedziała. Jakże można się lękać tego, co się zna. Twój strach mieszka w tobie, na pewno nie kryje się tam.

— Tam jest tak ciemno...

— I tu będzie ciemno. Popatrz, kaganek dogasa. Za chwilę izbę zatopi noc. Wyjdźmy, tam przynajmniej są gwiazdy.

— Nie lubię gwiazd. Nie powinno się w nie patrzeć. Są iglaste, promienie ich dziobią. Z tego dostaje się ospy.

— Tyle nocy spędziłam, patrząc w gwiazdy, dotknij, policzki moje, piersi i uda są gładkie.

— Pewnie, bo ci je osłaniał mężczyzna, nachylony nad tobą.

— A jeśli tak było, to tylko dlatego, że lubię noc i gwiazdy, a boję się ospy. No, idziesz?

— Mam jeszcze trochę oliwy. Poczekaj, doleję, posiedzimy chwilę.

— Popatrz, na dworze pojaśniało, zaraz pocznie świtać.

— Nie zostawiaj mnie samej. Pójdę z tobą.

Młoda odepchnęła kamień, otworzyła ramieniem drzwi. Wyszły przed dom. Ciemność była grubsza, jak zwykle u kresu nocy. Na wschodzie dokwitała gwałtownie gęstwa gwiazd.

Stara kobieta trzymała się sukni młodej, która prowadziła ją w świat, nieufną jak dziecko. Bransolety na wychudłej nodze dźwięczały słabo. Brzęk ich gasł jak zdeptany płomień.

— Popatrz — mówiła stara, gdy zbliżyły się do ściany wąwozu. — Na piasku nie ma żadnych śladów. Zupełnie jak wtedy, gdy szłyśmy go z rzeszą obudzić.

— Wiatr je pozacierał. Co dnia zmywa wąwozy, a na wieczór znów jest piasek zmącony, jakby przechodziły tędy pokolenia.

Cisza była dojmująca. Od ściany skalnej, nad którą kłębiły się gwiazdy, zbiegło coś nie większe od pięści i na krok przed nimi przystanęło nieruchome. Gdy trącały stopą, zamieniało się w kamień.

Piasek był zimny, aż przejmował dreszczem. Wyraźnie pojaśniało. Już widać było czarną wnękę, wykutą w skale i uchylony głaz. Przyspieszyły kroku.

Mimo ciemności dojrzały na dnie jaskini ciało spowite w prześcieradła, spod nich wystawały bose stopy czarne i zrogowaciałe. Milczał. Nad głowami kobiet przemykały się ostatnie nietoperze i piszcząc zawisały na sklepieniu.

Leżał nieruchomy. Ogarnął je nagły lęk. Stara zawołała ochryple:

— Łazarzu! Łazarzu!

Nie odpowiadał.

— Łazarzu! Nie udawaj! Dlaczego chcesz mnie straszyć?

Robiło się coraz jaśniej, za plecami kobiet niebo bielało. Róg prześcieradła narzucony na twarz drgał lekko. Oddychał jednak. Długi nos rysował się pod płótnem wyraźnie.

— Łazarzu! Świta już. Wracaj do domu. Zobaczą cię ludzie, jak stąd wychodzisz i oskarżą o czarnoksięstwo. Łazarzu, słyszysz?

— Słyszę, a bo co?

— Chodź zaraz do domu.

— Kobieto, dajże mi spokój, nie widzisz, że aż tu muszę go szukać?

— Łazarzu, ty wiesz, że ja bym ci nieba przychyliła! Dlaczego ode mnie nocą uciekasz?

— Bo te przeklęte pchły...

— Nie pozwoliłeś mi ruszyć posłania w dniu wskrzeszenia!

— Nie każdy dzień jest dniem wskrzeszenia.

— Wstań zaraz i chodź!

— Ani myślę!

— Łazarzu, wstań!

— Jak miło słyszeć to wołanie i nie usłuchać. Kobieto, nawet gdybym chciał, nie potrafię. Nogi mi się gną, rozumiesz? Pozwól mi do południa poleżeć tu w chłodzie. Trzeba mieć przecie dla zmartwychwstałego odrobinę serca...

Głos mu powoli zamierał, aż głowa potoczyła się po piasku. Odpływał w miarowym chrapaniu. Na rogu prześcieradła, którym przyrzucił twarz, formowało się zaklęśnięcie, spał z otwartymi ustami.

— Co mu jest? — nachyliła się niespokojnie stara.

— Nic — odpowiedziała młoda, podnosząc się z klęczek. — Nie czujesz zapachu młodego wina? On jest pijany.

Teraz zobaczyły stojące pod ścianami, podobne do bezgłowych bóstw, wielkie gliniane naczynia. Stara kobieta uderzała je kolejno pierścieniem, odpowiadały pusto.

Więc doskoczyła do leżącego i jednym szarpnięciem zdarła prześcieradło.

— Na to wróciłeś, żebyś dzbany wysuszał?

Tym razem usiadł. Ziewnął. Przetarł usta bujną brodą. Popatrzył chwilę, mrużąc oczy, w światło opływające biodro młodej, wspartej u wejścia o kamień. Potem z wyrazem głębokiego zadowolenia długo drapał się pod pachami.

— Świta — powiedział wreszcie — dzień będzie pogodny.

Wrocław 47

POPOŁUDNIE W TIRYNSIE

Oparł się prawym barkiem o drzwi kawiarenki, założywszy w powietrzu nogę za nogę, w pozie urągającej Newtonowi.

— Nie smakuje pani kawa? — zapytał z obojętną grzecznością człowieka myślącego o czymś innym.

Przyznałam, że nie smakuje, była bowiem mdła i mętna, ale to nie miało znaczenia, i tak wypiję kilka filiżanek, zanim nadejdzie autobus. Była piąta po południu, a od rana obchodziłam rozprażone skały Tirynsu. Cyklopie mury wydały mi się tym razem nie takie wielkie, za to nuda wspomnień przytłaczająca. Tamten chmurny, grudniowy dzień sprzed lat lśnił i pachniał młodą wiosną, a ten upalny sierpniowy oślepiał i ogłuszał. Nie należy wracać do miejsc, gdzie się było szczęśliwym, wiedziałam o tym, a jednak wróciłam, bo czyż nie postępuje się zwykle wbrew temu, co się wie.

— Pani z północy? — zapytał właściciel kawiarenki bez ciekawości i wychylił się jeszcze bardziej w stronę mego stolika, tak że właściwie leżał w powietrzu. — Ja pochodzę z Korfu — ciągnął, nie czekając na odpowiedź — a właściwie to jestem zewsząd po trosze. — Trzepnął serwetą indyki, szukające pożywienia w kępie zeschłych palczastych palm koło baraku. — Byłem w Palermo, w Rzymie. Zna pani Rzym? Strasznie nudny, same kościoły, księża i faszyści. Pani lubi czarne koszule? Bo ja kiedy ich widziałem, dostawałem mdłości. Maszerują, śpiewają. Zresztą, tutto e vietato. Co z którym Włochem rozmawiasz, to się chwali i chwali. Był tam jeden pyszałek, wstrętny typ, donosiciel i łajdak, to go tak urządziłem, że sam Mussolini mu nie pomoże. Zna pani tę piosenkę o Musso? — potrząsnął ufryzo-

waną czupryną i zaśpiewał zwrotkę grecko-włoskich przekleństw:

— Mario, barbunia przynieśli — zaskrzeczała stara kobieta z głębi kawiarenki, potrząsając płaskim koszem z rybami.

Mario tanecznym ruchem przekręcił się w powietrzu i zniknął w baraku. Natychmiast placyk przed kawiarenką powlókł się sennością, a granie świerszczy wzmogło się natrętnie. Od mokradła zarosłego trzciną szedł mdlący zaduch, a rozprażone skały ziały gorącem.

Nagle liście na eukaliptusie drgnęły i coś jakby lśnienie migotliwej strugi przepłynęło wzdłuż ich zielonych kolumn. W tej chwili trzciny na mokradle zaszeleściły i zeschłe trawy w przykopie zafalowały niziutko. Zapachniało oryganem i miętą. Gołębie sfrunęły z dachu i zatoczyły łuk nad drzewami, z białych robiąc się różowe.

— Można dać pani jeszcze kawy? — zagadnął Mario z poufną familiarnością. Zniknął na długą chwilę, coś wykrzykując do indyków, do ludzi idących drogą, do starej ciotki.

Wrócił po dłuższej chwili, jakiś tryumfujący i wspaniały, z filiżanką na malutkiej tacce. Oparł się o pień eukaliptusu i czekał wpatrzony w moją twarz z uwagą, z jaką dzieci patrzą na dorosłych. Łyknęłam kawy i zrozumiałam. Mario oczekiwał okrzyku zachwytu. Podał mi bowiem mocnej, pachnącej, przecedzonej kawy. Klasnął w ręce i zaśmiał się.

— Haha, ha, ma pani swoją kawę po francusku. Nie chcę, żeby pani myślała, ot Mario dlatego siedzi w tej kawiarence, bo nic nie wie i nie zna się na rzeczy. A Mario wszystko wie, wszystko potrafi — zapewniał z namiętnością, z jaką się składa przysięgi, lecz spojrzał przy tym błagalnie. — Paulette mi zawsze mówiła, że ja wszystko mogę. Ona się na mnie od razu poznała, moja biedna maleńka.

— Umarła?

— Nie, zabiłem ją — rzekł z westchnieniem. — Nie mogłem inaczej. Nikt nie był nigdy tak szczęśliwy, jak my. Siadywaliśmy w małym ogródku za stacją. Pracowałem wtedy na małej kolejowej stacyjce pod Marsylią. Zna pani Marsylię? To miasto, to życie, to ruch! Nie te nasze Ateny,

niemiecka dziura. Kochaliśmy się dwa lata. Chciałem się żenić, ale jej ojciec, naczelnik stacji, przeklęty sknera, nie pozwolił. Paulette to była dobrze wychowana panienka. grała na fortepianie, robiła koronki. Ah, jak ja lubiłem patrzeć, jak w jej małych paluszkach śmigało kościane czółenko. Frivolité nazywała się ta koronka. Tak byliśmy szczęśliwi i ten przeklęty sknera wszystko zepsuł. Naprzeciw dworca miał owocarnię jeden Genueńczyk. „Soeurs latines" — kazał wymalować an szyldzie. Ojciec Paulette upatrzył sobie tego Genueńczyka na męża dla Paulette. I co pani powie, ona zaczęła się do niego mizdrzyć, a na mnie patrzyła ze zdziwieniem, jakby nie mogła sobie przypomnieć, kim jestem. To było nie do zniesienia i jednego wieczoru, gdy wróciła ze spaceru z tym grubasem, zabiłem ją.

Mario wyciągnął serwetę spod pachy i trzepnął nią muchę. Nie wiadomo dlaczego właśnie tę, skoro dziesiątki much spokojnie drzemało na stołach i krzesłach.

— Prawda, że u mnie porządnie?

Schwycił flaszkę i zaczął skrapiać placyk. Krople stały chwilę na tłustym, białym kurzu, po czym wsiąkały, tworząc ciemne koła z malutkim kraterem w środku.

— Ale Paulette jest ze mną. — Uchylił koszulę na piersiach i pokazał wytatuowaną dziewczynę z napisem „Paulette".

— Pani myśli, że ja jestem zwykłym sobie groszorobem, właścicielem kawiarni? Nie! Godziny bym nie wysiedział w tej dziurze, koło tej kupy kamieni — wskazał głową na ruiny Tirynsu — koło tego bagna. To dobre dla nich.

Ci, dla których przeznaczony był Tiryns, szli właśnie drogą, uginając się pod koszami długich, jak żmije ogórków i żółtych melonów. Ubrani byli dziwacznie w jakieś niby pyżamy, w żółto zielone pasy i mieli duże słomiane kapelusze.

— Wie pani, kim są ci ludzie? Ten pierwszy zamordował macochę i przyrodniego brata. Ten, co niesie peponi — kochankę, a ostatni stary swoją młodą żonę i dwoje dzieci. To skazańcy, pracują w ogrodach.

— Nikt ich nie pilnuje?

Wzruszył ramionami. — Oczywiście, że pilnują. Gdzie więzień, tam musi być i dozorca. Czym by się więzienie

różniło od wolności? A ja — rzekł po chwili pauzy — dla jednego więźnia siedzę tu w Tirynsie. Nie ma go w tej chwili w pobliżu, ale może go pani zobaczy. Piękny mężczyzna, prawdziwy bogacz — gdy to mówił duma i chytrość wyjrzały mu z oczu. Jeszcze dwa lata ma do uwolnienia. Był właścicielem fabryki. Zrobił jakąś transakcję z rządem, pani rozumie, nieostrożną. Jak gdyby cały ten rząd nie składał się ze złodziei i rozbójników. Ale ktoś się zawziął na niego. Nawet pieniądze mu nie pomogły, a to prawdziwy bogacz: auta, wille, kamienice, wszystko miał. Pracowałem u niego w fabryce. Od pierwszego wejrzenia mi się spodobał, w ogień bym za niego skoczył. Kiedy go skazali i tu przenieśli, to i ja tu przyjechałem, rozglądnąłem się, otworzyłem sobie kafenio i jeść mu noszę. Taką kurę w rosole, jaką mu dziś zgotowałem, z cytryną i ryżem to... — gwizdnął i przymrużył oczy z zachwytu. — Będę go przez cały czas karmił, bieliznę mu dawał do prania, papierosy kupował, bo te łotry cały jego majątek przyaresztowały. Ale gdy wyjdzie, to fyfty fyfty, wszystkim się ze mną podzieli. Niech spróbuje mnie oszukać, ale nie oszuka, to przyjaciel.

Powiał wiaterek od strony Nauplii i dreszcz przeszedł po eukaliptusach i trzcinach.

— Jeszcze kawę? — spytał już tym swoim kelnerskim, znudzonym głosem i podał kawę znowu mętną i gęstą.

Nadjechało auto od strony Koryntu i gdy opadł kurz, poznałam w wysiadających starą Angielkę z naszego hotelu, panią Edytę Clary i jej młodego towarzysza Greka, Gaetano. Pani Edyta była jeszcze jaskrawiej ubrana i jaskrawiej wymalowana, niż zwykle i zdaje się niemniej niż zwykle pijana. Mimo upału miała na sobie zieloną zamszową kurtkę, spiętą złotą klamrą i ciężki żółty beret. Usiedli pod oleandrem i zamówili kawę. Angielka rozglądała się po okolicy, pokazując swemu towarzyszowi liliowe w tej chwili skały i zielone zagony warzyw.

Od dwu tygodni widywałam ją w hotelowej restauracji. Miała chyba z siedemdziesiąt lat, ale trzymała się prosto i drapieżnie pilnowała swoich małych wygód.

Przypatrywała się ludziom bez życzliwości, z jakimś nieprzyjaznym rozbawieniem. Raz zjawiła się w towarzy-

stwie młodego zbyt eleganckiego Greka, który miał odtąd stać się jej gościem i towarzyszem. Właściciel hotelu zwracał się do niego z pogardliwą uniżonością.

Niebawem ci, co rozmawiali z właścicielem, wiedzieli zapewne dzięki niedyskrecji Gaetana, że pani Edyta Clary odziedziczyła po śmierci ojca pieniądze, które pozwoliły jej wyjechać na południe.

Oto więc byłam świadkiem chwili szczęścia pani Edyty Clary. Ten zakurzony placyk koło bagna i ruin, które jej nic a nic nie obchodziły, ta mdła kawa, ten pretensjonalny chłopak. Jest coś okrutnego w sposobie, w jaki życie spełnia długo rojone marzenia.

Pani Edyta z trudem unosiła ciężkie, za luźne powieki, nie bez wysiłku wyciągała żylastą szyję, zapadającą się co chwila w ramiona. Było w niej coś ze starego ptaka, bojącego się zasnąć.

— Poczytajmy coś o Tirynsie. Gaetano, niech pan wyjmie książkę. Niech pan zamknie torbę, niech pan ją położy, o tu, tak, no, niech pan czyta.

Gaetano uśmiechnął się z przymusem, poprawił się w krześle jak uczniak i zaczął czytać monotonnym głosem, podrywanym przy końcu zdania falsetem. Pani Edyta słuchała chwilę uważnie banalnego opisu Peloponezu. Przytaknęła z lubością kilku zdaniom i sięgnęła do torby z zielonego zamszu, by wyjąć torebkę palonych pistacji.

Gołębie sfrunęły z dachu do jej stolika. Rzuciła im parę pistacji, uśmiechając się z zalotnością. Strach było zgadywać jej myśli. Nagle opuściła głowę i zachrapała. Kiwnęła się raz i drugi, podniosła na chwilę powieki i zasnęła na dobre.

Gaetano czytał jakiś czas jeszcze banały o wieczystym pięknie Grecji, wreszcie usłyszawszy chrapanie, wyjrzał znad książki, zaklasnął ją, położył ostrożnie na brzegu stołu i odszedł na palcach.

— Upał — usprawiedliwiał zawstydzony swoją damę.

Mario przypatrywał się scenie z progu kawiarenki, przybrawszy swoją ulubioną pozę niedbałą i lotną.

— Byłeś w Ameryce? — zapytał zazdrośnie.

— Urodziłem się tam. Ojciec miał bar. — Cmoknął, przymykając oczy. — Jaki bar! Marmury, lustra, kryształy, srebro!

Mario spoważniał, wyprostował się i obiegł ponurym nagle spojrzeniem placyk z czterema stolikami, eukaliptusy i bagno.

— A pocoś tu wrócił?

Gaetano wzruszył ramionami i wyciągnął papierosa.

— Po co się wraca?! Ojciec chciał mieć swoje winnice, oliwki. Tu jest Amerykaninem, tam był... Grekiem. A ja... gram na giełdzie.

Mario oceniał spojrzeniem ubranie, koszule i buciki Gaetana.

— Ładny jedwab, o jak chrzęści — rzekł z szacunkiem, mnąc w palcach fałdkę rękawa Gaetana.

Gaetano się cofnął gwałtownie i strzepnął palcami jedwab.

Mario spojrzał na niego z ukosa i rzekł ze złością:

— Jabym tak nie mógł żyć z cudzego kaprysu, muszę być wolny.

— Ty? Wolny?! Co to za wolność obsługiwać gości. Ja pojadę z nią — chełpił się, wskazując głową na swą leciwą towarzyszkę — do Egiptu, Maroku. Zrobi, co zechcę. Da mi, czego zapragnę.

— Gaetano, Gaetano, gdzie jesteś? Gdzie ty się zawsze podziewasz?! Zgubiłam szpilkę od włosów. Chodź, poszukaj.

Mario ironicznie uśmiechnął się za odchodzącym. — Zrobi co zechce — przedrzeźniał głos Gaetana, rozradowany pognębieniem „Amerykanina". Ale chwila tryumfu trwała krótko.

— Mario, Mario — zawołał przechodzący drogą obok kawiarenki morderca żony i dzieci. — Kyrios direktor się skarży, że kura była dziś na obiad łykowata. Jak nie umiesz kury gotować, to rób makaron, ty makaroniarzu — zachichotał ohydnie więzień, pokazując bezzębne dziąsła.

Mario szarpnął koszulę na piersi, gdzie na chwilę ukazała się między fałdami perkalu wytatuowana głowa Paulette.

— Ty psie, ty pluskwo z Nauplii — wrzasnął i rzucił się ku drodze.

Więźniowie chichocząc puścili się biegiem, gubiąc z koszów melony. Zza eukaliptusa wychylił się strażnik i zastąpił drogę Mariowi.

— Nie biegnij, jeszcze nieszczęście dogonisz.

Mario stanął zgarbiony i ogłupiałym wzrokiem patrzył na indyki, dziobiące z wściekłością melony.

JEAN GIRAUDOUX

AMFITRION 38

AKT DRUGI.

Taras w pobliżu pałacu.

SCENA 1.

MERKURY sam.

(Zupełna ciemność. Merkury tylko jaśnieje, na pół leżąc na przodzie sceny.)

MERKURY

Postawiony na straży przed pokojem Alkmeny, byłem świadkiem rozkosznej ciszy, rozkosznego oporu, rozkosznej walki; teraz Alkmena nosi już w sobie młodego półboga. Ale przy żadnej z poprzednich kochanek Jowisz nie marudził tak długo... Nie wiem, czy ta ciemność wam nie przeszkadza; co do mnie, to obowiązek przedłużania nocy w tej miejscowości zaczyna mi nieco ciążyć, zwłaszcza gdy sobie pomyślę, że cały świat kąpie się już w słońcu... Mamy środek lata i jest siódma rano. Wielka powódź dnia, rozlana na tysiące mil, sięga aż po morze, a tylko ten pałac między słupami spowitymi w róże nakryty jest czarnym stożkiem... Już doprawdy najwyższy czas obudzić mego pana, gdyż bardzo nie lubi śpieszyć się na odchodnym i na pewno będzie mu zależało na tym, żeby mógł — jak to bywało dotychczas ze wszystkimi przyjaciółkami — przy wstawaniu z łóżka objawić Alkmenie, że jest Jowiszem i nacieszyć się jej zdziwieniem i dumą. Ja ze swej strony podsunąłem Amfitrionowi myśl odwiedzenia żony o świcie, tak że będzie pierwszym świadkiem i poręczycielem całej sprawy. Zasługuje na tę uprzejmość z naszej strony, a ja w ten sposób zapobiegnę wszelkim nieporozumieniom. W tej chwili nasz ge-

nerał ukradkiem wyrusza w drogę, pędzi galopem i przed upływem godziny będzie w pałacu. Słońce, pokaż mi swoje promienie, abym spośród nich mógł wybrać te, które nadają się najbardziej do podpalenia tych ciemności... (Słońce wysyła po kolei różne promienie.) Nie, nie ten! Nic okropniejszego, jak zielone światło w sypialni kochanków, budzących się ze snu. Każde z nich sądzi, że trzyma w ramionach topielca. I nie ten! Fiolet i purpura należą do kolorów, pobudzających zmysły. Zachowajmy je na wieczór. Właśnie, właśnie, bardzo dobry szafran! Żaden inny kolor nie wywiera równie zbawiennego wpływu na znużenie cery... Ruszaj, słońce!

(Pokój Alkmeny ukazuje się w pełnym blasku słońca.)

SCENA 2.

(Alkmena już na nogach, JOWISZ rozciągnięty na posłaniu.)

ALKMENA

Wstawaj, kochanie. Słońce jest już wysoko.

JOWISZ

Gdzie jestem?

ALKMENA

Tam, gdzie nigdy nie spodziewają się być mężowie w chwili przebudzenia: po prostu we własnym domu, we własnym łóżku i przy własnej żonie.

JOWISZ

Jak się nazywa ta żona?

ALKMENA

Ma takie samo imię w dzień, jak w nocy, zawsze nazywa się Alkmena.

JOWISZ

Alkmena, wysoka blondynka, w miarę pulchna, która milczy w nocy?

ALKMENA

Tak, i która gada od świtu, i która za chwilę wyrzuci cię za drzwi, nie zważając na cały szacunek dla męża.

(Jowisz unosi się na posłaniu i spogląda na krajobraz, skrzący się za oknami.)

JOWISZ

Co za boska noc!

ALKMENA

Jakoś nie bardzo udają ci się tego ranka epitety, kochanie.

JOWISZ

Mówię boska!

ALKMENA

Gdy mówisz boski posiłek, boska pieczeń, zgoda, nie musisz wysilać się bez przerwy na nowe pomysły. Ale dla tej nocy mógłbyś znaleźć lepsze określenie.

JOWISZ

Cóż mógłbym znaleźć lepszego?

ALKMENA

Niemal wszystkie przymiotniki, oprócz słowa boska, bo ono naprawdę budzi politowanie. Słowo śliczna, albo słowo urocza. Zwłaszcza słowo miła, które mówi tak wiele: co za miła noc!

JOWISZ

Więc jednak była to najmilsza ze wszystkich naszych nocy? Prawda, że najmilsza?

ALKMENA

To nie takie pewne...

JOWISZ

Jakto, nie takie pewne?

ALKMENA

Czyś już zapomniał, mój drogi, o naszej nocy poślubnej, o tym jak stałam się bezwładnym ciężarem w twoich ramionach, o tym jak odnaleźliśmy nasze dwa serca pośród nocy, która nas okryła po raz pierwszy wspólnie swoim cieniem? To była nasza noc najpiękniejsza.

JOWISZ

Nasza noc najpiękniejsza, zgoda. Ale najmilsza to była ta noc.

ALKMENA

Tak sądzisz? A noc, kiedy wybuchł w Tebach wielki pożar i ty wróciłeś o świcie, ozłocony wschodzącym słońcem i gorący, jak bochenek chleba? Ta noc z pewnością była najmilsza, a nie żadna inna.

JOWISZ

Więc jeśli sobie życzysz, noc najdziwniejsza.

ALKMENA

Dlaczego najdziwniejsza? A ta noc onegdaj, kiedy wyratowałeś z morza dziecko unoszone przez prąd i wróciłeś lśniący od wody i poświaty księżycowej, pomazany solą przez bogów i aż do rana ratowałeś mnie przez sen, objąwszy ramionami... To tamta noc była dosyć dziwna!... Nie, gdybym chciała, mój drogi, jakoś określić tę noc, to dałabym jej nazwę nocy małżeńskiej. Miała ona w sobie jakieś bezpieczeństwo, budzące radość. Nigdy dotychczas nie odczuwałam takiej pewności, że odnajdę cię rankiem w pełni sił, ze zdrowym rumieńcem, z wilczym głodem, chociaż brakowało mi tego boskiego lęku, który mimo wszystko odczuwam zawsze wtedy, gdy zamierasz w moich ramionach.

JOWISZ

Widzę, że kobiety używają również słowa: boski.

ALKMENA

Przed słowem „lęk", zawsze.

(Cisza).

JOWISZ

Co za piękny pokój!

ALKMENA

Doceniasz go szczególnie w te poranki, kiedy ci się uda do niego przemycić.

JOWISZ

Jednak ludzie odznaczają się wielką zręcznością. Przez zastosowanie systemu ram i przeźroczystych kamieni doszli do tego, że na planecie stosunkowo źle oświetlonej widzą w swoich mieszkaniach lepiej, niż ktokolwiek inny na świecie.

ALKMENA

Nie odznaczasz się skromnością, mój drogi. Sam przecież wynalazłeś te okna.

JOWISZ

I jaki śliczny widok!

ALKMENA

Widok możesz chwalić, widoku nie wynalazłeś.

JOWISZ

A kto go wynalazł?

ALKMENA

Pan bogów.

JOWISZ

Czy można się dowiedzieć, jak mu na imię?

ALKMENA

Jowisz.

JOWISZ

Jak ślicznie wymawiasz imiona bogów! Kto cię nauczył tak składać usta, jakbyś kosztowała boskiej potrawy? Można by powiedzieć, że to owca schwyciła garść mięty i żuje ją, podniósłszy głowę. Lecz to mięta bierze zapach od twoich ust. Powtórz to imię. Powiadają, że bogowie na takie wezwania czasami zjawiają się osobiście.

ALKMENA

Neptun! Apollo!

JOWISZ

Nie, powtórz to pierwsze imię!

ALKMENA

Pozwól mi poruszyć cały Olimp... Zresztą lubię najbardziej wymieniać boskie małżeństwa: Mars i Venus, Jowisz i Junona, widzę wtedy, jak idą przez wieki po szczytach chmur, trzymając się za ręce... Musi to wyglądać wspaniale...

JOWISZ

I bardzo zabawnie... Powiadasz więc, że to dzieło Jowisza, te kotliny, skały, wypadło dobrze?

ALKMENA

Bardzo dobrze. Tylko, czy dokonał go z rozmysłem?

JOWISZ

Słucham?

ALKMENA

Ty, mój drogi, robisz wszystko z rozmysłem, czy to gdy szczepisz wiśnie na śliwach, czy też gdy wynajdujesz szablę o dwóch ostrzach. Ale czy sądzisz, że Jowisz wiedział naprawdę w dniu stworzenia, co ma zrobić?

JOWISZ

Tak twierdzą.

ALKMENA

Stworzył ziemię. Ale piękność ziemi co chwila stwarza się sama. Cudowne w ziemi jest to właśnie, że jest taka nietrwała, a Jowisz jest zbyt poważny, żeby miał zamiar tworzyć rzecz nietrwałą.

JOWISZ

Zapewne źle sobie wyobrażasz dzieło stworzenia.

ALKMENA

A ty wyobrażasz je sobie najdroższy?

JOWISZ

Ja je widzę... Na początku był chaos... Naprawdę genialnym pomysłem Jowisza było rozdzielenie czterech elementów...

ALKMENA

Więc mamy tylko cztery elementy?

JOWISZ

Cztery, a pierwszym jest woda, którą wcale nie łatwo było stworzyć, możesz mi wierzyć. Na pierwszy rzut oka woda wydaje się czymś bardzo naturalnym. Ale stworzyć wodę, mieć pomysł wody, to zupełnie co innego.

ALKMENA

Czym płakały boginie w tamtych czasach, łzami z brązu?

JOWISZ

Nie przerywaj mi. Chcę ci bowiem wykazać czym był Jowisz. Może się nagle zjawić przed tobą. Czy nie chciałabyś, żeby ci to wszystko wyjaśnił osobiście, w całym majestacie?

ALKMENA

Na pewno robił to już bardzo często. Ty wprowadzasz więcej fantazji.

JOWISZ

Na czym stanąłem?

ALKMENA

Doszliśmy już prawie do końca, do pierwotnego chaosu...

JOWISZ

Ach, tak! Otóż Jowiszowi przyszedł nagle do głowy pomysł pewnej siły rozciągliwej i twardej, która wypełniłaby

wszystkie próżnie i łagodziła wstrząsy atmosfery, jeszcze wzburzonej.

ALKMENA

Piana to również jego pomysł?

JOWISZ

Nie, ale kiedy stworzył wodę, pomyślał o ujęciu jej w brzegi dość nieregularne, gdyż inaczej nie oparłyby się burzom, a także o rozsianiu na niej, aby oczy bogów nie nużyły się migotaniem horyzontu, kontynentów płaskich albo skalistych. Tak powstała ziemia i wszystkie jej cuda...

ALKMENA

I jodły?

JOWISZ

Jodły?

ALKMENA

Świerki, cedry, cyprysy, cała ta masa zieleni i błękitu, bez której nie ma krajobrazu... i echo?

JOWISZ

Echo?

ALKMENA

Odpowiadasz zupełnie, jak ono. A kolory, czy to on stworzył kolory?

JOWISZ

On stworzył siedem kolorów tęczy.

ALKMENA

Mówię o złocie, purpurze, seledynie, moich ukochanych kolorach.

JOWISZ

Troskę o to zostawił farbiarzom. Ale uciekając się do rozmaitych drgań eteru, sprawił, że przez wzajemne zderzenia cząsteczek oraz przez różnorodne załamania i odbicia powstają we wszechświecie tysiące najrozmaitszych strumieni dźwięków i barw, które albo oddziaływują na zmysły ludzkie albo też nie, bo ostatecznie mało go to obchodzi.

ALKMENA

Mówiłam zupełnie to samo.

JOWISZ

Co mówiłaś?

ALKMENA

Że nie zrobił nic! Że tylko nas pogrążył w straszliwe odmęty zdumienia i złudzeń, skąd musimy się wydobywać sami, i ja i mój ukochany mąż.

JOWISZ

Jesteś bezbożna Alkmeno. Wiedz, że bogowie cię słyszą!

ALKMENA

Niech sobie słyszą! Czyż mogliby mieć mi to za złe? Nie widzę powodu, dlaczego miałabym odczuwać szczególną wdzięczność dla Jowisza za to, że stworzył cztery elementy, a nie dwadzieścia, które nam są potrzebne. Gospodarowanie wiecznością, to jego obowiązek. Natomiast muszę mieć serce wypełnione wdzięcznością dla Amfitriona, mego najdroższego męża, który w przerwie między swoimi bitwami stworzył nowe zawiasy do okien i wynalazł nowe szczepionki dla mojego sadu. Ty zmieniłeś dla mnie smak wiśni i formę grządki — ty więc jesteś moim stwórcą. Czemu na mnie patrzysz takimi oczami? Moje komplementy zawsze sprawiają ci zawód. Tylko wobec mnie pozwalasz sobie na pychę. Myślisz, że jestem zbyt przyziemna, powiedz?

JOWISZ (podnosi się bardzo uroczyście)

Czy nie chciałabyś być trochę mniej przyziemna?

ALKMENA

To by mnie oddaliło od ciebie.

JOWISZ

Czy nigdy nie pragnęłaś być boginią albo prawie boginią?

ALKMENA

Oczywiście, że nie. Po co?

JOWISZ

Po to, żeby wzbudzać powszechne uwielbienie i szacunek.

ALKMENA

Wzbudzam je jako zwykła kobieta, to więcej warte.

JOWISZ

Żeby mieć lżejsze ciało i chodzić po powietrzu, po wodzie.

ALKMENA

To robi każda żona, która ma kochanego męża.

JOWISZ

Żeby poznać przyczynę wszystkich rzeczy, tajemnicę innych światów.

ALKMENA

Nigdy nie interesowałam się sąsiadami.

JOWISZ

Więc żeby stać się nieśmiertelną.

ALKMENA

Nieśmiertelną? Po co? Na co mogło by mi się to przydać?

JOWISZ

Jakto, na co? Na to, żeby nie umrzeć.

ALKMENA

A co będę robiła, kiedy nie umrę?

JOWISZ

Będziesz żyła wiecznie, kochana Alkmeno, zamieniona w gwiazdę; będziesz błyszczała w ciemności aż po koniec świata.

ALKMENA

Kiedy nastąpi ten koniec świata?

JOWISZ

Nigdy.

ALKMENA

Uroczy wieczór towarzyski! A ty co będziesz robił?

JOWISZ

Jako cień bez głosu, pogrążony w mgłach piekieł, będę cieszył się myślą, że moja żona płonie tam w górze w suchym powietrzu.

ALKMENA

Dotąd odpowiadały ci raczej przyjemności mniej samotnicze... Nie, mój drogi, niechaj bogowie nie liczą na mnie przy tych projektach... Zresztą powietrze nocne bardzo źle wpływa na moją cerę... Będę cała spierzchnięta w głębi wieczności.

JOWISZ

Ale czy nie będziesz cała wyziębła i pusta w głębi śmierci?

ALKMENA

Nie boję się śmierci. Jest dopełnieniem życia. Skoro twój Jowisz, słusznie czy nie słusznie, zesłał śmierć na ziemię, muszę się solidaryzować ze swoją planetą. Czuję się zbyt związana z innymi ludźmi, ze zwierzętami, nawet z roślinami, abym mogła nie podzielić ich losu. Nie mów mi o nieśmiertelności, póki nie ma jakiejś nieśmiertelnej jarzyny. Stać się nieśmiertelnym, to dla człowieka zdradzić. Zresztą, gdy myślę o tym wielkim wypoczynku, jakiego śmierć udzieli naszym drobnym kłopotom, naszym lichym troskom, jestem jej wdzięczna za tę pełnię, nawet za ten nadmiar. Martwić się przez sześćdziesiąt lat o źle wyprasowane ubranie, o przypaloną zupę i w końcu osiągnąć śmierć, pewną trwałą śmierć, to nagroda ponad wszelkie spodziewanie... Dlaczego nagle zacząłeś na mnie patrzeć z takim szacunkiem?

JOWISZ

Dlatego, że jesteś pierwszą istotą naprawdę ludzką, którą spotykam.

ALKMENA

Jakbyś zgadł, to moja specjalność między ludźmi. Nie ma takiego wydarzenia w życiu ludzi, od urodzenia do śmierci, którego bym nie uznawała, nawet obiadów rodzinnych. Mam te umiarkowane zmysły, które nie sprowadzają na manowce. To samo dotyczy mojej inteligencji. Nie wyczuwam w niej tej skłonności do hazardu czy do błędu, która pod wpływem wina, miłości albo pięknej podróży przeradza się w pragnienie wieczności.

JOWISZ

Ale czy nie chciałabyś mieć syna mniej ludzkiego, niż ty sama, syna nieśmiertelnego?

ALKMENA

Jest rzeczą ludzką pragnąć syna nieśmiertelnego.

JOWISZ

Syna, który wyrośnie na znakomitego bohatera i od wczesnego dzieciństwa będzie się rzucał na lwy, na potwory?

ALKMENA

We wczesnym dzieciństwie, będzie miał oswojonego żółwia. Nie pozwolę mu na nic więcej.

JOWISZ

Który zdusi olbrzymie węże, gdy przyczołgają się do jego kołyski.

ALKMENA

Nigdy nie będzie zostawiany bez opieki. Takie wypadki zdarzają się jedynie synom służących. Nie, pragnę, żeby mój syn był wątły, płakał słabym głosikiem i lękał się nawet muchy...

JOWISZ

Mówmy poważnie, Alkmeno. Czy to prawda, że wolałabyś się zabić, niż zdradzić męża?

ALKMENA

Nie jesteś bardzo uprzejmy, gdy o to pytasz.

JOWISZ

Zabić się, to rzecz niebezpieczna.

ALKMENA

Ale nie dla mnie. Zapewniam cię, mój drogi, że moja śmierć nie będzie wcale tragiczna. Kto wie! Może nastąpi dziś wieczorem, w tym właśnie miejscu, jeśli wkrótce porazi cię bóg wojny. Postaram się jednak o to, żeby widzowie wynieśli z tego widowiska nie wrażenie okropności, ale pogody. Na pewno umarli znają sposób takiego uśmiechania się i krzyżowania rąk, że to załatwia wszystko.

JOWISZ

Możesz jednak pociągnąć za sobą w śmierć syna, poczętego wczoraj, już pół-żywego.

ALKMENA

Byłaby to dla niego tylko pół-śmierć. Miałby to policzone na poczet przyszłych losów.

JOWISZ

I mówisz to wszystko tak zwyczajnie, tak trzeźwo, prawie bez namysłu?

ALKMENA

Bez namysłu? Czasami ludzie zadają sobie pytanie, o czym myślą młode kobiety, zawsze roześmiane, wesołe,

w miarę pulchne, jak to ty określasz. Myślą o tym, jak umrzeć bez awantur i bez robienia dramatu, gdyby ich miłość miały spotkać upokorzenie i zawód...

JOWISZ (wstaje majestatycznie)

Posłuchaj mnie uważnie, Alkmeno. Jesteś nabożna i zdolna, jak widzę, do zrozumienia tajemnic świata. Muszę ci więc oświadczyć...

ALKMENA

Nie, nie, Amfitrionie, mój drogi. Nie przemawiaj tym tonem. Wiem doskonale, do czego prowadzi ta uroczysta forma. To twój sposób okazywania miłości. Wiesz, jak bardzo mnie to onieśmiela.

JOWISZ

Daj pokój żartom. Mam zamiar mówić o bogach.

ALKMENA

O bogach!

JOWISZ

Już czas, żebym ci opisał ich stosunek do ludzi, opowiedział o nieprzejrzanych księgach hipotecznych, w które wciągają sprawy mieszkańców ziemi i ich żon.

ALKMENA

Zwariowałeś! Chcesz mówić o bogach właśnie w tej porze dnia, kiedy ludzie pijani słońcem, biegnący ku orce albo na połów, są jedynie czystym człowieczeństwem. Zresztą wojsko czeka na ciebie. Jedź, kochanie, abyś mógł wcześniej wrócić. Poza tym czeka mnie gospodarstwo, drogi mężu. Muszę dokonać przeglądu domu... Jeżeli zostaniesz dłużej, mój panie, będę musiała pomówić z tobą również w sposób uroczysty nie o bogach, ale o pokojówkach. Doszłam do przekonania, że trzeba będzie odprawić Nenecę. Ma tę dziwną manię, że w mozaikach szoruje tylko czarne kwadraty. Ponadto uległa, jak wy powiadacie, woli bożej i zaszła w ciążę.

JOWISZ

Alkmeno, droga Alkmeno! Bogowie objawiają się w godzinie, kiedy ich najmniej oczekujemy.

ALKMENA

Amfitrionie, drogi mężu! Kobiety znikają w sekundzie, kiedy jesteśmy najbardziej pewni, że zostaną.

JOWISZ

Ich gniew jest straszny. Nie znoszą ani rozkazów, ani drwin.

ALKMENA

Ale ty znosisz wszystko, najdroższy. I właśnie dlatego tak cię kocham... Zniesiesz nawet ten pocałunek z daleka, przesłany dłonią!... Do widzenia... Wieczorem...

(Wychodzi. Wchodzi MERKURY).

SCENA 3.

JOWISZ, MERKURY.

MERKURY

Co się dzieje, Jowiszu? Oczekiwałem, że wyjdziesz z tego pokoju, jak ze wszystkich innych, w pełni sławy, tymczasem wybiegła stąd Alkmena, strofująca ciebie i wcale nie zmieszana?

JOWISZ

Rzeczywiście, trudno przypuścić, że mogłaby być zmieszana.

MERKURY

Co znaczy ta pionowa fałda między twymi brwiami? Czy to zapowiedź grzmotów? Czy oznaka groźby, zawieszonej nad ludzkością?

JOWISZ

Fałda?... To zmarszczka.

MERKURY

Jowisz nie może mieć zmarszczek. Ta zmarszczka została ci z ciała Amfitriona.

JOWISZ

Nie, nie, ta zmarszczka należy do mnie i wiem już teraz, skąd ludziom biorą się te zmarszczki, które tak nas intrygowały, — z niewinności i z rozkoszy.

MERKURY

Ale jesteś jakiś znużony, Jowiszu, garbisz się.

JOWISZ

Ciężko jest dźwigać zmarszczkę!

MERKURY

Czyżbyś doznał wreszcie tego sławnego wyczerpania, które ludziom przynosi miłość?

JOWISZ

Przypuszczam raczej, że doznaję miłości.

MERKURY

Znany jesteś z tego, że doznajesz jej często.

JOWISZ

Po raz pierwszy trzymałem w ramionach kobietę, nie widząc jej i zresztą także nie słysząc... To też zrozumiałem ją.

MERKURY

Co myślałeś?

JOWISZ

Że jestem Amfitrionem. To Alkmena odniosła zwycięstwo nade mną. Od pójścia na spoczynek aż do przebudzenia mogłem być tylko jej mężem. Przed chwilą chciałem jej wyjaśnić stworzenie świata. Znajdowałem jedynie nieporadny język nauczyciela, gdy wobec ciebie odzyskuję całą swoją boską wymowę. Czy nie zechciałbyś, na przykład, posłuchać, jak stworzyłem świat?

MERKURY

Wolałbym ostatecznie, żebyś go stworzył raz jeszcze. Dalej moja ofiarność nie sięga.

JOWISZ

Merkury, ludzkość jest inna, niż to sobie wyobrażają bogowie. Sądzimy, że ludzie są lichą odmianą naszej własnej natury. Widok ich pychy jest tak ucieszny, że wzbudziliśmy w nich wiarę w wieczysty konflikt między nimi i bogami. Włożyliśmy niezmierny wysiłek w przyswojenie im użytku ognia, aby mogli mniemać, że go nam wykradli; tyle samo trudu kosztowało nas wyrycie na ich niewdzięcznej korze mózgowej skomplikowanych linii, aby zdolni byli wynaleźć warsztat tkacki, koło zębate, olej wyciskany z oliwek, i wyobrażali sobie, że na nas zdobyli te łupy... A jednak ten konflikt istnieje i ja padłem jego ofiarą.

MERKURY

Wyolbrzymiasz władzę Alkmeny.

JOWISZ

Nie wyolbrzymiam. Alkmena, ta łagodna Alkmena, ma naturę odporniejszą od skał na nasze prawa. To ona jest prawdziwym Prometeuszem.

MERKURY

Po prostu brak jej wyobraźni. To wyobraźnia rozpala do naszych igrzysk mózgi ludzkie.

JOWISZ

Alkmena się nie rozpala. Nie jest wrażliwa ani na sławę, ani na pozory. Mało ma wyobraźni i zapewne niewiele więcej inteligencji. Ale jest w niej jakaś niezłomność i ograniczoność prawdopodobnie głęboko ludzka. Jest jedyną kobietą, którą mógłbym znieść w ubraniu, pod zasłoną; której nieobecność odpowiada ściśle obecności; której zajęcia wydają mi się równie urocze, jak zabawy. Siedzieć naprzeciw niej przy posiłku, choćby to było tylko śniadanie, podawać jej sól, miód, pieczywo, które zasila jej krew i wzmaga ciepło, dotykać ręki, bodaj by przy podawaniu łyżki czy serwetki, oto moje obecne pragnienia! Słowem kocham ją i mogę cię zapewnić, Merkury, że jej syn będzie moim ulubieńcem.

MERKURY

O tym wie już cały świat.

JOWISZ

Cały świat? Wydaje mi się, że nikt jeszcze nie wie o tej przygodzie.

MERKURY

Wszystko, co na tym świecie posiada uszy, wie, że Jowisz zaszczyca dzisiaj Alkmenę swymi odwiedzinami. Wszystko, co posiada język, zajęte jest w tej chwili powtarzaniem tej wiadomości. Rozgłosiłem wszystko o wschodzie słońca.

JOWISZ

Zdradziłeś mnie! Biedna Alkmena!

MERKURY

Postąpiłem tak samo, jak przy innych twoich kochankach. Byłaby to pierwsza twoja miłość utrzymana w sekrecie.

JOWISZ

Coś im powiedział? że przybrałem wczoraj wieczorem postać Amfitriona?

MERKURY

Co to, to nie. Ten podstęp, niezbyt boski, mógłby wywołać niepożądane komentarze. Ponieważ czułem poprzez mury, że pragniesz spędzić także drugą noc w ramionach Alkmeny, więc obwieściłem, że dziś wieczorem przyjmie wizytę Jowisza.

JOWISZ

Komu to obwieściłeś?

MERKURY

Naprzód, jak to było moim obowiązkiem, powietrzu i wodzie. Posłuchaj! Fale powietrza i wody tylko o tym gadają w swojej mowie.

JOWISZ

I nikomu więcej?

MERKURY

Tylko jeszcze starej kobiecie, która przechodziła u podnóża pałacu.

JOWISZ

Głuchej żonie dozorcy? Jesteśmy zgubieni!

MERKURY

Skąd to ludzkie słóweczko, Jowiszu? Zachowujesz się, jak typowy kochanek. Czyżby Alkmena domagała się zachowania tajemnicy aż do chwili, kiedy uniesiesz ją z tej ziemi?

JOWISZ

W tym cała bieda, że Alkmena nie wie o niczym. Sto razy podczas tej nocy próbowałem jej odkryć kim jestem. Sto razy przez jakieś powiedzenie pełne pokory albo wdzięku zamieniała prawdę boską w prawdę ludzką.

MERKURY

I nie miała żadnych podejrzeń?

JOWISZ

Ani przez chwilę i zastrzegam się stanowczo przeciw podobnym przypuszczeniom... Co to za krzyki?

MERKURY

Moja głucha staruszka spełniła swoje zadanie. Teby przygotowują się do uroczystego obchodu twego związku z Alkmeną... Tworzy się wielka procesja i zmierza ku pałacowi...

JOWISZ

Nie może tu dotrzeć! Skieruj ją ku brzegom, niech ją morze pochłonie.

MERKURY

Niemożliwe, na czele idą twoi kapłani.

JOWISZ

I tak nie będą naprawdę nigdy wierzyć we mnie.

MERKURY

Jesteś bezsilny wobec praw, które sam przepisałeś. Cały świat wie, że dzisiaj Jowisz da syna Alkmenie. Nie byłoby źle, gdyby Alkmena dowiedziała się o tym również.

JOWISZ

Alkmena tego nie zniesie.

MERKURY

Niechaj więc Alkmena cierpi. Opłaci się nam skórka za wyprawkę.

JOWISZ

Alkmena nie będzie cierpiała. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Zabije się. A razem z nią zginie mój syn, Herkules. I znowu będę musiał, jak przy stwarzaniu ciebie, krajać sobie lędźwie albo też wydobywać tłuszcz z wnętrzności, aby nim paść przez kilka miesięcy jakiś płód. Dziękuję uprzejmie! Czy procesja się zbliża?

MERKURY

Powoli, ale niezawodnie.

JOWISZ

Po raz pierwszy, Merkury, mam wrażenie, że uczciwy bóg może być nieuczciwym człowiekiem... Co to za śpiewy?

MERKURY

To dziewice, które poruszone nowiną przybywają, aby na podstawie wiadomości teoretycznych złożyć życzenia Alkmenie.

JOWISZ

Czy naprawdę nie sądzisz, że nie zaszkodziłoby potopić tych kapłanów, a na dziewice zesłać udar słoneczny?

MERKURY

Trudno mi odpowiedzieć... Co do mnie, to spełniłem swój obowiązek. Świat już wie, jak chciały wyroki, że tej nocy kładziesz się do łóżka Alkmeny. Czy mógłbym coś więcej dla ciebie zrobić?

JOWISZ

Owszem. Żebym tam położył się naprawdę.

MERKURY

I to z tym sławetnym jej przyzwoleniem, o którym mówiłeś wczoraj?

JOWISZ

Tak, Merkury. Już teraz nie chodzi o Herkulesa. Sprawa Herkulesa skończyła się pomyślnie. Chodzi o mnie. Musisz odwiedzić Alkmenę, przygotować ją do mojej wizyty, opisać jej moją miłość.... Możesz nawet posłużyć się swoim fluidem drugorzędnego boga, byleś tylko zdołał obrócić na moją korzyść ludzkie słabości jej ciała. Pozwalam ci zbliżyć się do niej, nawet jej dotknąć. Porusz najprzód jej nerwy, potem jej krew, potem jej dumę. Muszę cię, zresztą, uprzedzić, że nie opuszczę tego miasta, zanim z dobrej woli nie odda mi się na łaskę i niełaskę. I dosyć mam tej upokarzającej liberii. Przyjdę jako bóg!

MERKURY

Najszczersze powinszowania, Jowiszu! Mogę cię zapewnić, że gdy odrzucisz incognito, już za parę minut będę miał jej zgodę na przyjęcie cię po zachodzie słońca. Właśnie nadchodzi. Zostaw mnie.

ALKMENA (za sceną)

Och, och, mój miły!

ECHO

Miły!

JOWISZ

Kogo woła?

MERKURY

Rozmawia z echem o Amfitrionie. A ty powiadasz, że nie jest zalotna. Bez przerwy mówi do tego echa. Ma lustro nawet dla swoich słów. Chodźmy, Jowiszu, bo się zbliża.

JOWISZ

Bądź pozdrowiony domu czysty i prawy, tak czysty, tak prawy!... Czemu się uśmiechasz? Czyś już kiedy słyszał to zdanie?

MERKURY

Tak, poprzednio. Słyszałem je poprzednio. Powtarzają mi je przyszłe wieki. Ruszajmy. Oto ona!

SCENA 4.

ALKMENA i EKLISSA, jej mamka, wchodzą ze stron przeciwnych.

ALKMENA

Jesteś czymś bardzo podniecona, Eklisso.

EKLISSA

Przynoszę, proszę pani, werwenę, jego ulubione kwiaty.

ALKMENA

Czyje ulubione kwiaty? Ja najbardziej lubię róże.

EKLISSA

I ośmieliłaby się pani ubrać różami pokój w taki dzień?

ALKMENA

A czemu nie?

EKLISSA

Mówiono mi zawsze, że Jowisz nienawidzi róż. Ale może pani ma i rację, mimo wszystko, żeby bogów traktować tak, jak zwykłych ludzi. To ich uczy moresu. Czy mam przygotować wielką czerwoną kotarę przy łóżku?

ALKMENA

Wielką kotarę? Po co! Wystarczy zwykła lniana.

EKLISSA

Pani jest bardzo sprytna. Pani to dobrze sobie obmyśliła, że lepiej nadać pałacowi wygląd przytulny, niż od

wielkiego święta. Napiekłam ciastek i dodałam ambry do kąpieli.

ALKMENA

Dobrze zrobiłaś. To ulubiony zapach mego męża.

EKLISSA

W samej rzeczy, mąż pani będzie także bardzo dumny i bardzo szczęśliwy.

ALKMENA

Co masz na myśli, Eklisso?

EKLISSA

O moja droga pani, oto imię twoje stało się sławne na wieki wieków i zapewne moje również, bo przecież byłam twoją mamką. Memu pokarmowi zawdzięczasz tę śliczną cerę.

ALKMENA

Czy Amfitriona spotkał jakiś niezwykły zaszczyt?

EKLISSA

Spotkało go to, o czym każdy książę śmiałby ledwo zamarzyć, jako o największym wyróżnieniu.

ALKMENA

Zwycięstwo?

EKLISSA

Pewnie, że zwycięstwo! I to nad najwyższym z bogów! Czy pani słyszy?

ALKMENA

Co znaczy ta muzyka, te krzyki?

EKLISSA

Ależ moja najmilsza pani, przecież już całe Teby znają tę nowinę. Wszyscy składają sobie życzenia, wszyscy się cieszą, że dzięki pani nasze miasto zostało wyniesione ponad wszystkie miasta w świecie.

ALKMENA

Dzięki twemu panu!

EKLISSA

Pewnie, pan również ma swój udział w tej chwale.

ALKMENA

Tylko on!

EKLISSA

Nie, tylko pani. Cała Grecja rozbrzmiewa sławą pani imienia. Głosy kogutów, jak twierdzą kapłani, podniosły się o jeden ton od tego ranka. Leda, królowa Sparty, którą Jowisz kochał pod postacią łabędzia, a która w podróży zatrzymała się w Tebach, pragnie pani złożyć wizytę. Jej rady mogą pani się przydać. Czy mam ją zaprosić?

ALKMENA

Oczywiście...

EKLISSA

Ach, moja droga pani, nie potrzeba było nawet, jak ja, oglądać pani codzień w kąpieli, aby nabrać przekonania, że pewnego dnia bogowie zażądają swojej należności.

ALKMENA

Nie rozumiem. Czy Amfitrion jest bogiem?

EKLISSA

Nie, ale jego syn będzie pół-bogiem. (Okrzyki, muzyka). To dziewice. Wyprzedziły kapłanów w drodze pod górę i oczywiście zabrały z sobą tego włóczykija, małą Alekseję. Niech się im pani nie pokazuje. Tak będzie godniej... Może ja im coś powiem?... Pytacie, dziewczynki, czy księżniczka jest w domu? Tak, tak, jest w domu! (Alkmena, trochę zdenerwowana, chodzi po pokoju). Wpółomdlała spoczywa na posłaniu. Roztargnionym spojrzeniem pieści olbrzymią kulę złotą, która nagle zawisła pod sufitem. Prawą ręką podnosi do twarzy bukiet werweny. Lewą podaje olbrzymiemu orłowi, który przed chwilą wleciał oknem do pokoju, diamenty do dziobania.

ALKMENA

Dosyć tych żartów, Eklisso! Można obchodzić zwycięstwo bez maskarady.

EKLISSA

Jak jest ubrana? Chcecie wiedzieć jak jest ubrana? Nie, Aleksejo, nie jest naga. Czy ma na sobie przepaskę? A czemuż to nie miałaby mieć przepaski? Co to za śmiechy tam na końcu, tak, właśnie ty, najmłodsza? Poczekaj, niech-no ja cię złapię! Czy przygotowuje dla niego przyjęcie?... Jaki zapach lubi najbardziej?

ALKMENA

Skończyłaś już, Eklisso?

EKLISSA

Chciały wiedzieć, jaki jest pani ulubiony zapach. (Alkmena grozi jej palcem). To tajemnica, dziewczynki, ale wieczorem całe Teby napełnią się tą wonią... Żeby nie stała się gwiazdą, która ukazuje się tylko raz na sześć miesięcy? Dobrze, postaram się ją ostrzec. I jak to wszystko będzie się odbywało? Naturalnie, dziewczynki, przyrzekam, że nie ukryję przed wami niczego. Do widzenia!... Już odchodzą, Alkmeno. Odwracają się ślicznymi plecami, żeby ukryć uśmiech. Ach, jak to plecy mogą się ładnie uśmiechać! Śliczne dziewczyny!

ALKMENA

Jesteś szalona, Eklisso!

EKLISSA

Ach, tak, proszę pani, szalona i oszalała! Bo jak on tu przyjdzie? Lądem, morzem, czy powietrzem? Jako bóg, jako zwierzę, czy jako człowiek? Boję się teraz wypędzać ptaki, bo może jest jednym z nich. Boję się bronić przed oswojonym kozłem, który mnie napadł i pobódł. Jest właśnie tutaj, przemiłe zwierzątko, tupie i beczy w przedpokoju. Czy nie należałoby mu otworzyć? Albo kto wie, może wprost przeciwnie jest tym wiatrem, który porusza firanki? Może właśnie w tej chwili gładzi ramiona twojej starej niani? Ach, owionął mnie oddech boskości! Och, patrzaj, kto to wlatuje przez okno?

ALKMENA

Czyż nie widzisz, że to pszczoła... Wypędź ją!

EKLISSA

Za nic na świecie. To ona! To on, chciałam powiedzieć, to on w niej, krótko mówiąc. Niech się pani nie rusza. błagam! O witaj, boska pszczoło! Domyślamy się, kim jesteś.

ALKMENA

Krąży koło mnie, ratunku!

EKLISSA

Jaka pani śliczna, gdy się tak pani broni. Ach, jakże słusznie Jowisz zmusił panią do odtańczenia tego tańca stra-

chu i zabawy. Żaden inny taniec nie zdołałby tak świetnie ukazać pani prostoty i wdzięku... Na pewno panią utnie!

ALKMENA

Ale ja nie chcę, żeby mnie ukłuła!

EKLISSA

O, błogosławione ukłucie! Pozwól się ukłuć, moja najdroższa pani! Pozwól jej usiąść na swoim policzku. Och, to on, na pewno on, bo krąży koło twoich piersi! (Alkmena strąca pszczołę i miażdży ją nogą). O nieba! Coś uczyniła?! Jakto, nie ma gromu ani błyskawicy? Wstrętny owad, narobił nam tyle strachu!

ALKMENA

Czy zechcesz, Eklisso, wytłumaczyć mi powody swego zachowania?

EKLISSA

A czy pani nie zechciałaby naprzód przyjąć delegacji, które przybywają, żeby ci złożyć życzenia?

ALKMENA

Amfitrion przyjmie je jutro wraz ze mną.

EKLISSA

Oczywiście, tak będzie lepiej... Wrócę za chwilę, proszę pani. Idę poszukać Ledy.

SCENA 5.

ALKMENA, MERKURY.

(Alkmena, trochę niespokojna, robi kilka kroków przez pokój i kiedy się odwraca, dostrzega naprzeciw siebie Merkurego).

MERKURY

Witaj, księżniczko.

ALKMENA

Jest pan bogiem, jeśli sądzić po sposobie ukazywania się, pełnych zuchwalstwa i jednocześnie dyskrecji?

MERKURY

Bogiem o złej sławie, ale bądź co bądź bogiem.

ALKMENA

Merkury, jak się domyślam po rysach twarzy?

MERKURY

Dziękuję. Inni ludzie poznają mnie po stopach, po skrzydłach u stóp. Pani jest bystrzejsza albo bardziej skłonna do pochlebstwa.

ALKMENA

Naprawdę bardzo mi miło zobaczyć boga.

MERKURY

Gdyby pani miała ochotę go dotknąć, to bardzo proszę. Poznaję po pani rękach, że ma pani do tego prawo... (Alkmena gładzi lekko nagie ramię Merkurego, dotyka jego twarzy). Widzę, że bogowie panią interesują.

ALKMENA

Przez całe dzieciństwo marzyłam o nich, dawałam im znaki. Nareszcie jeden z nich się zjawił!... Dotykam nieba!... Bardzo lubię bogów.

MERKURY

Wszystkich? Czy ja również jestem objęty tą życzliwością?

ALKMENA

Ziemię się kocha w szczegółach, bogów w całości. Zresztą pan, Merkury, ma takie piękne imię. Powiadają również, że jest pan bogiem wymowy... Poznałam to natychmiast, gdy się pan zjawił.

MERKURY

Po moim milczeniu? Twarz pani ma także piękną wymowę... I nie ma pani żadnego ulubieńca między bogami?

ALKMENA

Oczywiście, skoro mam ulubieńca między ludźmi...

MERKURY

Kogo?

ALKMENA

Czyż muszę go wymieniać?

MERKURY

Może pani pozwoli, że będę jej wyliczał bogów według listy oficjalnej, a pani mi przerwie.

ALKMENA

Już panu przerywam. Bo to pierwszy.

MERKURY

Jowisz?

ALKMENA

Jowisz!

MERKURY

Zadziwia mnie pani. Czyżby tytuł boga bogów wpływał tak bardzo na pani wybór? Czy raczej nie powinno pani odstręczać to jego najwyższe rozleniwienie, ta posada kierownika bez specjalności w boskim warsztacie?

ALKMENA

Jego specjalnością jest boskość. To już coś znaczy.

MERKURY

Nie zna się zupełnie na wymowie, snycerstwie, muzyce niebiańskiej albo kameralnej. Nie posiada żadnych uzdolnień.

ALKMENA

Jest piękny.

MERKURY

Jest piękny, bez wątpienia, i zalotny.

ALKMENA

Nie jest pan lojalny wobec niego. Myśli pan, że nie rozumiem tych nagłych namiętności, które rzucają Jowisza w ramiona śmiertelniczek, aż nazbyt zaszczyconych tymi wysokimi względami? Nie podoba się panu, że to mówię?

MERKURY

Jestem zachwycony... Tak więc los Ledy, Danae i wszystkich innych, które były albo będą kochane przez Jowisza, wydaje się pani losem szczęśliwym?

ALKMENA

Nieskończenie szczęśliwym.

MERKURY

I godnym zazdrości?

ALKMENA

Bardzo godnym zazdrości.

MERKURY

Słowem, pani im zazdrości?

ALKMENA

Czy im zazdroszczę? Po co to pytanie?

MERKURY

Czy pani się nie domyśla? Czy pani nie zgaduje, po co tu przyszedłem i co mam pani oświadczyć, jako poseł mojego pana?

ALKMENA

W każdym razie niech pan powie.

MERKURY

Że panią kocha... że Jowisz panią kocha.

ALKMENA

Więc Jowisz mnie zna? Jowisz raczy wiedzieć o moim istnieniu? Jestem najszczęśliwsza z kobiet.

MERKURY

Już od wielu dni przygląda się pani, nie tracąc z oczu żadnego pani ruchu. Stale znajduje się pani w jego promienistym spojrzeniu.

ALKMENA

Od wielu dni?

MERKURY

I od wielu nocy. Cóż to, pani blednie?

ALKMENA

To prawda, powinnam się rumienić. Bardzo pana przepraszam, Merkury. Jest mi niezmiernie przykro, że nie zawsze byłam godna tego spojrzenia. Czemu pan mnie nie uprzedził?

MERKURY

Więc co mam mu powiedzieć?

ALKMENA

Niech mu pan powie, że odtąd będę godna tej łaski. Już teraz mamy w pałacu srebrny ołtarz ku jego czci. Zaraz po powrocie Amfitriona wzniesiemy ołtarz złoty.

MERKURY

Tylko że on nie domaga się od pani ołtarza.

ALKMENA

Wszystko tutaj należy do niego! Niechaj raczy wybrać jakąś rzecz spośród tego, co najbardziej lubię.

MERKURY

Już wybrał i dziś wieczorem o zachodzie słońca przyjdzie sam o to prosić.

ALKMENA

Co wybrał?

MERKURY

Pani łóżko. (Alkmena nie zdradza zbytniego zdumienia). Niech się pani przygotuje. Wydałem już nocy wszystkie rozkazy. Nie starczy jej dnia, aby zebrać blaski i dźwięki na te zaślubiny niebian. Będzie to raczej zadatek na przyszłą pani nieśmiertelność, niż noc. Jestem szczęśliwy, że to właśnie mnie przypadło w udziale umieszczać fragmenty wieczności między znikomymi chwilami pani życia. Niechaj to będzie moim podarunkiem weselnym. Pani się uśmiecha?

ALKMENA

Rzecz zasługuje tylko na uśmiech.

MERKURY

Dlaczego?

ALKMENA

Po prostu dlatego, że zachodzi tu omyłka co do osoby, Merkury. Ja jestem Alkmena, a moim mężem jest Amfitrion.

MERKURY

Mężowie tak niewiele znaczą dla fatalnych praw świata.

ALKMENA

Jestem najprostszą z Tebanek. Źle uczyłam się w szkole i zresztą wszystkiego już zapomniałam. Mówią, że jestem mało rozgarnięta.

MERKURY

Nie podzielam tej opinii.

ALKMENA

Chciałabym zwrócić panu uwagę, że nie chodzi w tej chwili o pana, tylko o Jowisza. Otóż stanowczo nie jestem godna podejmować Jowisza. Widział mnie w oświetleniu swego własnego blasku. Moje światełko jest nieskończenie słabsze.

MERKURY

Z nieba widać, że pani ciało rozjaśnia noc grecką.

ALKMENA

Tak, używam różnych maści i pudrów. Jakoś mi się to jeszcze udaje przy pomocy pilników i szczypiec. Ale nie umiem ani pisać, ani myśleć.

MERKURY

Muszę stwierdzić, że jednak mówić umie pani w stopniu dostatecznym. Zresztą przyszli poeci wezmą na siebie ułożenie waszych rozmów podczas tej nocy.

ALKMENA

Mogą wziąć na siebie również całą resztę.

MERKURY

Po co używa pani języka, który brudzi wszystko, czego się dotknie? Czy sądzi pani, że jej się uda umknąć bogom przez odcięcie się od wszystkiego, co jest w pani szlachetne i piękne? Czyż nie zdaje sobie pani sprawy z powagi swojej roli?

ALKMENA

Właśnie wyłażę ze skóry, żeby to panu wytłumaczyć. Nie nadaję się do tej roli. Żyję w atmosferze tak bardzo ziemskiej, że żadne bóstwo nie mogłoby ze mną dłużej wytrzymać.

MERKURY

Proszę się nie łudzić, że chodzi tu o jakiś trwalszy związek. Chodzi o kilka godzin.

ALKMENA

Tego nie może pan przewidzieć. Nie zdziwiłaby mnie nawet stałość Jowisza. Dziwi mnie tylko jego wybór.

MERKURY

Ma pani figurę najzgrabniejszą w świecie.

ALKMENA

Przypuśćmy, że tak... Ale czy on wie, że latem okropnie się pocę?

MERKURY

Ręce pani mogłyby być ozdobą kwiatów w pani ogrodach.

ALKMENA

Ręce mam ładne, owszem... Ale nikt z nas nie może mieć więcej, niż dwoje rąk. Za to mam o jeden ząb za dużo.

MERKURY

Chód pani obiecuje bardzo wiele.

ALKMENA

Na tym nie można polegać, wprost przeciwnie. Gdy chodzi o miłość zupełnie nie jestem rozbudzona.

MERKURY

Kłamstwo nie przyda się na nic. Jowisz oglądał panią również i w tej roli.

ALKMENA

Można udawać...

MERKURY

Dosyć już słów, dosyć kokieterii... Cóż to, Alkmeno, ma pani, widzę, łzy w oczach? Płacze pani wtedy, kiedy ku pani czci deszcz radości ma spaść na ludzkość? Bo tak postanowił Jowisz. Wie, że pani jest dobra i że pani woli taką ulewę od ulewy złota. Dziś wieczorem zaczyna się dla Teb rok radości. Nie będzie już chorób, nie będzie głodu, nie będzie wojny.

ALKMENA

Tego by jeszcze brakowało!

MERKURY

I dzieci z miasta pani, które miały umrzeć w tym tygodniu — ośmioro, jeśli chce pani wiedzieć, czterech chłopczyków i cztery dziewczynki — będą ocalone dzięki tej nocy.

ALKMENA

To się zwykle nazywa szantażem!

MERKURY

Szczęście i zdrowie, to istotnie boski szantaż... Słyszy pani? Te śpiewy, ta muzyka, ten entuzjazm, wszystko to przeznaczone jest dla pani. Całe Teby wiedzą, że pani dziś wieczorem przyjmie u siebie Jowisza, i stroją się, i cieszą za panią. Kaleki i nędzarze będą pani zawdzięczać zdrowie i szczęście, gdyż Jowisz ich uleczy albo obdarzy, idąc do pani o zachodzie słońca. Już wie pani wszystko. Do widzenia, Alkmeno.

ALKMENA

Ach, więc to chodziło o takie zwycięstwo! Pan już odchodzi, Merkury?

MERKURY

Odchodzę. Idę zawiadomić Jowisza, że pani na niego czeka.

ALKMENA

Okłamie go pan. Nie mogę na niego czekać.

MERKURY

Co pani mówi?

ALKMENA

Nie będę na niego czekała. Błagam pana, Merkury, niech pan odwróci ode mnie tę łaskę Jowisza!

MERKURY

Nie rozumiem.

ALKMENA

Nie mogę być kochanką Jowisza.

MERKURY

Dlaczego?

ALKMENA

Potem będzie mną gardził.

MERKURY

Niech pani nie udaje naiwnej.

ALKMENA

Jestem bezbożna. Bluźnię w miłości.

MERKURY

Pani kłamie... I to wszystko?

ALKMENA

Jestem zmęczona, chora...

MERKURY

To też nieprawda. Niech pani nie sądzi, że można przeciw bogu użyć broni, która działa skutecznie przeciw mężczyznom.

ALKMENA

Ale ja kocham mężczyznę.

MERKURY

Jakiego mężczyznę?

ALKMENA

Mego męża.

MERKURY

Ach, więc pani kocha męża?

ALKMENA

Kocham.

MERKURY

Braliśmy to pod uwagę! Jowisz nie jest mężczyzną, nie wybiera sobie kochanek spośród niewiernych żon. Zresztą proszę nie udawać takiego niewiniątka. My znamy pani sny.

ALKMENA

Moje sny?

MERKURY

Wiemy o czym marzy pani we śnie. Wierne żony miewają czasami dziwne sny i nie są wtedy w ramionach męża.

ALKMENA

W takim razie nie są w niczyich ramionach.

MERKURY

Przydarza się tym statecznym żonom nazywać męża Jowiszem. Podsłuchiwaliśmy panią.

ALKMENA

Mój mąż może być dla mnie Jowiszem. Jowisz nie może być moim mężem.

MERKURY

Jest pani naprawdę, by użyć popularnego zwrotu, uparta jak kozioł! Proszę mnie nie zmuszać, żebym mówił brutalnie i ukazał pani dno tego, co pani uważa za swoją cnotę. Muszę stwierdzić, że w słowach jest pani raczej dość cyniczna.

ALKMENA

Skoro ktoś mnie napadnie, gdy jestem nago, to nie może się dziwić, że się bronię nagim ciałem i nagimi nogami. Pan mi nie pozwolił na przebieranie w słowach.

MERKURY

Dobrze więc, będę i ja mówił bez osłonek: Jowiszowi zupełnie nie zależy na tym, żeby do łóżka pani wejść jako mężczyzna...

ALKMENA

Mógł już pan dojść do przekonania, że nie zgodzę się również na to, aby doń wszedł jako kobieta.

MERKURY

Mogliśmy już dojść do przekonania, że pewne widoki przyrody, pewne zapachy, pewne kształty działają podniecająco na pani duszę i na pani ciało i że często, nawet w ra-

mionach Amfitriona odczuwała pani wobec przedmiotów albo żywych istot gwałtowny niepokój. Pani lubi pływać. Jowisz może się stać wodą, która panią obejmuje i przenika. Jeżeli zaś pani sądzi, że popełni pani mniejszą niewierność, gdy przyjmie pieszczotę najwyższego z bogów od rośliny albo zwierzęcia, proszę tylko powiedzieć, jesteśmy na pani usługi... Jakie zwierzę z rodziny kotów lubi pani najbardziej?

ALKMENA

Merkury, niech mnie pan wreszcie zostawi w spokoju.

MERKURY

Tylko słówko i znikam. Alkmeno, z dzisiejszego spotkania wieczorem musi się narodzić dziecko.

ALKMENA

Na pewno ma już nawet jakieś imię?

MERKURY

Ma już imię. Nazywa się Herkules.

ALKMENA

Biedna mała dziewuszka, nie narodzi się wcale.

MERKURY

To chłopiec i narodzi się. Herkules musi zniszczyć wszystkie te potwory, które są jeszcze postrachem ziemi, rozbić wszystkie te złomy świata o czterech wymiarach, które są jeszcze zawadą na waszym świecie, posiadającym tylko trzy wymiary. Na związek pani z Jowiszem złożyła się cała wieczność.

ALKMENA

A co się stanie, gdy ja odmówię?

MERKURY

Herkules musi przyjść na świat.

ALKMENA

A jeżeli ja się zabiję?

MERKURY

Jowisz przywróci pani życie. Ten syn musi przyjść na świat.

ALKMENA

Syn zrodzony ze zdrady małżeńskiej? Nigdy! Ten syn umrze, choćby był synem wszystkich potęg niebieskich!

MERKURY

Cierpliwość bogów ma także swoje granice, Alkmeno. Pani nadużywa ich grzeczności. Tym gorzej dla pani. Ostatecznie, możemy się obejść bez pani zgody.

(Eklissa wpada gwałtownie.)

EKLISSA

Proszę pani... Królowa Leda przybyła do pałacu.

MERKURY

Niech ją pani przyjmie, Alkmeno, może się pani przysłużyć dobrą radą. Ja zaś odchodzę, aby Jowiszowi zdać sprawę z naszej rozmowy.

ALKMENA

Więc powtórzy mu pan moją odpowiedź?

MERKURY

Czy zależy pani na tym, żeby miasto spustoszył mór i ogień? Żeby mąż pani zaznał klęski i niesławy? Powiem mu, że pani czeka.

ALKMENA

Powie mu pan kłamstwo.

MERKURY

Co dla kobiet było kłamstwem rano, staje się prawdą wieczorem. A więc do wieczora, Alkmeno!

(Znika).

ALKMENA

Eklisso, jak ona wygląda?

EKLISSA

Ma srebrną suknię ze szlakiem haftowanym w łabędzie, ale bardzo dyskretnym.

ALKMENA

Mówię o twarzy... Czy twarz ma surową, wyniosłą?

EKLISSA

Szlachetną i łagodną.

ALKMENA

Idź więc, biegnij, niech przyjdzie tu zaraz, mam pewien pomysł, pomysł wspaniały! Leda może mnie ocalić.

SCENA 6.

LEDA, ALKMENA, później EKLISSA.

LEDA

Pani uważa moją wizytę za nietakt, Alkmeno?

ALKMENA

Wprost przeciwnie, Ledo, oczekiwałam jej niecierpliwie.

LEDA

To ten pokój, który wkrótce stanie się historyczny?

ALKMENA

To mój pokój.

LEDA

Morze i góry, ładnie to pani urządziła.

ALKMENA

Zapomina pani o niebie...

LEDA

Niebo zapewne mniej go zainteresuje... A więc to dzisiaj wieczorem?

ALKMENA

Wieść niesie, że dzisiaj wieczorem.

LEDA

Jak do tego doszło? Modliła się pani długo codzień, żeby poskarżyć się na swój smutek, swoją tęsknotę?

ALKMENA

Nie, modliłam się, żeby podziękować za swoją radość, swoje szczęście...

LEDA

To bodaj jeszcze lepszy sposób wzywania na pomoc... Widziała go pani?

ALKMENA

Nie... Czy to on panią przysyła?

LEDA

Przejeżdżałam przez Teby, dowiedziałam się o wszystkim i przyszłam do pani.

ALKMENA

A może po prostu chciała go pani znowu zobaczyć?

LEDA

Nie widziałam go nigdy!... Czyżby pani nie znała szczegółów tego wydarzenia?

ALKMENA

Więc to prawda, Ledo, co głosi legneda, że istotnie był łabędziem?

LEDA

W pewnej mierze. Był rodzajem ptaka-chmury, łabędzia-orkanu.

ALKMENA

Rodzajem fruwającej pierzyny?

LEDA

Jeśli mam być szczera, Alkmeno, to pragnęłabym bardzo, żeby pani nie pojawiał się w tej postaci. Nie mam prawa do zazdrości, ale wolałabym zachować oryginalność. Jest tyle innych ptaków, nawet znacznie rzadszych!

ALKMENA

Mało jest jednak równie szlachetnych, jak łabędzie i równie wytwornych.

LEDA

Oczywiście.

ALKMENA

Czy wtedy śpiewał, czy mówił?

LEDA

Używał jakiegoś artykułowanego świergotu, którego sens się zatracał, ale którego składnia była tak czysta, że odgadywało się z łatwością ptasie rzeczowniki i przysłówki.

ALKMENA

Czy zawiadomiono panią o jego wyborze?

LEDA

Było to w lecie. Od zrównania dnia z nocą wielkie łabędzie przelatywały wysoko w górze między gwiazdami. Mój mąż mawiał żartobliwie, że jestem pod znakiem łabędzia.

ALKMENA

Mąż pani pozwala sobie na żarty w takich okolicznościach?

LEDA

Mój mąż nie wierzy w bogów. Traktuje więc ten wypadek jako przywidzenie albo jako sposobność do kpinek. Jest to bardzo wygodne.

ALKMENA

Była pani napadnięta, powalona?

LEDA

Raczej zaskoczona, mile zaskoczona. Doznawałam pieszczoty czegoś innego, niż tych uwięzionych wężów, jakimi są palce, niż tych kalekich skrzydeł, jakimi są ramiona; pochwycił mnie pęd, który szedł nie od ziemi, ale od gwiazd, wciągnął mnie w siebie wir planetarny. Słowem: była to piękna podróż. Zresztą za chwilę pozna pani to wszystko lepiej ode mnie.

ALKMENA

A jak się z panią rozstał?

LEDA

Leżałam na wznak. Uniósł się prosto w zenit. Dał mi na kilka sekund nadludzką dalekowzroczność, dzięki której mogłam go śledzić aż do zenitu zenitów. Tam zniknął mi z oczu.

ALKMENA

I odtąd nie dał już znaku życia?

LEDA

Jego względy, proszę pani, przejawiają się raczej w uprzejmości jego kapłanów. Zresztą nie zwykłam utrzymywać dłuższych związków, nawet z bogiem. Może zgodziłabym się na drugie spotkanie. Tak, zapewne. Ale on zaniedbał tego obowiązku grzeczności.

ALKMENA

Może uda się nam to naprawić! A potem, czy potem czuła się pani szczęśliwa? Była pani przecież tak powszechnie sławiona?

LEDA

Szczęśliwa, sławiona? Jestem więcej, niż sławiona, jestem błogosławiona. Przekona się pani sama, że to niespodziewane zdarzenie przyniesie pani taką ulgę, i na tak długo, że całe pani życie nabierze lekkości.

ALKMENA

Kiedy ja wcale nie odczuwam ciężaru życia; a zresztą nie zobaczę go.

LEDA

To go pani poczuje.

ALKMENA

Czy sądzi pani, Ledo, że można Jowisza przebłagać? Przecież pani go zna.

LEDA

Znam? Widziałam tylko ptaka.

ALKMENA

Ale jaki byłby wedle pani charakter boga, gdyby sądzić po zachowaniu się ptaka?

LEDA

Wielka konsekwencja myśli, a mała znajomość kobiet; lecz jest wrażliwy na każdą uwagę i wdzięczny za każdą wskazówkę... Dlaczego pani o to pyta?

ALKMENA

Bo postanowiłam odrzucić względy Jowisza. Błagam panią, proszę mnie ocalić!

LEDA

Ocalić od sławy?

ALKMENA

Nie jestem zupełnie godna tej sławy. Pani jest nie tylko najpiękniejsza, ale również najinteligentniejsza z królowych. Wystarczy panią ujrzeć, aby zrozumieć. że bardziej niż kobietą jest pani jednym z tych żywych posągów, których marmurowe potomstwo będzie kiedyś zdobiło wszystkie ładne zakątki świata.

LEDA

Pani znowu jest, jak oni tam powiadają, samą pięknością i młodością. Do czego pani zmierza, najmilsza dziewczynko?

ALKMENA

Raczej się zabiję, niż poddam miłości Jowisza. Kocham męża.

LEDA

To też nigdy już nie będzie pani mogła pokochać nikogo, poza mężem, gdy pani wyjdzie z łoża Jowisza. Żaden człowiek, żaden bóg nie ośmieli się pani dotknąć.

ALKMENA

Niech pani mnie uratuje, Ledo. Niech pani się zemści na Jowiszu, który ośmielił się mieć panią w uścisku tylko jeden raz.

LEDA

Jakże można się zemścić na biednym białym łabędziu?

ALKMENA

Zdradzając go z czarnym łabędziem. Zaraz pani wyjaśnię. Proszę mnie zastąpić...

LEDA

Zastąpić panią?

ALKMENA

Te drzwi prowadzą do ciemnej alkowy, gdzie wszystko przygotowane jest do spoczynku. Niech pani weźmie moją zasłonę, użyje moich perfum. Jowisz się nie spostrzeże i tylko zyska na tej zamianie. Czy przyjaciółki nie oddają sobie takich przysług?

LEDA

Owszem, często, nie mówiąc ani słówka! Pani jest doprawdy urocza!

ALKMENA

Czemu się pani uśmiecha?

LEDA

Po tym wszystkim, Alkmeno, zaczynam się zastanawiać, czy istotnie nie powinnam się zgodzić. Im dłużej pani słucham, im dłużej na panią patrzę, tym bardziej dochodzę do przekonania, że dla tego czysto ludzkiego wdzięku, jaki pani posiada, wizyta losu mogłaby być fatalna; coraz więcej mam również skrupułów przed wciąganiem pani przemocą w te zebrania, które skupiają podczas świąt przypadających na lata słoneczne, tam wysoko, na cyplu świata, wszystkie kobiety kochane przez Jowisza.

ALKMENA

To te osławione zebrania, na których się odbywają orgie z bogami?

LEDA

Orgie z bogami? Ależ to kalumnia. Co najwyżej, moja kochana, orgie rozmów zasadniczych. Jesteśmy tam tylko same.

ALKMENA

Wobec tego, cóż wy tam robicie? Czy to wielka tajemnica?

LEDA

Może zrozumie mnie pani lepiej, gdy pani opowiem, jak to rozciągnięte na skale, albo na chudej trawce usianej narcyzami, oświetlone snopem pojęć zasadniczych, tworzymy przez cały dzień rodzaj boskiej wystawy piękności; zamiast dawać tym razem początek nowym istotom dajemy kosmosowi podnietę do czerpania z nas wzorów a możliwościom świata bodziec do decyzji i spełnień. Czy zdołała pani coś z tego zrozumieć?

ALKMENA

Zdołałam tyle zrozumieć, że są to zebrania wyjątkowo poważne.

LEDA

W każdym bądź razie posiadają charakter bardzo specjalny. Otóż tam, Alkmeno, przynajmniej połowa pani powabów poszłaby na marne. Sądzę więc, że pani tak żywa, tak wesoła, tak z dobrej woli nietrwała, ma pod tym względem zupełną słuszność. Pani powołaniem jest być nie jedną z idei-matek istniejących od początków wieczności, ale jedną z najbardziej powabnych idei-córek, jakie wydała ludzkość.

ALKMENA

Dziękuję pani, Ledo. Pani mnie ocali. Ludzie bardzo lubią ocalać rzeczy nietrwałe.

LEDA

Bardzo pragnę panią ocalić, droga Alkmeno. Zgoda. Chciałabym tylko jeszcze wiedzieć za jaką cenę!

ALKMENA

Za jaką cenę?

LEDA

W jakiej postaci zjawi się Jowisz? Muszę przynajmniej stawiać warunek, żeby miał wygląd czegoś, co lubię.

ALKMENA

Ach, tego zupełnie nie mogę przewidzieć.

LEDA

Owszem, może pani przewidzieć. Przybierze formę tego, co panią nawiedza w marzeniach i snach.

ALKMENA

Nic mnie nie nawiedza.

LEDA

Mam nadzieję, że pani nie odczuwa słabości do węży. We mnie budzą odrazę. Więc gdyby to miał być jakiś piękny wąż, pokryty pierścieniami...

ALKMENA

Nie pociąga mnie żadne zwierzę ani roślina...

LEDA

Odrzucam również minerały. Ostatecznie Alkmeno, musi pani mieć przecież jakąś słabość?

ALKMENA

Nie mam żadnych słabości. Kocham męża.

LEDA

Ależ to właśnie jest pani słabością. Nie ma co wątpić. Ona sprowadzi na panią klęskę. Czy zawsze kochała pani tylko męża?

ALKMENA

I on tylko mnie nawzajem.

LEDA

Dlaczego nie wpadłyśmy na to wcześniej. Podstęp Jowisza będzie najprostszy w świecie. Od czasu kiedy panią poznałam, wiem już co kocha w pani — właśnie pani człowieczeństwo; pani budzi przede wszystkim chęć poznania jej jako zwykłego człowieka, wśród drobnych przyzwyczajeń i codziennych radości. Otóż można to osiągnąć tylko przez jeden fortel: przybierając postać pani męża. Nie ma wątpliwości — pani łabędź będzie Amfitrionem. Jowisz wyzyska

pierwszą nieobecność pani męża, aby wkraść się do waszego domu i dopuścić się zdrady.

ALKMENA

Pani mnie przeraża. Amfitrion wyjechał.

LEDA

Wyjechał z Teb?

ALKMENA

Wczoraj wieczorem wyruszył na wojnę.

LEDA

Kiedy powróci? Przyzwoite załatwienie wojny nawet najlepszej armii w świecie nie może zająć mniej, niż dwa dni.

ALKMENA

Obawiam się, że nie.

LEDA

Jeszcze tego wieczora, Alkmeno, Jowisz przybrawszy wygląd pani męża, wedrze się do tego pokoju i pani odda mu się z całą ufnością.

ALKMENA

Poznam go.

LEDA

Tym razem człowiek będzie naprawdę dziełem boga. Omyli się pani.

ALKMENA

Właśnie dlatego nie omylę się. Będzie Amfitrionem doskonalszym, rozumniejszym, szlachetniejszym. Znienawidzę go od pierwszego wejrzenia.

LEDA

Był łabędziem olbrzymim, a ja go nie odróżniłam od malutkiego łabędzia z mojego stawu...

(Wchodzi Eklissa)

EKLISSA

Nowina proszę pani, niespodziewana nowina.

LEDA

Amfitrion przybył?

EKLISSA

Skąd pani wie? Tak, książę lada chwila będzie w pałacu. Widziałam z wałów, jak w pełnym galopie przesadził fosę.

ALKMENA

Nigdy dotąd żaden jeździec nie przeskoczył tej fosy.

EKLISSA

Był to skok niezwykły.

LEDA

Jest sam?

EKLISSA

Sam, ale wydaje się, jakby był wśród niewidzialnego szwadronu. Blask od niego bije. Nie widać po nim tego zmęczenia, które okazywał zazwyczaj, wracając z wojny. Słońce przy nim gaśnie. Co my poczniemy, proszę pani, Jowisz jest tu gdzieś w pobliżu i pan naraża się na gniew bogów?

ALKMENA

Idź sobie, Eklisso.

(Eklissa wychodzi)

LEDA

Czy teraz jest już pani przekonana? Oto Jowisz! Oto fałszywy Amfitrion!

ALKMENA

Doskonale, znajdzie więc tutaj fałszywą Alkmenę. Z całej tej przyszłej tragedii bogów zrobimy sobie, droga Ledo, dzięki pani, bo błagam o to, niewinny żarcik kobiet. Zemścimy się!

LEDA

Jak wygląda mąż pani? Czy ma pani jego portret?

ALKMENA

Bardzo proszę.

LEDA

Bardzo przystojny... Ma te piękne oczy, które tak lubię, gdzie źrenice są ledwo zaznaczone, jak u posągów. Uwielbiałam posągi, gdyby umiały mówić i kochać. Jest brunetem? Mam nadzieję, że nie ma kręconych włosów?

ALKMENA

Włosy ma bez połysku, Ledo, jak krucze skrzydła.

LEDA

Postawa żołnierza? Skóra szorstka?

ALKMENA

Skądże! Sporo mięśni, ale bardzo smukły.

LEDA

Nie ma pani do mnie żalu, że zabieram jej obraz mężczyzny, którego pani kocha?

ALKMENA

Przysięgam pani, że nie.

LEDA

I nie ma pani do mnie żalu, że zabieram jej boga, którego pani nie kocha.

ALKMENA

Nadchodzi. Niech mnie pani ratuje!

LEDA

Tam jest ten pokój?

ALKMENA

Tam.

LEDA

Nie trzeba przypadkiem schodzić po kilku schodkach w tych ciemnościach? Nie cierpię fałszywych kroków.

ALKMENA

Równa i gładka podłoga.

LEDA

Mur przy sofie nie jest wykładany marmurem?

ALKMENA

Kobierzec z najlepszej wełny. Pani nie cofnie się w ostatniej chwili?

LEDA

Przecież przyrzekłam. Jestem bardzo uczciwa w przyjaźni. Otóż jest. Proszę się z nim trochę podroczyć, zanim go pani do mnie przyśle. Niech pani odpłaci fałszywemu Amfitrionowi wszystkie zmartwienia, jakie jej kiedyś sprawi Amfitrion prawdziwy...

SCENA 7.

ALKMENA, AMFITRION.

GŁOS NIEWOLNIKA

Co, panie, mam zrobić z końmi? Walą się z nóg.

AMFITRION

Do diabła z końmi! Odjeżdżam za chwilę.

ALKMENA

Do diabła z końmi? To nie Amfitrion.

(Amfitrion zbliża się do niej.)

AMFITRION

To ja!

ALKMENA

A nie ktoś inny, jak można by przypuszczać.

AMFITRION

Nie pocałujesz mnie, najdroższa?

ALKMENA

Za chwilkę. Tu jest tak widno. Wkrótce, w tym pokoju.

AMFITRION

Zaraz! Myśl o tym uścisku wyrzuciła mnie ku tobie, jak strzałę.

ALKMENA

I kazała ci przeskakiwać skały, przesadzać rzeki, jednym skokiem brać niebo! Nie, nie, raczej daj susa w słońce! Czy nie lękasz się pokazać żonie tej twarzy? Wiesz przecież, że znam w niej każdą piękność i każdą skazę.

AMFITRION

Przypatrz się jej z bliska, kochanie, podrobiona jest znakomicie.

ALKMENA

Istotnie, podrobiona jest wspaniale. Zwykła kobieta mogłaby się omylić. Jest w niej wszystko. I te dwie smutne zmarszczki, które powstały z uśmiechu, i ten zabawny żłobek, którym ciekną łzy, i dla oznaczenia wieku te bruzdy na skroniach, które wygrzebał jakiś ptak, zapewne orzeł Jowisza...

AMFITRION

Kura, Alkmeno, to moje kurze łapki. Zwykle je całujesz.

ALKMENA

Wszystko to jest naprawdę moim mężem. Brak tylko zadraśnięcia brzytwą, które miał wczoraj. Dziwny to mąż, który wracając z wojny, przynosi o jedną bliznę mniej.

AMFITRION

Powietrze cudownie leczy wszystkie rany.

ALKMENA

Powietrze wojny, tak, to rzecz bardzo znana. Przypatrzmy się oczom! Och, drogi Amfitrionie, kiedyś wyjeżdżał, miałeś dwoje pięknych oczu wesołych i prawych. Skąd się wzięła ta powaga w prawym oku, a ten błysk obłudy w lewym?

AMFITRION

Małżonkowie nie powinni zbyt blisko zaglądać sobie w twarze, jeśli chcą uniknąć niespodziewanych odkryć... Chodź...

ALKMENA

Jeszcze chwilę... Masz w sobie coś dziwnego, mój drogi, dzisiaj wieczorem, bo gdy na ciebie patrzę, doznaję zawrotu głowy... Otwierają mi się jakieś nieznane światy, tajemne wiedze...

AMFITRION

Tak bywa zawsze przed miłością, najdroższa. Odczuwam to samo, ale to minie.

ALKMENA

Jakie myśli ukrywa to wypukłe czoło, bardziej dziś wypukłe, niż zwykle?

AMFITRION

Myśli o Alkmenie, która się nie zmienia.

ALKMENA

Czego chce ta twarz, która rośnie mi w oczach?

AMFITRION

Chce pocałować cię w usta.

ALKMENA

Dlaczego mówisz usta? Nigdy dotąd nie mówiłeś o moich ustach.

AMFITRION

Chcę ugryźć cię w kark.

ALKMENA

Oszalałeś? Jeszcze nigdy nie ośmieliłeś się nazwać nawet rysu mojej twarzy!

AMFITRION

Wyrzucałem to sobie dzisiejszej nocy i postanowiłem ponazywać wszystko. Pomysł ten przyszedł mi do głowy nagle podczas apelu, więc wszystko będzie musiało odpowiedzieć, gdy wywołam: powieki, piersi, i kark, i zęby. Najprzód usta.

ALKMENA

Tymczasem może zadowolisz się ręką.

AMFITRION

Co ci się stało? Obraziłaś się? Zrobiłem ci przykrość?

ALKMENA

Gdzieś spał tej nocy?

AMFITRION

Wśród cierni, z wiązką chrustów pod głową. Spaliłem je po przebudzeniu. Za godzinę muszę wyjechać, moja miła, bo jutro skoro świt rozpoczynamy bitwę... Chodź! Co robisz?

ALKMENA

Mam chyba prawo głaskać cię po włosach. Nigdy jeszcze nie były takie lśniące i suche.

AMFITRION

Pewno to wiatr!

ALKMENA

Twój niewolnik wiatr! Jaką ty masz wielką głowę. Dotąd nie spostrzegłam, że jest tak wielka...

AMFITRION

Mądrość, Alkmeno...

ALKMENA

Twoja córka, mądrość!

AMFITRION

A to są moje brwi, jeśli ci zależy na tej wiadomości, a to znowu potylica, a to arteria na szyi... Miła Alkmeno, czemu drżysz, gdy mnie dotykasz? Zachowujesz się tak, jakbyś była narzeczoną, a nie żoną. Któż to sprawił, że zbliżasz się do męża, jak do kogoś obcego. W ten sposób i ty również stajesz się dla mnie prawie nieznajoma. Wszystko więc, co za chwilę odnajdę w tobie, będzie dla mnie czymś nowym...

ALKMENA

Tego jestem zupełnie pewna...

AMFITRION

Czy nie chciałabyś dostać jakiegoś upominku, złożyć jakichś ślubów?

ALKMENA

Chciałabym, żebyś dotknął ustami moich włosów przed wejściem do tego pokoju.

AMFITRION (chwyta ją w ramiona i całuje w szyję)

Już!

ALKMENA

Co ty robisz? Pocałuj mnie z daleka, w głowę, tak jak mówiłam.

AMFITRION (całuje ją w policzek)

Już!

ALKMENA

Nie dotrzymujesz słowa, czy nie lubisz moich włosów?

AMFITRION (całuje ją w usta)

Już... A teraz cię porywam...

ALKMENA

Za chwilę! Przyjdź do mnie za chwilę! Kiedy cię zawołam, mój kochanku.

(Wchodzi do alkowy, Amfitrion zostaje sam.)

AMFITRION

Ileż uroku ma taka żona! Ileż słodyczy ma życie, które się tak toczy bez zazdrości i bez ryzyka. Ileż ponęt ma to mieszczańskie szczęście, do którego nie ma dostępu ani intryga ani swawola. Czy wrócę do domu o świcie czy o zmroku, zawsze odnajdę w nim tylko to, co sam schowa-

łem i na gorącym uczynku przyłapię tylko spokój... Czy już mogę wejść, Alkmeno?... Nie odpowiada. To dowód, że na mnie czeka... Co za delikatność! Daje mi znak milczeniem, i to jakim milczeniem! Jak to ono dźwięczy! Jak to ona mnie woła! Tak, tak, już jestem, najdroższa...

(Zaraz po jego wejściu do alkowy Alkmena wraca ukradkiem, przesyła mu uśmiech, rozchyla kotarę i przybiega na środek sceny.)

ALKMENA

Tak więc potrzask się zamknął! Jest już w jej ramionach. Proszę mi więcej nie mówić o podłości świata. Obezwładnia ją byle żarcik małej dziewczynki. Proszę mi więcej nie mówić o fatalizmie. Istnieje tylko wskutek niedołęstwa ludzi. Podstępy mężczyzn, żądze bogów są zupełnie bezsilne wobec woli i miłości wiernej żony... Czy nie sądzisz tak samo moje echo, które mi zawsze udzielasz najlepszych rad? Czyż mam się czego lękać ze strony bogów i ludzi, ja, taka lojalna i wierna? Niczego! Prawda, że niczego, niczego?

ECHO

Wszystkiego! Wszystkiego!

ALKMENA

Co mówisz?

ECHO

Niczego! Niczego!

ZASŁONA.

TŁUM. Z FRANCUSKIEGO BOHDAN KORZENIEWSKI

ZOFIA GOSTOMSKA-ZARZYCKA

„DOMINUS JOHANNES"

Z GÓR ŚLĄSKO-CZESKIEGO POGRANICZA (RÜBEZAHL)

Im bardziej wnikamy w dziedzinę niemieckiej nauki o Śląsku, zapoznając się z bogatą literaturą z różnych odcinków wiedzy, tym wyraziściej zarysowują się przed nami jej dwie charakterystyczne cechy: pierwsza, to niezwalczona, nie dająca się zatrzeć ani ominąć polskość, ciągle i wszędzie występująca u podstaw kultury Śląska, druga, to usiłowanie unicestwienia lub obejścia tej niewygodnej prawdy historycznej przez niemieckich autorów w sposób często niezmiernie zawiły, sztuczny lub wręcz niekonsekwentny.

Tematem niniejszym jest szczegół — drobny, ciekawy — z zakresu folklorystyki dolnośląskiej. Chodzi o postać z wierzeń ludowych, górskiego ducha, diabła, bożka, karła czy olbrzyma zwanego przez Niemców „Rübezahlem" — o wyświetlenie w granicach możliwości jego pochodzenia i charakteru, jego „narodowości".

Na podbudowanie tezy „narodowościowej" śląsko-czeskiej tego zagadkowego mieszkańca Gór Olbrzymich najlepiej użyć materiału nagromadzonego przez Niemców przeważnie celem udowodnienia, że t. zw. Rübezahl jest germańskim tworem ludowym i przybył w góry śląskie z niemieckimi kolonistami w wieku XII lub XIII.

Przypatrzmy się przede wszystkim odbitce najstarszej mapy śląskiej Martina Helwiga z r. 1561. Są tu wyobrażone Góry Olbrzymie w kształcie jakgdyby kretowiska, których środkiem wędruje w kierunku zachodnim mała, dziwna figurka. Posiada ona głowę orła z wystającym językiem i jelenimi rogami, korpus lwa w postawie wspiętej

z dwoma ogonami, z których jeden jest rozwichrzony, i nogi kozła; w wyciągniętych lwich łapach trzyma prosto przed sobą kij górskiego wędrowca. Pod nią napis: Rubenczal.

Na pierwszy rzut oka uderza nas zestawienie tych części godeł państwowych Śląska i Czech, jak głowy orła z wspiętym korpusem lwa o podwójnym ogonie. Znamiona te mówią wyraźnie o przynależności fantastycznej istoty do tego właśnie granicznego pasa. Rogi zaś, w tym wypadku jelenie, z racji górskiego charakteru okolicy obfitującej w tę zwierzynę, nogi i kopytka koźle wskazują na możliwość reinkarnacji w wierzeniach ludowych, po zaszczepieniu tu chrześcijaństwa, dawnego bóstwa słowiańskiego w postać diabła w rodzaju łęczyckiego Boruty czy wieluńskiego Rokity.

Wieki oczywiście złożyły się na takie przeobrażenie pogańskiego bożka, niegdyś może potężnego czy pośledniejszego. Mógł nim być sam Swantewit, jak przypuszczają niektórzy Niemcy, chociaż woleliby Wotana, lub inny bożyc słowiański, którego przepędzono kropidłem, a który żył odtąd w fantazji ludowej pod różnymi postaciami, zanim pojawił się na owej karcie geograficznej, niby symbol dwu sąsiadujących dziedzin: śląskiego orła i czeskiego lwa, lecz już z niemieckim podpisem: Rubenczal.

Odtąd jawią się o nim w śląskiej literaturze niemieckiej XVI i XVII wieku nieskąpe wzmianki i opisy, przy czym brzmienie nazwy ulega ciągłym zmianom. Ostatecznie sławnym stał się pod nazwą „Rübezahl" w całych Niemczech i w Europie za pośrednictwem pewnego sprytnego pisarza, magistra z Lipska nazwiskiem Schultze, który utrzymując stosunki ze śląskimi handlarzami ziół i olejków, innymi słowy szalbierzami i szarlatanami, dowiedział się od nich o istnieniu baśni, której nie omieszkał znakomicie wykorzystać. Wizerunek naszego górala w dowolnych już kreacjach, umieszczany jako etykieta na wątpliwej wartości medykamentach, tą drogą przedostał się do środkowych Niemiec, a magister Hans Schultze, inaczej Jan Paweł Praetorius, pozostający w ustawicznych opałach pieniężnych, zręcznie podchwycił temat i uczynił zeń sobie niezgorsze źródło dochodów. Poza relacjami znajomych Ślązaków, przede wszystkim zaś jeleniogórskiego aptekarza Hieronima Sarto-

riusa — który znał dobrze Góry Olbrzymie i często bywał na jarmarkach lipskich — pozbierał więc materiał z dzieł śląskiego lekarza i przyrodnika Kaspra Schwenckfelda, dalej z zapisków włoskich poszukiwaczy skarbów kopalnianych w Górach Olbrzymich dodał szereg innych podań i historii diabelskich oraz sporo własnych i wydał w latach 1662—1665 trzy tomy opowieści p. t. „Daemonologia Rubinzalii Silesii". Ponieważ zaś w tych czasach cudowne i fantastyczne opowiadania miały ogromny popyt, książki te cieszyły się powodzeniem, czym zachęcony Praetorius wydał w r. 1672 nowy tom p. t. ;„Satyrus Etymologicus", a później jeszcze jeden „Wünschel-Ruthen". Na tym jednak temat został wyczerpany, napisał bowiem wszystko, co o tajemniczym duchu było ludziom wiadome i jeszcze o wiele więcej, nie wahając się wprowadzać nawet szczegółów z opowieści o doktorze Fauście i szczurołapie.

Na tej kanwie snują dalej pisarze i artyści niemieccy i zagraniczni niestworzone historie, może i piękne, jak ilustrowane przez Maxa Slevogta legendy weimarskiego profesora Müseusa (1782), który swego Rübezahla nawet w jakieś przygody z kobietami uwikłał, czy obraz Maurycego Schwinda przedstawiający na tle puszczy samotnego wędrowca w kapturze, ale — nie mające już nic wspólnego ze śląską wersją ludową. W rozlicznych opowiadaniach występuje teraz bajeczny mieszkaniec Gór Olbrzymich — raz jako karzeł złośliwy i psotny, gnom demoniczny albo węglarz, parobek, mnich, czeladnik rzemieślniczy, to znowu olbrzym dobrotliwy i hojny. Trzymanym w garści pniem drzewa wygraża zgoła niewinnym ludziom i prowadzi ich na błędne drogi. Jego urągliwy chichot rozlega się z wierzchołków drzew. Jak Proteusz zmienia swoją postać, stając się wedle fantazji autora dobrym, szlachetnym i wspaniałomyślnym albo złym i szkodliwym stworem.

Jakkolwiek w ten sposób została postać ta wprowadzona do literatury nowoczesnej, licząc już w r. 1897 ponad 200 pozycji bibliograficznych, to jednak w pierwotnej swojej formie skażona i skarykaturowana nie reprezentuje oczywiście już żadnych wartości oryginalnych, jako płód wyobraźni ludowej. Stanowi tylko chwast literacki wyrosły na odłogu mitologii słowiańskiej czy pierwotnej twór-

cząści ludowej, a który, co gorsza, zaczyna wciskać się już i do naszej literatury popularnej.

Kiedy w r. 1882 austriacki „Riesengebirgsverein" rozpisał konkurs na najlepszą pracę o Rübezahlu, posypały się rozprawy, które znalazły silny oddźwięk w nauce i wywołały w Niemczech żywą dyskusję. Najgorliwiej interesował się tematem Paweł Regell, profesor gimnazjalny z Jeleniej Góry, który wielokrotnie zabierał głos w tej sprawie na łamach pism dowodząc, że: 1. baśń o Rübezahlu była przywiązana wyłącznie do terenów górskich, 2. że od górników przyjęli ją później „korzennicy" (Würzelmänner) przekształcając na swoją modłę charakter tej postaci, 3. że baśń nie wykroczyła poza krąg ludzi zatrudnionych w górach jak kopacze, drwale, a później zielarze i „laboranci", tj. fabrykanci medykamentów, zaś w wierzeniach ludowych za czasów Schwenckfeldta (1600), Praetoriusa (1700), czy Müseusa (1800) była już słabo zakorzeniona, 4. że wreszcie gdy ustały prace górników, baśń poczęła wygasać i gdyby nie handlarze, którzy ją sztucznie podtrzymali jako dobry środek reklamy, byłaby zupełnie zanikła.

Tezy te nie mają dla nas właściwie zasadniczego znaczenia, dotyczą bowiem postaci już przerobionej i zniekształconej przez obcych przybyszów, włoskich górników (Walen), tyrolskich drwali (Schwazer) i niemieckich „laborantów". W kwestii zaś jej pochodzenia i nazwy „Rübezahl", wywody Regella łącznie z wynikami badań szeregu uczonych niemieckich jak A. Linckego, wrocławskiego profesora Konrada Zachera, Karola de Wyl, Ryszarda Loevego, Adolfa Moepperta, Gustawa Jungbauera i innych, stanowią splot sprzeczności, z których wybrnąć ostatecznie nie potrafiono. Tak więc gdy jedni jak Regell i prof. Zacher, opierając się na kronikarskiej wskazówce Tyrolczyka Burgklechnera (1619), próbują wyprowadzić Rübezahla z Harcu, przeciwstawiają się temu poglądowi zdecydowanie de Wyl i Jungbauer. Przedtem Lincke w rojącej się od przytoczonych mitów i porównań pracy „Die neuesten Rübezahlforschungen" widzi w Rübezahlu lokalne wyobrażenie Wotana. Gdy Regell ostro atakuje zbiór opowieści Loevego, którego broni Moeppert, de Wyl sprze-

cza się bez powodzenia ze swoim profesorem Siebsem o wiarogodności świadectw Praetoriusa itd.

Jakub Grimm natomiast, a po nim Veckenstedt uważają, że nawet nazwa „Rübezahl“ jest słowiańskiego pochodzenia. Mianowicie Veckenstedt wywodzi ją od wyrazów ryba i czar (car) czyli „rybi król“ (cesarz), opierając się na Praetoriusowej bajeczce „Rübezahl spielt einen Fischtanz“, w której duch Gór Olbrzymich występuje pod postacią szczupaka.

Tłumaczenie to jest oczywiście dosyć naciągnięte, zresztą nie zamierzamy zgłaszać do tej nazwy żadnych pretensji. Powtarzając się bowiem w różnych stronach Niemiec, jako nazwisko osobowe, jest ono też najprawdopodobniej czysto niemieckie. Ciekawszym jest co o tym myśli Grohman, a dalej pisze H. Tr. Donath w czasopiśmie „Wanderer im Riesengebirge“: „Unser Berggeist ist ursprünglich ein slavischer, durch das in Schlesien eingedrungene christliche Germanentum erniedrigter Gott, wahrscheinlich der „Swantewit“ und „Rübezahl“ ist ein diesem von den christlichen Deutschen beigefügtes Schimpfwort und hat von Anfang an keine andere Bedeutung gehabt als „Rübenschwanz“.

Lincke zaś mówi, że wyraz „Zagel, Zahl“ używany był niegdyś w znaczeniu „Schwanz“, na dowód czego przytacza stary dwuwiersz:

„Wen seine Kuh heisst Fahle,
Der zieht sie bei dem Zahle,“

to znaczy: kto posiada krowę, ciągnie ją za ogon.

Charakterystycznym momentem powtarzającym się w szeregu starych opowieści o duchu górskim jest mianowicie, że nie znosił on swego niemieckiego przezwiska i zsyłał burze i gromy na tych, którzy ośmielili się wzywać go tym mianem. Świadczyło by to więc o niepochlebności i niewłaściwości nazwania. Żądał natomiast, aby nazywano go „panem Janem“, z łacińska „Dominus Johannes“. Zacher uważa, iż rys ten jest „może“ słowiańskiego pochodzenia i łączy się z wierzeniem o kwiecie paproci w noc Świętojańską. „Pan Jan“ bowiem był strażnikiem skarbów ukrytych, a w jego królestwie rosły cudowne rośliny.

Po stronie czeskiej ludność nazywa zagadkowego ducha „Janem Karkonoszem", a szereg nazw strumieni, gór, miejscowości na pograniczu śląsko-czeskim wywodzi się z tego imienia, także ze starodawnej formy Jeszko lub Jaszko (Jeschkenberg, Jaschkowitz).

Powiada Długosz, że u Polaków bóstwo, które odbierało cześć najwyższą zwało się: Jesse. Morawianie natomiast czcili „Jasonia", gdy Czesi pod tą nazwą ubóstwiali słońce. Miano pochodzące najwidoczniej od wyrazu „jasny" oznaczało boga światłości i dobra, charakterem odpowiadającego zatem czczonemu powszechnie w Słowiańszczyźnie Swantewitowi.

Możliwe, że ów Jesse czy Jasoń został z czasem przez ludność słowiańską ochrzczony Janem, chociaż piękne to imię nie należało się diabłu, za jakiego kościół uważać kazał zapewne pogańskiego bożka. Stąd zmieszanie się pojęć zarówno dobra jak i zła w postaci, która niegdyś była tylko uosobieniem dobroczynnego władztwa, bogiem pomyślności i urodzajów. Stąd atrybuty czarcie, jak rogi i nogi kozła, a rozwichrzony ogon, wywołując szyderstwa Niemców dał prawdopodobnie początek śmiesznej nazwie „Rübezahl".

Toteż co najmniej niepożądane jest w naszym piśmiennictwie popularnym wprowadzanie takich spolszczeń jak „Rzepiór" lub ostatnio „Liczyrzepa" wraz z wszelkimi dookoła tego „ducha" wymyślonymi bredniami niemieckich literatów. Zacierają one bowiem nieoględnie szczątki jakiegoś może starodawnego mitu czy kultu naszych ojców. Należało by raczej szukać materiału do pięknych opracowań w pismach z XVII wieku, w których postać ta jeszcze bodaj cokolwiek zbliżona jest do pierwowzoru.

Jan Karkonosz posiada w tych opisach wiele cech wspólnych z łęczyckim diabłem Borutą. Jak i tamten pilnuje skarbów zaklętych i zmienia dowolnie swoją postać, lubiąc płatać ludziom różne złośliwe figle. Przypomina także rosyjskiego dziada leśnego zwanego „Leszy", który wyrasta niekiedy do wysokości ogromnego dębu lub sosny, ale może się zmienić w malutkiego jak trawa. Leszy w ludzkiej postaci przedstawiany jest z rogami i nogami kozła. Wicher i burza są jego żywiołem. Wołaniem wabi

wędrowca w dziką knieję, sprowadza na grzęzawiska, lub sypie piaskiem w oczy i ściąga nakrycie z głowy. Leszy kołysze się na wierzchołkach drzew, gwiżdże, klaszcze w dłonie, rży jak koń, ryczy jak krowa.

Wiadomo, że młodzieńcza wyobraźnia Słowian gęsto zaludniła duchami swoje dziedziny. Uosabiały one niezbadane, tajemnicze siły przyrody w górach, lasach i dolinach. Jedną z takich istot, potężniejszą może nad inne, był nasz „Dominus Johannes", odwieczny mieszkaniec Karkonoszy.

NINA NIKLIBORCOWA

ZE WSPOMNIEŃ O EDWARDZIE PORĘBOWICZU

W DZIESIĘCIOLECIE ŚMIERCI

Dwadzieścia pięć lat temu. Codziennie przed trzecią Profesor idzie na stary uniwersytet. Pod kasztanami botanicznego ogrodu widać drobną szarą sylwetkę z parasolem czarnym lub popielatym, zależnie od pogody. Mijam szybko Profesora, aby przebiec przed nim wydeptane schody starego gmachu. Sala druga — codziennie od trzeciej zajmuje ją profesor Porębowicz: wykłady i ćwiczenia skupiają tam w szczupłym gronie lwowskich romanistów, starszych studentów z asystentem na czele i młody narybek świeżo upieczonych maturzystów. Maturzyści, do których i ja się liczę, zbożnie patrzą na profesora-poetę. Rok dantejski 1921 wszczepił w młode głowy kult dla wielkiego Włocha i dla jego polskiego tłumacza i komentatora. W r. 1922 nie było jednak miejsca na Dantego w spisie wykładów lwowskiego uniwersytetu. Poświęcony mu był cały rok ubiegły. My trafiliśmy na klasycyzm francuski, lekturę staroprowanckich tekstów i historię francuskiego języka.

Wykłady profesora Porębowicza... widzę go tak samo, jak go zapamiętał Wacław Borowy. Schylona szara postać za wysoką katedrą wertuje kartki rękopisu. Profesor opowiada o pisarzach wybranej epoki, tak jakby znał ich osobiście i to najbardziej na początku w jego wykładach mnie uderzyło. Gdy podczas lektury starych prowanckich tekstów Profesor schodził z katedry i siadał z wielkim szkłem powiększającym w ręku przed ławkami, ta maniera bycia z przeszłością przerażała nas po prostu. Za pan brat z Pro-

wansalami, potrafił Profesor zapytać oszołomioną studentkę:

— Jakże to było proszę Pani z tą hrabiną Matyldą i Pietrkiem Widalem?

I patrzył zza okrągłych wielkich okularów w równie okrągłe i osłupiałe oczka pierwszorocznej romanistki.

Prowansalszczyzna była wielką miłością Profesora, który dawno już temu wydał swą antologię przekładów tej przebogatej starej literatury i całe życie pracował nad niewydanymi niestety dotychczas monografiami trubadurów. Nie wiem, czy rękopis nie przepadł w czas wojny. Lektura tekstów prowanckich czarowała nas skocznym rytmem niezrozumiałych często strof, a nieskończone filologiczne dyskusje Profesora z wysokim i uczonym asystentem napawały szacunkiem i trwogą. Trwogą zwłaszcza przed starofrancuską gramatyką, którą Profesor wykładał dwa razy w tygodniu. Były to wykłady równie ciekawe jak historia literatury. Gramatykę okraszał Profesor szerokim rzutem oka na historyczno-obyczajowe tło epoki, w której łacina stawała się językiem narodowym Gallów czy Iberów. Dużo było przykładów, zestawień, cytatów jędrnych i żywych, które znakomicie ułatwiały nam zrozumienie językowego mechanizmu.

Gdy przyszedł czas wstępnego egzaminu do Seminarium filologii romańskiej, trzeba było przygotować interpretację wybranej części starofrancuskiego eposu pod tytułem ,,Podróż Karola Wielkiego do Jerozolimy". Tekst ten krył w sobie zdradziecko wszelkie tajniki starofrancuskiej fonetyki i morfologii. Kolokwium pytał Profesor w tak zwanym konklave — profesorskim pokoiku starego uniwersytetu. Swoista atmosfera wiekowych murów nie dodawała odwagi. Profesor onieśmielał wyszukanymi formami zachowania i ostrą pointą dowcipu, który przebijał często przez pancerz ojcowskiej wyrozumiałości, z jaką starał się nas traktować. Nieśmiały raczej wygląd drobnego staruszka, bo takim go już tylko pamiętam, krył więc w sobie groźne niebezpieczeństwo dla zuchwałych, a nieświadomych pensjonarek, gdy okazało się nagle, że nie nadrobisz dobrą chęcią tam, gdzie zawodzą inteligencja i wiadomości.

Bezlitosny bywał wtedy stary nasz Profesor. A równocześnie hojnie zasilał z własnej kieszeni fundusz nagród seminaryjnych, starannie zastrzegając sobie tajemnicę ofiarodawcy.

Wybrane rodzynki spośród pierwszorocznych dostawały się w grono członków Seminarium Romanskiego. Lokal seminaryjny, świeżo zainstalowany wtedy w gmachu nowego uniwersytetu (był to budynek dawnego galicyjskiego sejmu we Lwowie), mieścił się w dużych salach na parterze od podwórza. Nad nami była filozofia i filologia klasyczna. Zabawne były boje trzech szacownych profesorów z... kurami, nieznośnie gdaczącymi na podwórku. Kury hodowane przez zapobiegliwe woźne, czuły się w swoim prawie, niemal jak studentki, pracujące w seminaryjnych lokalach. Gdakanie ich przeszkadzało jednak bardzo w pracy. Perypetie wojny opisał Profesor w zabawnym wierszyku pod tytułem ,,Śmierć gdakulom'':

W dole zjawia się na murze
Straszne „memento" mazią nakreślone:
„W obrębie gmachu gdakanie wzbronione!"

Wierszyk ten wydrukowany obok szeregu innych satyr w zbiorku pod tytułem ,,Ucieszne rymy'' pod pseudonimem Dydyma Kosturka odsłania nieznane oblicze Profesora-poety, który lubił być czasem Tersytesem naszego uniwersytetu. Tomik został wydrukowany tuż przed śmiercią Profesora (1937), w stu egzemplarzach jako rękopis, poza handlem księgarskim. Zawiera obok zabawnych wierszyków na różne okoliczności życia uniwersyteckiego, poważne wiersze polskie, francuskie i hiszpańskie, między innymi: ,,Glosę do Genezis z ducha Juliusza Słowackiego'', ,,Bellona triumphans'', epizod wojenny poświęcony Stefanowi Żeromskiemu, przepiękne hiszpańskie ,,Sutilezas''.

Jednak w Seminarium ta nieoficjalna strona twórczości poetyckiej Profesora nie była na ogół znana. Znaliśmy tylko jego przekłady poetyckie, zresztą niewłączone nie wiem czemu do seminaryjnej biblioteki, którą asystent rzędem ustawiał na czarnych półkach pod bielonymi ścianami. Równie czarne stoły zsunięte na środku tworzyły duży kwadrat,

dokoła którego skupiało się grono seminarzystów z Profesorem i asystentem na czele co sobota po południu, na dwugodzinne seminaryjne posiedzenia. Uczony asystent toczył i tutaj swoje dyskusje z Profesorem (był w przededniu doktoratu), my zaś przygotowywaliśmy nasze skromne referaty i interpretacje wybranych romańskich tekstów. By dostać się do seminarium wystarczyło wprawdzie zdać sakramentalnego Voretscha (Wstęp do studium starofrancuskiej gramatyki), ale potem nic romańskiego nie śmiało ci być obce. Profesor potrafił przy omawianiu nowych pozycji seminaryjnego inwentarza dać drugorocznemu romaniście np. recenzję z hiszpańskiej rozprawy o odrębnościach języka baskijskiego, i trzeba było referować bez mrugnięcia okiem. Pierwsza godzina posiedzenia poświęcona bowiem była czytaniu i krytyce mniej lub więcej oryginalnych recenzji referatów i prac seminaryjnych. Była to, dla początkujących zwłaszcza, ciężka próba. Profesor słuchał i kiwał głową. Student, który po zdaniu wstępnego egzaminu odetchnął, sądząc, że przeszedł to najgorsze — drętwiał orientując się, że najgorsze leżało przed nim. Krytyka pierwszych prac była bowiem ostra i bezwzględna. Przebycie oślego mostu stawało się dla bardziej nerwowego delikwenta istną męczarnią. „Że referat dobry do gazety, do radia, ale nie na poważne seminarium. Że przede wszystkim styl bardzo, bardzo lichy; o układzie trudno nawet coś powiedzieć. Że zresztą nic dziwnego itd. itd.". Wychodziło się o piątej jak zmytym. Ale po paru posiedzeniach ofiara spostrzegała, że nie jej jednej się dostało i że w końcu Profesor jest od tego aby wymagał, a student by pracował. Byli tacy, co się załamywali i odchodzili. I tacy, co zrażeni opowiadaniem, nie chcieli w ogóle próbować. Ale kto został i zdołał nawiązać z Profesorem ściślejszy kontakt, mógł wiele skorzystać i szerokie otwierały mu się horyzonty.

Nie był Profesor Porębowicz z rzędu tych pedagogów wychowawców, którzy cierpliwie prowadząc za rękę niemal studenta, kształcą liczne rzesze i tworzą tak zwane szkoły. Jednak promieniowała od niego taka kultura i taki ogrom wiedzy, nie mówiąc już o tym poetyckim na świat spojrzeniu, że kto zaznał jego wpływu, całe życie go pamiętać będzie.

Druga godzina seminarium poświęcona bywała z reguły interpretacji starych tekstów romańskich. Czytywało się, rzecz jasna, Dantego, ale najbardziej lubił Profesor starych włoskich poetów od Ciulla D'Alcamo z przedziwnym jego „Kontrastem“ do świętego Franciszka. Przy „Kwiatkach“ i „Słoneczenj Pieśni“ zawsze było miejsce na słowa uznania dla tłumacza ich, Leopolda Staffa. Profesor niezmiernie był dumny, że zaliczał go do swoich uczniów i chętnie wspominał jego pierwsze próby poetyckie. Przekład Staffa mieliśmy też pod ręką, komentując sonety Michelangela, przy czym znów była okazja wspomnieć legendarne już dla naszego pokolenia seminaria, prowadzone wspólnie z seniorem lwowskich historyków sztuki prof. Bołoz-Antoniewiczem. Poświęcone były te posiedzenia właśnie twórczości Michała Anioła. Bołoz omawiał rzeźby i freski, Porębowicz komentował sonety.

Z hiszpańszczyzny dużo się też czytało. Najchętniej grube „Romancero“, którego egzemplarz w ogóle nie wracał do biblioteki uniwersyteckiej mimo rozpaczliwych napomnień sumiennych urzędników wypożyczalni. Profesor lubił stare hiszpańskie romance i bardzo był dumny, że odkrył w Bibliotece Jagiellońskiej gdzieś w początkach swej naukowej kariery tak zwane „Pliegos sueltos“ — zbiór nieznanych ulotnych druków hiszpańskich. Zawierały one romance o królu Chico, ostatnim władcy Granady, który nie miał siły bronić miasta i płakał na jego gruzach. — Czytywaliśmy „Cyda“ Campeadora i Profesor z upodobaniem podkreślał, jak bardzo redakcja Kornelowa odbiega od autentycznej kroniki hiszpańskiej. Że według starych praw wizygockich Ximena żądała od króla, by kazał Rodrygowi ożenić się z nią, gdy zabijając ojca pozbawił ją opieki męskiego ramienia... Czytywaliśmy „Celestynę“ Rojasa graną bodajże teraz na jakiejś scenie polskiej. Czytywaliśmy „Don Juana“ oczywiście starego Tirsa De Molina i znów miał Profesor pretensję do późniejszych poetów, że kazali Inezie ratować kochanka w ostatnim akcie, gdy konsekwencja twórcza starego Tirsy pozostawiała go nieugiętym aż do bram piekła. Zawsze przy tej okazji dostawało się i Goethemu za Gretchen, ratującą Fausta.

W miarę jak katarakta i zanik ocznego nerwu uniemożliwiały pracę Profesorowi, malała garstka studentów. Zostałam wtedy asystentką i na mnie powoli spadał ciężar układania programu posiedzeń seminaryjnych. Profesor przychodził, słuchał, komentował nie widząc, ale taka praca zaczynała być ponad siły. Wybór tekstów do interpretacji nie zawsze bywał łatwy, bo wie — kto czytał stare romańskie teksty, że niewiele jest utworów, które nadają się dziś do głośnej wspólnej lektury. A Profesor lubił wtedy włoskich nowelistów. To też młoda wówczas asystentka, przygotowując program seminarium, uczyła się na Dekameronie ze słownikiem w ręku języka starowłoskiego i... życia.

W roku 1925 został Profesor rektorem lwowskiego uniwersytetu. Ciężkie było to rektorowanie, bo choroba oczu znaczne poczyniła już postępy. Rokiem tej nad siły niemal pracy zakończył Edward Porębowicz swą profesorską działalność.

Mówił sam o sobie w żartobliwej kronice lwowskiego uniwersytetu:

Porębowicz powiedział w swej rektorskiej mowie:
...żeś winien być wesół, choć już leżysz w rowie.
Dobrnął z trudnością do roku,
Bowiem miał wzniosłe cele i bielmo na oku.

Pracowało więc wspólnie z starszymi studentami seminarium bez Profesora. Jednak kontakt z nim zachowałam bodajże bliższy niż poprzednio. Bowiem mimo postępującej ślepoty Profesor chciał nadal pracować.

Dobrał sobie sekretarzy, wśród których i ja się znalazłam. Musiało nas być parę osób na zmianę, tak wiele czasu chciał Profesor poświęcić na uporządkowanie swych rękopisów. Były wśród sterty notatek dwie ukochane i najważniejsze całości: „Średniowieczna literatura łacińska w krajach romańskich" i „Monografie trubadurów prowanckich". Oba dzieła zamierzone na wiele arkuszy druku, niezziszczone niestety ostatnie marzenia Autora.

Chodziło się więc codzień do starej kamienicy przy ul. Długosza. Pachnące ogrody zdobiły tę uczoną ulicę, tradycyjną siedzibę lwowskich profesorów. Odwieczna Micha-

lina otwierała długo łańcuchy i zasuwki, Profesor czekał w ciasnym gabinecie. Dębowe biuro okryte spłowiałym kilimkiem, dębowe również półki pod sufit z kopalnią cudów dla młodego romanisty. Na ścianach Wyspiański, Ślewiński, czas Młodej Polski i młodości Porębowicza.

Profesor w długim szlafroku i France'owskiej czapeczce na głowie siedział zgarbiony w fotelu, słuchając szumu kipiącej wody w elektrycznym imbryku. Picie herbaty było powitalnym ceremoniałem. Potem zabieraliśmy się do roboty. Wtedy właśnie zwróciła się Warszawska Spółka Wydawnicza „Trzaska, Evert, Michalski" z realną propozycją. Zaczęła wychodzić encyklopedia literatury. Profesor zgodził się opracować do niej pewne działy. I tak wyszła w niemiłosiernym zresztą skrócie — literatura średniowieczna łacińska, literatura staroprowancka i francuska, wreszcie antologia przekładów z literatur romańskich. Niezależnie od tego wydał Profesor w tym czasie w Tyszkiewiczowskiej oficynie we Florencji wspaniałą bibliofilską edycję „Vita Nuova" w swym przekładzie, a w skromnej lwowskiej drukarence ostatnią pozycję za życia, wspomnianego już „Dydyma Kosturka". Ostateczne redakcje tych rzeczy musiały być robione cudzymi oczami i cudzymi rękami. Boleśnie wytężona twarz staruszka gubiła się za wielkimi okularami i sumiastym wąsem. Ślepe oczy na próżno starały się przebić ciemności. Nie widząc, nie dosłysząc, musiał Profesor dążyć za naszym fałszywym nieraz tropem, gdy szukaliśmy wątku w hieroglifach rozsypanych karteluszków. Wyrobiła się jednak w nas dziwna intuicja i zwykle udawało się trafić do właściwego stosu we właściwej szufladce. Wiodły nas niezawodna pamięć i instynkt naszego nauczyciela.

Na czym polegała robota? Gruby, roztrzęsiony rękopis leży na biurku. Część wybrać, część skreślić, ustalić kolejność przestawionych czasem kartek. Wybrane rozdziały starych notatek umiejętnie złożyć w nową logiczną całość. Trochę uzupełnień dyktował Profesor sam. Czasem chciał, abym ja parę zdań dopisała — i nauczyłam się pisać jakby pastichem, dopełniając z trwogą w sercu, gdzie było trzeba dopełnić ostatecznej redakcji. Profesor swoją manierą lubił tekst obficie ilustrować cytatami oryginalnych dzieł autorów. Lwią część wzięło się oczywiście z dawnych jego

przekładów. Z przerażeniem usłyszałam raz propozycję przetłumaczenia jakiegoś starofrancuskiego wiersza. Gdy, prozaiczna do głębi, na próżno szukałam odpowiedzi, czemu nie chcę spróbować, Profesor zaczął mi dobrotliwie tłumaczyć, że przecie łatwiej jest pisać wierszem niż prozą, czego dowodem najstarsze rymowane zabytki lat dawnych. I z miejsca przekład podyktował:

Nadobna Alicja wcześnie się zbudziła,
Pięknie się ubrała, piękniej przystroiła,
Zaczerpnęła wody w złocistą miednicę,
Obmyła usteczka i oczy i lice...

Pracowało się tak codzień. Raz lepiej, raz gorzej. Czasem zgubiony ślad psuł robotę na długie dni. Pamiętam, jak trapił się Profesor, że nie może znaleźć dosłownego tekstu „Pervigilium Veneris". I dziwnym trafem na oślep wiedziona wygrzebałam cytat w jakiejś polemicznej jego broszurce z młodych lat, umieszczony nawiasowo w odnośniku bez ścisłego związku z istotnym zagadnieniem. Bardzo był rad staruszek i robota od razu poszła raźniej.

Niektóre chwile bywały ciężkie jednak, gdy słabszy tego dnia i rozdrażniony nie godził się na żadną z proponowanych redakcji, które przyjął poprzednio bez zastrzeżeń. Czasem ja roztargniona i zmęczona psułam wszystko, bo nie potrafiłam w lot chwycić jego intencji. I też szło jak po grudzie. Wyrzucał mnie wtedy bez ceremonii, choć dobrotliwie do domu. Przeważnie jednak Profesor siedział cierpliwy i zrezygnowany, a my grzebaliśmy się zapamiętale w książkach i notatkach. I powoli składała się upragniona całość, według planu, który został wysnuty w najdrobniejszych szczegółach podczas nieskończonych godzin samotności. Umiałyśmy go wszystkie na pamięć. Wspominałam już zresztą, że przez długą współpracę z Profesorem wyrobiła się w nas wszystkich jakaś dziwna zdolność odgadywania jego myśli. Niemałe trudności sprawiało pismo: pośpieszne przed laty, rzucane na papier urywki przy bibliotecznych studiach, lub teraz drżącą ręką na oślep kreślone zygzaki. Szyfry, skróty iście paleograficzne. Co za szalona satysfakcja odgadnąć tę łamigłówkę! Profesor czekał cicho w fotelu, lecz po wbitych w poręcz palcach po-

znawałam jego opanowaną niecierpliwość. Ale wielką nagrodą było po godzinie zmagań usłyszeć: „Dobrze się nam pracowało, Panno Anno" — bo tak uroczyście zawsze do mnie przemawiał.

Często trzeba było brać pensum do domu, by rozpracować stronę zawiłych notatek, tworząc pierwszą redakcję do druku. Nie daj Boże, nie utrafić niezręcznym pastichem w gust Autora. Poprzez pobłażliwą wyrozumiałość Dziadzia, z którą się do nas zwykle odnosił, pryskała natychmiast iskra niemiłosiernego konceptu — echo dawnych lat. Bo na codzień stał się teraz Profesor, słynący ongiś z ostrego dowcipu, łagodnym, o wielkiej dobroci serca Dziadziem, jak go między sobą nazywaliśmy. Zadziwiała nas wszystkich cierpliwość, z jaką znosił swe ciężkie kalectwo. Z trudnym do opisania uczuciem słuchałam nieraz jego zwierzeń. Zgarbiony w swym dużym fotelu, z biednymi załzawionymi przez chorobę oczami, które mnie już widzieć nie mogły, snuł swą teorię sensu życia i sensu cierpienia. Były to pełne najczystszego chrystianizmu myśli o ofierze i poświęceniu, wynikłe chyba z długich studiów nad średniowieczną literaturą i filozofią. Żadne cierpienie nie idzie w życiu na marne, każdy ból ma swój sens i cel.

Owe rozmowy — jak żal dziś, że nie spisane na gorąco — przerywały monotonię codziennej, często żmudnej i męczącej roboty. Gdy przyszło do ostatecznej redakcji i korekty, Profesor zadziwiający wciąż pamięcią i bystrością orientacji, żarliwie bronił swego stylu przed szablonem naszej i zecerskiej poprawności. Nie cierpiał spójników, bo rozwijały myśl w niekończące się tasiemce. Energicznie bronił swych zdań przed zbytnimi przecinkami. Lubił zdania krótkie, zwarte, „tłukące stylem jak maczugą" (tak sam gdzieś pisał o ukochanym Orygenesie).

Wreszcie niedługo przed śmiercią wyszły zeszyty encyklopedii Trzaski. Był to wraz z „Nowym życiem" i „Dydymem" koniec twórczości Edwarda Porębowicza. Po tych ostatnich pracach stał się Profesor coraz słabszy i coraz smutniejszy. Nie było już mowy o nowych wydawniczych zamierzeniach. Chodziłam do niego coraz rzadziej, bo widziałam, jak męczyło go mówienie. Umarł w sierpniu dzie-

sięć lat temu (1937). Wróciwszy przypadkowo z letniska do Lwowa, trafiłam na pogrzeb.

Dane mi była jeszcze pożegnać go w Ormiańskiej krypcie. Leżał sam, drobny i cichy, wśród białych kwiatów i świec. Czekał bardzo na upragnioną śmierć i niedługo przed zgonem wyraził swą tęsknotę w przepięknym hiszpańskim wierszu, którego rękopis dostałam jeszcze od niego.

Me has prometido que vinieres
Quando antes a la madrugada,
Y io te esperé ancioso
Invan en la nocturna calma.
. . . .
Vien y dejame concluir
Mi deseo, mi passion sin par:
Mejilla contra mejilla
Hasta el ultimo fulminante espasmar,
Oh muerte!

Obiecałeś mi, że przyjdziesz do mnie,
Kiedyś wcześnie przed poranną rosą.
Czekam ciebie trwożny i stęskniony,
Czekam próżno co noc w czas ciszy.
. . . .
Przyjdź i przynieś mi uspokojenie,
Nasyć mą tęsknotę namiętną i bez miary.
Bądź ze mną z twarzą przy twarzy,
Aż olśni mnie ostatniego spazm westchnienia
o — śmierci!

NOWE KSIĄŻKI

Konstanty Ildefons Gałczyński. **Wiersze**. Warszawa 1946. Oficyna Księgarska. Okładka i ilustracje Jana Knothe.

Pod skromnym tytułem „Wiersze" ukrywa się cała przedwojenna i wojenna twórczość poetycka Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Brakuje tylko „Porfiriona Osiełka" — prozy groteskowej — by móc ten pokaźny i przysnuty pianą rysunków tom nazwać — wydaniem zbiorowym. Przedwojenny tom Gałczyńskiego wydany z wielką starannością przez redaktora „Prosto z Mostu" Stanisława Piaseckiego został rozchwytany, a przez pięć zdławionych lat zaczytany i wyniszczony. Wystarczyło jednak kilku wierszy nadesłanych przez poetę z obozu, by ugruntować jego sławę w podziemu nie tylko literackim, starczyło jakiejś wiadomości o jego śmierci, by tygodniki ogłosiły powszechną żałobę. Gdy w komunikatach, które go zgładziły, z równą łatwością wskrzeszono poetę, zaczęto oczekiwać na jego przyjazd, łączono z nim nadzieje jak chyba z żadnym z powracających literatów. Dopiero dziś mamy w pełni możność konfrontacji, gdy trzymamy w chętnych dłoniach tom jego poezji. Dotąd nie doczekał się on wielu poważnych omówień. Recenzje uważa się u nas trochę za prospekty, próbki reklamowe, a ponieważ Gałczyńskiego nie potrzeba publiczności zachwalać, ani przedstawiać, bo dawno się z czytelnikami spoufalił, nim ospali krytycy sięgną po jego książkę, nakład będzie dawno wyczerpany.

Nie myślę wkraczać w uprawnienia znawców. Mam wrażenie, że niewiele czytelnikowi przyjdzie, gdy mu wyliczę tropy, zmiany rytmiczne, wydłubię szkielet konstrukcji często tak doskonałej, że czytelnik bierze ją za swobodę, niemal nie zauważa. Myślę — jako dyletant mogę sobie na to pozwolić — że recenzja nie powinna być zbyt nudna, za naukowa, nieprzejrzysta.

Przede wszystkim musi nas uderzyć zadziwiająca jednolitość tego tomu, mimo że jest rozbity na „Wiersze z lat dawnych", „Egzotyki", „Satyry", „Wiersze wileńskie i obozowe", jednolitość uzyskana przez pozorną anarchię, gruntowne przemieszanie gatunków poetyckich.

Brak regularności, barokowość obrazów, niepokój, sprawiają, że tylko wybrzuszenie jednego z elementów decyduje o ostatecznej przynależności utworu. Często sentymentalizm, humor i iro-

nia są tak wyważone, że i ten sposób klasyfikacji jest utrudniony, wtedy wszystko zależy od nastroju, w jakim czytelnik utwór pochłania. Skala jest obszerna — od oburzenia po zachwyt. Umyślnie pominąłem słowo: przeczyta, bo wiersze Gałczyńskiego w pełni możemy ocenić w recytacji, wiele z nich jest wprost pisanych z przeznaczeniem na estradę. Prócz tego niektóre nadają się do śpiewania, do melorecytacji, do przeklinania, do straszenia, do ogłupiania, do usypiania ukochanej, a najmniej do czytania na sposób, jaki zalecają kiperzy poezji. Jak wiadomo znawcy win biorą łyk do ust, a potem wypluwają i długo mówią o smaku. Podobnie jest i z poezją współczesną, ale tak nie można postąpić z wierszami Gałczyńskiego. One wymagają uczuć mocnych, zdecydowanej postawy.

Gałczyński jest lirykiem, ale prócz tego jest satyrykiem, humorystą i autorem piosenek, no i „bardem narodowym" też być potrafi. Ma on dar udziwniania rzeczy codziennych, najprostszych. Ponieważ wzruszenia liryczne najłatwiej spłycić, Gałczyński dozuje je ostrożnie i gdy tylko dostrzeże u czytelnika bezsilne mruganie powieki, pod którą kryje się łza, czym prędzej stroi grymasy bliskie błazeństwa i klepie go poufale. Dzięki tej czujności uzyskuje niespodziewane efekty, nawet wiersze religijne i patriotyczne są wyzwolone z koturnowego patosu. Ucieczka od łatwego sentymentalizmu udaje mu się świetnie, skrywane wzruszenie, ukradkiem starta łza — trwalej obezwładniają czytelnika. Po prostu niedogrywanie uczuć, nie demonstrowanie ich brzmi prawdą. Tam gdzie wiersz innego liryka dałby się wyżąć jak oszlochana chustka, Gałczyński buduje metaforę poszukiwanego nastroju, zaciera go i stylizuje, często na naiwną prostotę. Ale gdy otrząśniemy się z wrażenia i zaczniemy analizować, wtedy dopiero dojrzymy śmiałe wyliczenia, na jakich zawiesił przęsła skojarzeń.

Gałczyński kryje się z uczuciowością jak każdy człowiek dobry ale słaby, zbyt obnażona dobroć wydałaby go na łup chciwych dziobów. Dlatego sentymenty, uczucia mocne przysłania spowszedniałymi zwrotami, zbieranymi po knajpach, na ulicach; dopiero w zestawieniu ze śmiałą metaforą — niespodziewanie je odbanalnia, nawet więcej — odkrywa w nich świeżą, nie dostrzeganą przez nas dotąd barwę poetycką. Nie przetrzymuje jednego nastroju przez cały wiersz, nie tylko zmienia natężenie, ale przerzuca czytelnika z uczucia w uczucie, oszałamia zmianami, by w końcu doprowadzić do ostatecznej pointy, która często jest niespodzianką całkowicie zmieniającą nasze odbrzmiewanie.

Niespodzianka, po prostu nowość, ciągła nowość jest chyba najcharakterystyczniejsza dla tej poezji. Zaskoczenie to jest uzyskane zarówno dzięki formie jak i zamierzeniom treściowym, jeśli jeszcze wolno mi tak prymitywnie dzielić. Opanowanie rzemiosła poetyckiego, doprowadzenie go do wirtuozerii, a zarazem ciągła czujność pozwalają poecie na eksperymenty nieraz bardzo

ryzykowne, posunięte do lekceważenia czytelnika, czy pozornej niedbałości. Właśnie na użycie kolejnych rymów gramatycznych, właśnie na zerwanie rymu męskiego, konwencjonalnego, zatrzaskującego silnie zrytmizowaną strofę, może sobie Gałczyński pozwolić. Daje to nieoczekiwany wstrząs. Te efekty były już od dawna stosowane, ale nigdy w tak brutalny sposób! To tak jakby Gałczyński zaśmiał się z potykającego się czytelnika: — A widzisz, wyliczyłeś sobie, że będzie schodek, a nie ma, bo go wsadziłem pod pachę! Tę akrobatykę formalną ułatwia poecie uśmiech, jest to jakby dodatkowa rama, w której wszystko powinno być uznane za udane, a jeślibyś próbował stosować przyjęte kanony i wytykać poślizgnięcia — wygłupisz się, bo właśnie dla ciebie są one tam porozstawiane, byś się zadziwił.

W tej pogoni za niespodzianką, nie zawahałbym się nawet powiedzieć: za sensacyjnością, jest coś dziecięcego. Bo dzieci najlepiej potrafią z otaczającego ich świata wydobyć zarówno lęk i grozę, jak podpatrzyć śmieszność i uczucia przyjazne.

Gałczyński jest „podszyty dziecięctwem" jakby powiedział Gombrowicz. Stąd jego wrażliwość na otaczającą go atmosferę, szybkie dopasowanie się do nastrojów środowiska. Ogląda świat przez szkiełko, jakie mu podsunięto, raz zielone, raz czerwone, traktuje to mimo całej powagi jako rodzaj zabawy — ale świat, o którym nam opowiada jest ten sam, jest bezprzecznie tylko jego własnością. ,

W tym dziecięctwie mają źródła i pewna kokieteria i malutkie wyrachowania. Gałczyński chce zwrócić na siebie uwagę czytelników. Pociąga ich, przywabia, a potem wywiesza język, drażni i kpi z nich. Ale nigdy nie znieważa i nie pozwala im odejść obrażonym. Jedna się z nimi zaraźliwym śmiechem. Jeśli zostali okpieni, jeśli jeszcze czegoś nie pojmują, a wstydzą się zapytać, przystają, czekając aż się inni nabiorą, aż się cała gra wyjaśni. W ten sposób powstaje dokoła poety tłum, w którym rej wodzą entuzjaści. Wtedy nawet przeciwnicy, podtykający z marsem na czole spotkanym znajomym przed chwilą przeczytany wiersz Gałczyńskiego wraz ze słowami oburzenia, stają się mimowolnymi popularyzatorami jego poezji.

Gałczyńskiemu udało się wytworzyć pewien snobizm, snobizm nie tylko rozumienia jego absurdalnego humoru, ale delektowania się nim, wrażliwość na jego poezje jest sprawdzianem smaku i inteligencji. Jest to jeszcze jeden z dowodów normalizacji powojennej, gdyż jak wiadomo snobizmy są podstawą upowszechnienia kultury.

Najzabawniejsze jest to, że choć część czytelników Gałczyńskiego czuje się oszukana, choć się z tym nie zdradza i brnie dalej w stan „opupienia", jak to nazywa Gombrowicz, nie zostali oni nabrani, bo poezja ta ma prawdziwe wartości, mimo że jest im narazie niedostępna. Są oni najgorliwszymi wielbicielami poety. Jego wielkość jest gwarancją, że nie ulegli pomyłce. Lękają się rozczarowania, jakiegoś przewartościowania, po-

dobnego do przebudzena, które jednak — zapewniam ich — nie nastąpi.

Pogoń za cudownością zmusza do odświeżenia rekwizytów romantycznych, poeta przemieszcza gromady koboldów, karłów, czarnoksiężników i aniołów we wnętrza mieszczańskich domów, czy dworów podmiejskich nie pozbawionych zresztą uroku. Cudowność odkrywa wszędzie, ale nie jest to cudowność wywyższająca twórcę, a rzucająca czytelnika na kolana. Gałczyński wielokrotnie powraca do terminu szarlataneria — znacie te cuda z mrugnięciem oka, cuda trochę cyrkowe i kuglarskie, doskonale mieszczące się w kategorii wypracowanej zręczności, którą można bez urazy podziwiać i oklaskiwać. Są one potraktowane jak każdy dostępny wam zawód, tylko są inne. Jest to ten rodzaj cudowności, który nie trudno przyjdzie wytłumaczyć; nie zostawiają one w gruncie rzeczy metafizycznego zaniepokojenia. Są one gatunkiem najbardziej lubianym. Jest to odwieczne prawo, że zwykle przenosimy twory sztuczne nad naturalne, wolimy niepokojącą złudę, ale tak skonstruowaną, by po zajrzeniu do wnętrza, można się było pozbyć obaw, że prawa którym zaufaliśmy uległy zakłóceniu, a chwilowy lęk maleje do przyjemnego dreszczyka emocji.

Przedwojenne satyry Gałczyńskiego po niewielkim retuszu znalazły się w komplecie i pełnią nadal swą służbę, nie tracąc nic na świeżości. Może należy sprawę odwrócić: to słabostki i wady, z których poeta szydził po niewielkim podbarwieniu, zgrupowały się w komplecie pod nowymi sztandarami.

Gałczyński najdotkliwiej drwi z mieszczaństwa, a zarazem jest poetą, który po Tuwimie zyskał sobie właśnie w tej klasie największą popularność. Jest on zarazem karykaturzystą i piewcą uroków mieszczańskiego życia. Jest pełen wyrozumiałej pobłażliwości dla wyśmiewanej głupoty i malutkich rozkoszy, tak soczyście utrwalonych. Nawet teatralne gesty rozpaczy, wzloty patriotyczno-pijackie mają w nim swego niezrównanego kronikarza.

Podobnie jest i z przyrodą, wolną od literackiej konwencji, ale właśnie ta zadziwiająca czystość drzew i nieba, te roztkliwiania pachną świeżością poranku po nocy spędzonej w zadymionej knajpie, jest to przyroda widziana o świcie z dorożki. Albo uroki podmiejskiej wycieczki, gdy oddycha się swobodnie, akcesoria i trud podróży nie stanowią żadnej zapory, bo wszystko jest pod ręką: trawa, od której odbija biała, bosa stopa, bułki i wódka, i tramwaj pobliski, którym będą powracać. Zapach zieleni miesza się z wonią nagrzanej skóry bezwstydnie zzutego buta.

Satyry Gałczyńskiego choć cięte, nie bolą, bo sam poeta siebie lokuje między chłostanymi. Mają one coś z rezygnacji i rubasznej pogody Fredry. Zastanawiałem się, z czego płynie ten niezrozumiały optymizm u tak głębokiego poety — czy z dobrego żołądka, czy sił witalnych i niezwykłej zdolności sycenia wszystkich tęsknot ziemskimi pokarmami?

Ale ten optymizm jest pozorny, przy uważnym czytaniu raz

po raz wydobywa się na wierzch, przysłaniany błazeństwem tragiczny nurt głębokiego smutku, rozgoryczenia i żalu zmieszanego ze wstrętem. Wtedy wszystkie sztuczki przestają wystarczać i poeta zdaje się szeptać: Nie patrzcie teraz na mnie! Umówmy się, błagam was, umówmy się, że wszystko jest nadal zabawne, nawet ten grymas, który wywołuje ból!

Z takich chwil rodzi się najczystsza liryka — wiersze pełne Boga, zachowanego dotąd jako ostatnia asekuracja i uwielbienia dla łagodnej żony. Gałczyński pyszni się siłą tego uczucia, nie pomniejsza go, ani nie przysłania. To on wprowadził do naszej przedwojennej poezji — motyw żony, oddanej towarzyszki i przyjaciółki, odwarzył się chwalić uroki małżeństwa.

Nie ulega wątpliwości, że dziś Gałczyński jest najpopularniejszym pisarzem i ogromną jego zasługą jest, że hermetycznej poezji, dzięki swym wierszom toruje znowu drogę do szerokich kół publiczności. Poezja dotąd obrażona na czytelnika, poezja dla nielicznych smakoszy, staje się dzięki Gałczyńskiemu piekącą przyprawą, trafia i jedna sobie odbiorców tam, dokąd tylko dociera prasa.

Żartobliwa twórczość, choć bynajmniej nie pozbawiona głębszego sensu, jest śledzona conajmniej przez dwa miliony oczu. Teatrzyk „Zielona Gęś" podaje satyrę w pigułkach, przemyca ją pod pozorami zabawy, np. słynny już dziś „Dymiący piecyk" czy „Cud na pustyni". Rozmiary echa, liczba protestów mogą świadczyć o celności nakłuć. Spotykam się wielokrotnie z ludźmi, którzy czytają „Listy z fiołkiem", żeby się móc zirytować. Stosują je jak pastylki pobudzające wydzielanie kwasów, ułatwiające trawienie łykowatej rzeczywistości.

Pisujący przed wojną niewiele, Gałczyński dziś jest chyba u szczytu swych możliwości twórczych, a nie na ich schyłku, jakby go chcieli widzieć zawistni. Jeśli zestawimy ilość z jakością, musimy obiektywnie stwierdzić, że jednak poniżej poziomu Gałczyńskiego, który autor dla siebie ustalił, nie schodzi, a jest to poziom dość wyśrubowany. Prócz zabaw i wierszy, rzucił nam poeta już dwa nowe poematy „Zaczarowaną dorożkę" i „Kolczyki Izoldy". Źródło liryczne bije mocnym strumieniem.

Jeszcze jedno chciałbym zauważyć, że Gałczyński nie ma uczniów, nie stworzył żadnej szkoły. Poeta o takiej popularności, o takim powodzeniu, a bez epigonów i imitatorów? Czy to nie dziwne?

Sekret jego samotności zdaje się tkwić w tym, że poezja ta jest nie do naśladowania, a jeśli podrobimy ją doskonale — wychodzi Gałczyński. Jego prawdziwy żywiołowy talent poetycki jest stopem wielu talentów danych mu w różnych proporcjach — mówię o poczuciu humoru, zmyśle satyrycznym, wrażliwości lirycznej i dramatycznej, każda z nich tworzyłaby poetę, ale wszystkie razem tworzą ów gejzer poezji zwany K. I. Gałczyńskim.

Dlatego Czytelniku, musisz się pogodzić, bo próżnobyś czekał aż ktoś wycedzi z jego twórczości szlachetną lirykę i strząśnie pianę

kpiny, musisz go brać jakim jest, wraz z nonszalancją, łezką i żartobliwą pozą, bo choć cię razi i sprawia nieustanny kłopot, jest niezrównanym poetą naszej epoki przełomu.

Wojciech Żukrowski

Zofia Kossak. **Z otchłani.** Wspomnienia z lagru. Częstochowa Poznań 1946. Drukarnia św. Wojciecha pod zarządem państwowym.

„...ta relacja nie zamierza być pracą literacką, a jedynym jej celem uczciwe i wierne przedstawienie warunków lagrowych" (s. 60). Dla recenzenta, który lagru szczęśliwie uniknął, wydanie sądu o uczciwości i wierności w przedstawieniu życia häftlinga jest zadaniem nie do spełnienia. Tym bardziej, „że — jak to coraz powszechniej słychać — ktokolwiek widział duszę hitlerowską w całej nagości, nie znajdzie słów w ludzkiej mowie na jej opisanie" (s. 2—3). Jakżeż osądzić ujęcie tego, co ująć się nie da? Sądzić jednak trzeba. Jeśli nie wierność, to bodaj stopień wierności.

Wspomnienia dotyczą lagru kobiecego w Birkenau (polska wieś Brzezinki koło Oświęcimia), w latach 1943—44. Autorka opisuje kolejno wszystkie przejawy życia lagrowego, od momentu nakłuwania na ręku numeru więziennego, aż do chwili, w której häftling kończył: na pryczy, w rewirze, pod butem żandarma, w komorze gazowej lub po prostu w kloace. Obrazy tych przejawów nie są w równej mierze wyraziste. Wiadomo nam skądinąd (Tygodnik Powszechny z 2 marca b. r.), że Zofia Kossak dostała się do Birkenau pod fałszywym nazwiskiem. Kim była w rzeczywistości, wiedziała tylko garstka wtajemniczonych. Dzięki nim „można by rzec (...) żyła ona w lagrze otulona w watę serdeczności i starań, którą pragnęło się ją izolować od właściwej atmosfery lagrowej" (jw). Taka wiadomość pozwala wiele zrozumieć. Co autorka przeżyła bardziej bezpośrednio, to z większym realizmem potrafiła ująć. Dlatego sceny pod śmietnikiem, w latrynie, na rewirze, podczas pisania listów czy podczas nachtwachy — przemawiają dość silnie. O pracy kolumn roboczych książka nie daje natomiast prawie żadnego pojęcia. Zofia Kossak zna tylko wnętrze obozu i to — powtórzmy — nie ze wszystkich stron w równej mierze. „Wata serdeczności" robiła swoje. Nie możemy mieć o to do autorki żalu, chociaż trzeba równocześnie zaznaczyć, że wierność przedstawienia warunków lagrowych została w ten sposób mimo woli nadwyrężona. Nie tylko zresztą mimo woli. W książce występuje również świadome tuszowanie rzeczywistości. Wykazuje to doskonale taka uwaga: „W lagrze słowo „kulfon" nie było w użyciu. Do kobiet Polek zwracano się stale z innym plugawym i wstrętnym wyzwiskiem. Autorka nie zamierza posuwać au-

tentyzmu tak daleko, by zapaskudzać książkę i postanawia wszędzie w zastępstwie używać słowo „kulfon" (s. 45). Jeśli nawet chcemy zrozumieć obiekcje Zofii Kossak, wątpliwość co do wierności opisów zwiększa się w nas jeszcze bardziej. Nie zahamuje jej z pewnością podobny cytat: „Wszy, świeżb, brak wody, nie były najgorsze z plag. Pozostawała jeszcze jedna zmora. Należało by ją pominąć jako nieestetyczną, nieliteracką, rażącą" (s. 60). Motywy przy opisie, który ma być dokumentem życia lagrowego, dość oryginalne. Z ich pomocą autorka chciała pominąć sprawę latryny obozowej, którą w rezultacie — z pożytkiem dla prawdy — poruszyła. Dwa cytaty ostatnie nie tylko dyfamują wierność ujęcia rzeczywistości, ale i każą wyraźnie zakwestionować słuszność założeń Zofii Kossak.

Autorka daje opis bezosobowy, ale bez mała w każdym miejscu „wietrzymy" jej osobę. Niekiedy zyskuje się wrażenie, że książka nie jest opisem lagru, a jego „estetycznym" komentowaniem. Na komentowanie poświęcono tu wiele stron. Obawiamy się, że za wiele. Jakkolwiek chodzi o zobrazowanie masowości cierpienia, masowość ta — sądzimy — bardziej by się uwydatniła na tle scen jednostkowych, wyrazistych i krótko, oszczędnie komentowanych, niż na tle komentarza długiego, któremu towarzyszą czasem melodramatyczne, drażniące wykrzykniki („O, cóż za piekło" — s. 62).

Autorka „Krzyżowców" w istnieniu lagru widzi dzieło szatana. W Niemcach istoty, które zatraciły poczucie dobra, i w perfidny sposób chcą zmiażdżyć w więźniu godność ludzką, zrobić z niego zwierzę. To się bardzo często udaje, system lagrowy święci tryumfy. Palonym Żydom odbierano przed śmiercią wszystkie rzeczy. Cząstkę tego rozkradały i sprzedawały pracujące przy sortowaniu więźniarki. Gdy długo nie przywożono nowych ofiar, „czarny rynek" pustoszał, rzeczy drożały. „Dajcie spokój, nie kupujcie teraz — doradzały starsze, doświadczone przyjaciółki. Nie warto przepłacać. W tym tygodniu ma przyjść dobry, holenderski transport" (s. 124). Podobnych stwierdzeń jest w książce sporo. Człowiek ulegał rzeczywistości. Autorka jest żarliwą katoliczką i uważa, że najlepszą obroną przed uleganiem, przed odczłowieczeniem, była wiara w Boga. Problem wiary porusza wielokrotnie. Obserwuje, jak on wygląda u współtowarzyszek. Pokazuje wypadki kompletnych załamań religijnych, które są równocześnie załamaniami ludzi. Sprawy wiary, dla Zofii Kossak najistotniejsze, ciążą nad książką. Mówimy to nie przez awersję do tych spraw, a w przekonaniu, iż potraktowano je zbyt obszernie. Patrzenie na lagier przez pryzmat wiary, to poza autorki. W lagrze nie była pozą powszechną, więc uwzględnienie jej w tych rozmiarach znów mogło wpłynąć na zatarcie rysów opisywanej rzeczywistości. Książka nawołuje w zakończeniu do wychowania nowego człowieka. Podaje zasady wychowania.

Świadomie autorka chce dać kopię Birkenau, podświadomie daje również książkę o dużej dozie moralizatorstwa. Starając się

z należnym szacunkiem zrozumieć pobudki takiego stanowiska, przyznajmy, że intencji świadomej nie wyszło ono na dobre.

Przedstawmy wnioski. Są dwa. Jeden z nich uznaje, że autorka starała się wszędzie wykryć istotę mechanizmu lagrowego oraz wyjaśnić, jak w jego trybach zachowywał się człowiek. Drugi wniosek występuje przeciw nadmiarowi problematyki, komentowania i estetyzowania, które wierności w opisie lagru, niestety, nie sprzyjało. Wniosek drugi dodaje: znając mechanizm obozu, nie odczuwamy w całej jaskrawości koszmaru życia häftlinga.

Jan Gawałkiewicz

Ignatio Silone, **Chleb i wino.** Wyd. 3. Kraków 1947, Wiedza.

Wojna rozwiązując wiele spośród zadzierżgniętych w dwudziestoleciu problemów społeczno-politycznych wzbogaciła nasz światopogląd o szereg nowych sądów i szereg korektur sądów dawnych. Dotyczy to przede wszystkim literatury, której oceny utrwalone, łatwiej podlegają kontroli i konfrontacji. Książki, które umiały, jak się dziś okazuje, powiedzieć prawdę i trafnie spojrzeć w przód, powracają jako swego rodzaju fenomeny na stół czytelnika anno 1947. Do nich należy Ignatio Silone „Chleb i wino", znana polskiemu czytelnikowi już przed wojną, dziś przypomniana trzecim wydaniem. Trafność spojrzeń w ocenie faszyzmu włoskiego jest w niej tak wyjątkowa, że tylko uwaga „wydanie trzecie" wskazuje na wcześniejszy czas powstania.

Mówię o „trafności", mimo że rzecz o stosunkach we Włoszech wydaje się być z odległości geograficznej niesprawdzalna. Niesprawdzalne są jednak tylko szczegóły obrazu, lecz nie sumaryczna, moralna ocena ideologii, która bez względu na kraj i naród zawsze to samo w końcu odkrywała oblicze i do tej samej klęski wiodła. Faszyzm włoski to ten sam faszyzm, który poznaliśmy osobiście jako machinę mielącą ludzi na miazgę moralną.

Silone rozpoczynając powieść rozmową księdza-eksnauczyciela z dwoma byłymi uczniami o ich dawnych kolegach, dał ciekawą formę ekspozycji, w której przeprowadza prezentację przyszłych bohaterów powieści. Wygoda takiej formy łączy się z celowością artystyczną — chłopcy ożywieni we wspomnieniach, to charaktery w stadium krzepnięcia, zatem swoista tabula rasa, na której życie w ustroju faszystowskim wypisze swoją treść. Jaka to będzie treść, zobaczymy. Większość z nich, wyjąwszy jednego może Pietro Spinę, głównego bohatera powieści, ulegnie deformacji psychicznej. Jedni, jak Concettino Ragu, jawnie staną w obozie faszystów, inni, jak dr Sakka, — to przyszli lojaliści ze strachu, wszyscy — ofiary upadlającego systemu.

Strach ukazał Silone jako główny motyw metod utrzymania „porządku" i „prawomyślności". Boją się dosłownie wszyscy,

a przed innymi „cafoni“ (nieposiadający chłopi). Sprawie cafonich, ich nędzy i upośledzeniu oddał autor tę część książki, gdy Spinie emisariuszowi — socjaliście kazał się ukryć na wsi w przebraniu księdza. Spina obserwuje stosunki na wsi i analizuje je ze swego stanowiska marksisty. A ponieważ długo nie był w kraju, wszystko wydaje mu się nowe i ciekawe i studia jego nabierają charakteru gruntownego. W ten sposób utwór Silone staje się ciekawym przyczynkiem do poznania nędzy chłopa pod dyktaturą, ciekawym przynajmniej dla cudzoziemca.

Drugim, sąsiednim problemem jest kwestia kleru i jego rola w reżimie. Faszyści na ogół nie lubią kleru, ale go tolerują, ponieważ „traktuje on religię jako służebnicę banków i rządu“. Oto mniej więcej słowa własne autora. Jeśli autor emisariuszowi kazał gwoli bezpieczeństwa przebrać się za księdza, to nie tylko ze względów artystycznych — o czym później, ale i z przyczyn realnych, które — z uwagi na „obecną orientację“ Kościoła — czyniły z sutanny coś jakby legitymację partyjną. Czyżby zatem książka Silone miała być pamfletem na kler włoski? Bynajmniej. Autor szukając jakiegoś *milieu d'or* sprawiedliwości, na przeciwnej szali stawia don Benedetta — kapłana i człowieka bez skazy. Ta postać wagą całej swej szlachetności rehabilituje płaski lojalizm kleru.

Jeśliby trzeba wymienić tzw. postaci dodatnie powieści, bez wahania można by znaleźć tylko trzy: Spinę — marksistę, don Benedetta — świętego kapłana i Krystynę — przyszłą zakonnicę. Gdyby pominąć Krystynę, która od zagadnień politycznych odseparowuje się sakramentalnym: „królestwo nasze nie jest z tego świata“, tyle pięknym i szlachetnym, ile zostawiającym *carte blanche* wszelkim ziemskim podłościom — jako jedyni sprawiedliwi pozostaliby wielki c h r z e ś c i j a n i n i wielki a t e i s t a. Tak wynikły problem nie zrodził się przypadkowo; autor postawił go z całą świadomością i ostrością, kończąc jednakże nie konfliktem, ale afirmacją jakiejś naczelnej idei humanistycznej, która złączyła tych dwu ludzi z przeciwnych obozów filozoficznych. Jedyny dobry owoc wychowania don Benedetta — Spina, nominalnie odchodzi od swego wychowawcy, wraca jednak w sensie jego słów: „Gdy widzę tyle podłości..., nie muszę się długo zastanawiać, choćby nawet ci robotnicy uważali się za ateistów, żeby wiedzieć po czyjej stronie stoi Najwyższy“. W powieści Silone nie ma socjalistów, katolików i faszystów. Jest humanizm i antyhumanizm. To, że niektórzy katolicy stanęli w obozie antyhumanizmu faszystowskiego, kompromituje ich, ale nie samą ideę.

Zagadnienie omówione, aczkolwiek pierwszorzędnej wagi, konstruktywnie jest w powieści drugoplanowe. Na nim jak na tle rozgrywa się dramat Spiny — niedoszłego rewolucjonisty i dramat niedoszłej rewolucji.

Spina rutynowany w zawodowej robocie konspiracyjnej stracił kontakt z żywym ciałem społeczeństwa. Wszelkie próby poruszenia cafonich wywierają wręcz odmienny skutek. Ponosi za to winę zarówno on sam jak i słabość społeczeństwa, które dało się upodlić reżimowi i pozostaje głuche na wszelkie wołania i perswazje. Autor nim ukazał ostateczne fiasko roboty Spiny, fiasko to zapowiedział świetną sceną o posmaku symbolicznym: pierwszy człowiek, którego Spina wziął pod obstrzał swych argumentów, okazuje się głuchoniemy. Głuchych w sensie niedosłownym jest więcej, tak wśród cafonich, jak i inteligencji.

Jeśli idzie o ocenę wartości realistycznych powieści, to dużą przeszkodą jest nasza nieznajomość kraju i stosunków w nim panujących. Książka ta posiada jednak wielką siłę sugestii, tak że na Włochy owego czasu zaczynamy patrzeć przez jej pryzmat, mówiąc „se non è vero, è ben trovato". Do zajęcia takiego stanowiska przyczynia się w dużej mierze pozycja artystyczna utworu. Książce dobrze napisanej czytelnik jest skłonny łatwiej uwierzyć. A powieści Silone nie można w tym względzie odmówić walorów.

Nie chcę mówić o jej języku nie znając oryginału, zwłaszcza że przekład z uwagi na błędy w dobrej polszczyźnie nie budzi zaufania: Za to powtarzalne w przekładzie wartości konstrukcji i kompozycji dowodzą dużej klasy i kultury pisarskiej.

Konstrukcja, pomijając wspomnianą już doskonałą ekspozycję, rozkłada utwór na dwie części: pobyt Spiny na wsi i jego późniejszą ruchliwą działalność. Między jedną i drugą częścią istnieje duża różnica napięć dynamicznych. Bardziej statyczna i spokojna część pierwsza istnieje po to, by wprowadzić szereg motywacji dla części drugiej. Tak np. nie jest bez znaczenia, że Spina przebiera się za księdza. Obok wynikających stąd interesujących komplikacji, które każą ateiście np. spowiadać wiernych, przebranie i ukrycie narzuca Spinie okres bezruchu i spokoju, który daje okazję do przeprowadzenia ciekawych obserwacji i analiz społecznych, które pozwolą później zrozumieć niepowodzenie ruchu oporu. W innej roli Spina nie miałby sposobności pozyskać zaufania współziomków i dowiedzieć się całej prawdy ukrytej skrzętnie pod maską propagandy. Tym sposobem charakterystyka życia we Włoszech i autocharakterystyka Spiny otrzymują podwójne naświetlenie: przez rozmowy prowadzone z przymusowej bezczynności i nudów, i przez pisany z nudów pamiętnik.

Refleksyjność i znużony nurt narracji tej części powieści rozciągają się na cały utwór. Do wyjątków należy scena śmierci don Benedetta, najpiękniejsza zresztą scena w książce. Rozporządza ona dość swoistą formą zawiązywania napięć. Don Benedetto, otruty, zakończył życie, odprawiając nabożeństwo. Na początku sceny autor zasugerował niezwykłość bliskiego wydarzenia, zwracając uwagę na pewne słowa mszy, które w tej chwili straciły liturgiczną mechaniczność, a stały się jakby własnymi słowami ce-

lebrującego. Mówiąc „Domine, non sum dignus" — don Benedetto umarł.

Mimo że konspiracja rozpada się, jedni dostają się do więzienia, drudzy giną, giną także obaj „sprawiedliwi", powieść Silone nie jest powieścią pesymistyczną. Autor wierzy w powrót sprawiedliwości. Jest to wiara bojowników, która pozwala umrzeć za ideę w przekonaniu, że wprawdzie cierpienie jest chlebem i winem ich dni, ale za to ich śmierć będzie chlebem i winem szczęścia przyszłych pokoleń. Mówiąc bez przenośni i po prostu, jest w tej wierze, a zatem i w całej książce, dostrzeżenie historycznego sensu poświęcenia.

Jerzy Ziomek

Pamięci Cypriana Norwida. Muzeum Narodowe w Warszawie w 125 rocznicę urodzin artysty. Warszawa 1946 (w istocie 1947).

Tytuł „Pamięci Cypriana Norwida" posiada ładną tradycję w bibliografii. Po raz pierwszy położył go Miriam w t. VIII „Chimery" (1904), który wypełniły w całości utwory Norwida, odkrywane przez Miriama z pasją i żarliwością. Później postąpiła podobnie „Droga", gdy „Pamięci Cypriana Norwida" oddawała numer 11 w roczniku 1933 na rozprawy i komentarze. Kiedy teraz Muzeum Narodowe w Warszawie szukało formuły dla publikacji jubileuszowej, redakcja książki raz jeszcze uczyniła z karty tytułowej — epitafium poety. Tak w sposób coraz bardziej trwały wiąże się ten tytuł z tradycją badań nad Norwidem.

Wydawnictwo stanowi plon naukowy wystawy Norwidowskiej, zorganizowanej przez Muzeum Narodowe w Warszawie na przełomie r. 1946/47 (otwarcie w dniu 20 grudnia). Wystawa dokonała bogatego przeglądu materiałów biograficznych, literackich i prac malarskich Norwida, ocalonych po klęsce bibliotecznej r. 1944. W tym geście norwidystów warszawskich była niewątpliwie intencja, by zacieśnić związek organiczny między poetą a miastem jego młodości. Poza motywem uczuciowym należało dokonać przeglądu dochowanych materiałów oraz przedstawić pośmiertnie warsztat Miriama, którego „odkrycie Norwida" ma niewiele analogii w historii literatury. Wystawa warszawska pokusiła się o nowe metody w ekspozycji zabytków, ukazywanych z pomysłowością graficzną w nowych nieraz zespołach rzeczowych.

Śmierć Miriama w r. 1944, wiernego sługi poety, stanowi ważną datę nie tylko w dziejach kultu Norwida, ale także w historii jego poznania. Te powody sprawiły, że wystawa r. 1946 oznacza ważny etap pracy w studiach nad poetą, a wydawnictwa, które jej towarzyszą, posiadają walor szczególny: dają niejako sumę Norwidowską, a więc całość wiedzy o pisarzu, która narosła od dnia jego pośmiertnego odkrycia.

Typ prac, zgromadzonych tutaj, prezentuje cechy dwojakie: Są to najpierw studia materiałowe, których podstawa jest szczególnie bogata. Są to dalej rozprawy, przynoszące stanowiska syntetyczne w ocenie twórczości Norwida. Tak ręką szczęśliwą pogodziły się poszukiwania w zakresie faktów i konstrukcje ogólne.

Fakty znowu są dwojakie: biograficzne i bibliograficzne.

Juliusz W. Gomulicki opracował „Życie Norwida" sposobem, na ogół nieznanym w naszej biografistyce: dał kalendarium żywota, w układzie rocznym, w przeglądzie datowanych wydarzeń biograficznych, notując skrupulatnie zawiłe itinerarium Norwida, kontakty ze środowiskami i ludźmi, prace i dnie pisarza. W układzie owej „kroniki biograficznej" znajduje się biografia literacka poety, sprowadzona do schematów zwięzłych i przejrzystych. Forma ta, uprawiana od dawna w literaturze obcej, pojawia się przygodnie w polskiej biografistyce, jakkolwiek zasługuje na systematyczne naśladownictwo (skoro wiadomo, że biografie Korbuta nie wystarczają, „Polski Słownik Biograficzny" sięga litery E, a dzieła typu „Sto lat myśli polskiej" dają fragmenty). Rola podobnych repertoriów biograficznych jest z natury pomocnicza i przygotowuje etap następny. Należy życzyć autorowi, pełnemu precyzji diurniście żywota Norwida, by jak najrychlej zdołał dać — biografię literacką pisarza.

Anonimowa, niestety, „Bibliografia Norwida" osiąga równy stopień pietystycznej skrupulatności. Ale czyni to z dobrowolnymi ograniczeniami: zestawia w układzie chronologicznym, nie liczbując pozycyj, pisma Norwida, wydane osobno za jego życia i po śmierci, w innym zaś szeregu, ale w tym samym układzie chronologicznym „Ważniejsze głosy i studia o Norwidzie". Nie jest to zatem pełna bibliografia tekstów Norwida, których pierwodruki znajdują się niejednokrotnie w czasopismach, ale bibliografia wydań książkowych. W zakresie opracowań i studiów nad twórczością bibliografia daje wybór obszerny i zawsze uzasadniony. Rozumiemy dobrze trudności podobnego warsztatu, zwłaszcza w obecnych warunkach pracy bibliotecznej (przy zbiorach, które splądrowała wojna). Z tym większym uznaniem potwierdzamy precyzyjne opisy i widoczną troskę, by dotrzeć do materiału bezpośrednio. Wraz z kilkoma wykazami literatury Norwidowskiej jeszcze sprzed wojny, publikacja obecna przygotowuje kompletną bibliografię Norwida — na polu szczególnie cennej pracy pomocniczej: bibliografii osobowej, w której oddawna celują Francuzi. Może i z tych poszukiwań, czynionych z powodu wystawy warszawskiej, wyrośnie niezadługo całość definitywna.

Inne studia, zawarte w książce, wyrażają stanowiska syntetyczne, jakkolwiek materiał badań nie zawsze dozwalał na rzut generalny. „Norwid poeta" Wacława Borowego daje wysoką próbę syntezy literackiej, wolną od elementów ubocznych. „Norwid myśliciel" Tadeusza Makowieckiego zachowuje walor tej samej ogól-

nej charakterystyki, wskazując dalszym badaniom drogi i zagadnienia (w końcowym ustępie: powinowactwa między myślą Norwida i epoki). „Norwid malarz“ Jerzego Sienkiewicza — szkic, który nie posiada poprzedników — łączy metodę opisu i oceny materiału, zastępuje impresje Miriama, w tej dziedzinie ubogie i przygodne. Inaczej niż autorzy wymienieni, Sienkiewicz daje pierwszą charakterystykę sztuki malarskiej Norwida, kreśląc szkic do przyszłej monografii analitycznej. Jest to zarys nowy i odkrywczy, w którego rozumieniu wspomagają badacza rysunki i akwarele Norwida, dodane do tomu w liczbie 12 tablic.

Gdy powracamy do książki, tłoczonej z wielką troską typograficzną w drukarni kieleckiej Adama Półtawskiego, przebiegamy jeszcze piękny artykuł Wacława Borowego, a w nim patrzymy na słowa Norwida z r. 1881: „Zadaniem krytyki jest wszystko pozostawić na właściwym miejscu i otworzyć okno — pozostawiając resztę światłu i czasowi — nic więcej!“ W stosunku do postaci i twórczości Norwida czyni to w zakresie zamierzonym przez autorów książka obecna. „Nic więcej“. Ale widzimy jasno, że jest to bardzo wiele.

Tadeusz Mikulski

Ludwik Krzywicki. **Wspomnienia** Przygotował do druku Stanisław Stempowski. Tom 1 (1859—1885). Czytelnik 1947.

„Wspomnienia niniejsze nie były pisane ciągiem w tym układzie, w jakim obecnie zostają ogłoszone. Były to bądź samodzielne przyczynki ogłaszane w czasopismach, bądź okolicznościowe nekrologi; były wstępy do życiorysów skreślone przez kogoś innego lub utrwalone dla siebie sylwetki ludzi, z którymi się Autor spotykał lub współpracował w ciągu życia, były to wreszcie luźne, nie opracowane notatki“, tak pisze w przedmowie S. Stempowski i to trzeba uwzględnić przy czytaniu „Wspomnień“ Krzywickiego.

Wydawca kierowany z jednej strony pietyzmem do postaci autora, z drugiej uczciwością edytorską wobec każdego rękopisu pośmiertnego i wreszcie trudnościami natury technicznej, o których mówi w przedmowie, miał trudne zadanie i na ogół wyszedł z niego zwycięsko.

W całości tomu czuje się jednak brak ręki autora, który przygotowawszy rzecz do druku uczyniłby niejedną poprawkę, niejednego fragmentu by poniechał a całości nadałby formę bardziej zdyscyplinowaną. Czy rzecz na tym z dokumentarnego punktu widzenia zyskałaby, to sprawa już inna, ale niewątpliwie zyskałaby jej strona artystyczna, a nie jest to sprawa bez znaczenia nawet w wypadku pisania wspomnień bez założeń natury literackiej. Ten brak kontroli przy selekcjonowaniu treści jest widoczny specjalnie w części pierwszej tomu, poświęconej dzieciństwu i latom szkolnym autora. Bez szkody dla całości możnaby tu niejedno usunąć.

Rzecz przez to nabrałaby przejrzystszej konstrukcji, a całość nie ucierpiałaby, choćby dlatego, że i postać autora z tego okresu życia i charakterystyka otoczenia w niczym nie odbiegają od przeciętnych stosunków, w przeciętnym prowincjonalnym mieście w latach 60—70 ub. stulecia na terenie t. zw. Kongresówki.

Sam autor w pierwszych niemal słowach swych „Wspomnień" mówi o pamięci, jej właściwościach absorbcyjnych i zdolnościach zachowywania przeżyć i obrazów, jako najdoskonalszej właśnie w latach dziecinnych i młodzieńczych. Do pamięci z tego okresu autor ma największe zaufanie, a skarży się na nią w późniejszym okresie życia, kiedy lubiła platać mu figla, plącząc niejednokrotnie rzeczywistość z widziadłami sennymi, tak że nieraz trudno było sądzić, co miało miejsce w istocie, a co było wytworem samej fantazji. Na szczęście ocena autora jest niesłuszna. W miarę czytania przystajemy niejednokrotnie zadziwieni mnogością faktów, zdarzeń i obserwacji, co do których prawdziwości możemy być przekonani na podstawie innych znanych nam źródeł.

Rzecz cała zawarta w pierwszym tomie podzielona jest na szereg większych rozdziałów, które Stempowski zatytułował: dzieciństwo, lata szkolne, uniwersytet, za granicą. Z kolei każdy z rozdziałów dzieli na mniejsze. Wydawca przy zachowaniu warunków, o których mówiłem na początku, starał się przedstawić całość w sposób jak najbardziej przystępny i logiczny, nie tracąc prawdopodobnie ani myśli czy zdania zawartego w rękopisie, który przyszło mu opracować.

Narastająca treść rozdziału zgodna z rytmem życia, podobna jest drzewu, którego korzenie — to szeroko zakreślony rodowód autora, pień strzelisty i prosty — dzieciństwo i młodość, rozgałęziona obficie korona, nakrywająca wszystko i splątana z koronami drzew sąsiednich — to lata dojrzałe. A przecież tom 1 daje nam zaledwie 26 lat życia Krzywickiego. Wspomnienia dziecinne autora wiążą się z rokiem 63-cim. Dzieciństwo wyrasta w romantycznej aurze, jakże specyficznie zagłuszanej przez otoczenie, które pragnęłoby raczej o wszystkim zapomnieć. Młodość przypada na okres pozytywizmu, ale nie ten podział, normalny innym ludziom tego czasu, jest rytmem przeobrażeń dojrzewania autora. Krzywicki dorasta do człowieczeństwa i do socjalizmu, i socjalizm i człowieczeństwo przetapiają się w nim najszlachetniejszym i najczystszym kruszcem. Wielu członków rodziny Krzywickiego ucieka od życia do matematyki, która jest dziedzicznym talentem rodziny, nigdy od życia nie ucieknie sam autor. Przeciwnie, wychodzi mu ciągle naprzeciw; niestrudzony, nieustępliwy, konsekwentny na obranej drodze, mimo również rozległych zainteresowań naukowych, które stanowią: historia, matematyka, nauki przyrodnicze, filozofia, antropologia, socjologia. Na łożu śmierci — wspomina Stempowski w swej przedmowie — asystującemu lekarzowi udzielał Krzywicki spostrzeżeń, co dzieje się

w jego organizmie, np. „oto teraz przestałem widzieć". — Nawet własnej śmierci nie uważał Krzywicki za ściśle osobiste doznanie, do końca był wierny zasadzie służenia innym. Życie prywatne nie istniało dla niego, albo istniało podporządkowane jego woli, od chwili gdy socjalizm zabrał go dla siebie. Przypadkowo tylko dowiadujemy się, że w okresie pobytu w Paryżu Krzywicki ma narzeczoną, ale wspomina o tym tylko dlatego, że została ona delegowana do załagodzenia konfliktu jaki nastąpił między Mendelsonem a socjal-demokratami niemieckimi. Za to galeria innych ludzi w miarę działalności Krzywickiego rozrasta się ogromnie. Ludzi wprowadzonych w swoje wspomnienia autor nie ma zwyczaju gubić. Jeśli nie wróci do nich w dalszym ciągu wspomnień, doprowadza ich dzieje odrazu do znanego mu końca. Można to uważać za wadę kompozycyjną, ale bez wątpienia te wtręty w toku wspomnień spełniają pozytywną rolę, nie pozwalają zagubić się nam w całym tłumie, który rozrasta się w miarę opowiadania: znajomych, przyjaciół, towarzyszy, kolegów. Tylko losom tych, którzy niejednokrotnie będą pojawiać się obok niego na przestrzeni czasu, pozwala autor dokonywać się dramatycznie.

Krzywicki ma dyspozycje gawędziarskie, niejednokrotnie strofuje sam siebie, np. „wybiegłem nieco w przyszłość, ale do rzeczy", ale nigdy anegdotycznie podany wypadek czy historia nie są czymś nielogicznie wklejonym w tok wspomnień, przeciwnie, obyczaj ten sprawia, że całość nie jest nużąca a wspomieniom przydaje kształtów i barwy.

Ludzie występujący obok Krzywickiego pracują, walczą, giną lub załamują się i wobec tych ostatnich Krzywicki, człowiek silny, zdyscyplinowany wykazuje ludzką wyrozumiałość. Tichomirowa, rosyjskiego emigranta we Francji, którego załamała tęsknota do kraju, który wrócił i co gorsze stał się agentem caratu, Krzywicki potępia jako towarzysz, ale wybacza mu jako człowiek. Krzywicki nie unosi się gniewem, boleje lub brzydzi się, ale nigdy nie traci człowieczego dystansu wobec ludzkich słabości. Coraz bardziej dorasta w nim dojrzała mądrość ludzka; człowieka zdecydowanego i zdyscyplinowanego w dążeniach, szlachetnego i z natury dobrego w życiu. Wspomnienia nie są przesycone, jakby się można było w tego rodzaju gatunku literackim spodziewać, liryzmem i osobą autora. Siebie samego w miarę wspomnień, wprost proporcjonalnie do roli, jaką odgrywa — dyskretnie ucisza. Wypadki, ludzie, sama sprawa, o którą walczy, występują na plan pierwszy, ale właśnie przez ich epickość, wnikliwość obserwacji i sądów wyczuwa się indywidualność Krzywickiego, spełniającego coraz większą rolę w ogólnym mechanizmie.

Pierwszy tom „Wspomnień" zarysował nam historię socjalizmu poprzez sylwetkę jego wielkiego działacza, który nigdy się nie załamał i nie wysiadł na żadnym przystanku z pędzącego pociągu.

J. C.

W ł a d y s ł a w J a n G r a b s k i. **200 miast wraca do Polski.** Poznań 1947. Wydawnictwo Zachodnie.

Autor zaczął pisać tę pożyteczną książkę już w roku 1945, bezpośrednio po wyzwoleniu Ziem Zachodnich, nic przeto dziwnego, że błądził w lesie różnych trudności, zwłaszcza nieustalonych nazw geograficznych, mógł jednak był w trakcie korekty wiele szczegółów poprawić, bo do roku 1947, w którym wyszła książka, sporo rzeczy wyjaśniono.

Niedociągnięcia pracy, rozsiane po wszystkich charakterystykach miast, dotyczą nie tylko określeń terenowych, ale i treści historycznej i różnych realiów, drobiazgowo opracowanych w książkach niemieckich, do których autor, zwłaszcza jeśli idzie o czasy nowsze, zbyt pobieżnie lub mało zaglądał.

Nie możemy tu wypisywać całego rejestru usterek i pomyłek, damy garść przykładów z poszczególnych dziedzin.

Na s. 95 pisze Grabski o klasztorze w Gryzoborze, na s. 118 o klasztorze w Grysowie (!) pod Kamienną Górą, wybudowanym 1296 przez Bolka I, a na s. 346 o klasztorze w Krzęszoborzu, ufundowanym 1290 przez tegoż Bolka, sądząc i informując, że to niby trzy różne miejscowości i różne klasztory, bo i datę założenia odmienia (w rzeczywistości 1292), a to jeden i ten sam Grüssau, dziś i po staropolsku Krzeszobór, urzędowo już od maja 1946 Krzeszów.

Odmiana: w Krzeszoborze, nie w Krzeszoborzu, w Jaworze nie Jaworzu (s. 346), bo miasto Jauer nazywa się i nazywało po polsku Jawor, nie Jaworze. Rdzennie polskiego Barda, po niemiecku Wartha autor w ogóle nie odmienia, pisząc: w Bardo, do Bardo, zamiast w Bardzie, do Barda. Bardo, znane też w Wielkopolsce, odmienia się jak Chełmno i oznacza wzgórze. Ciekawe, że powieściopisarza nie razi taka odmiana, jak np. do Bardo ściągały tłumy pielgrzymów, mieszkańcy Bardo itd. Dziwi też odmiana raz Wrocławiu (celownik, s. 149), raz Wrocławowi, poprawnie Wrocławiowi.

Niekiedy kuje Grabski nazwy własne, np. Karolinek — Charlottenbrunn, ogłoszony urzędowo już w maju 1946 jako Jedlina Zdrój. Prasa pisała od samego początku Zdrojowiec. Często zostawia nazwy niemieckie, np. Altwasser, już w roku 1945 Stary Zdrój, do Kacbacha (!) = rzeka Kocaba, do Kolfurtu = Kaławsk itd.

Jeśli Myślibórz = Soldin, to dlaczego jezioro Soldzińskie (s. 200)? Münsterberg to Ziębice, nie Ziembice, Henryków nie Henrykowo, Kamienna Góra nazywała się tak wyłącznie, nigdy Straż, co tłumaczy niemiecki Landeshut itd.

Znany pszczelarz nazywał się Dzierżon, Dzierżona i tak pisze się do dziś jego rodzina.

Z dzisiejszym podziałem administracyjnym Śląska Dolnego

mógłby autor zapoznać się choćby z mapek, zamieszczanych w dziennikach. Dzisiejsze powiaty bolkowski, grodkowski, czy szunowski (!) nie istnieją. O ostatnim autor sam pisze: Szunów (tj. Świerzawa), miasto niegdyś powiatowe, dziś w powiecie złotoryjskim. Takich niekonsekwencji jest więcej.

Miasto Boguszów nie leży ani nie leżało w powiecie kamieniogórskim, lecz wałbrzyskim itd.

Co do wyboru 200 miast, Grabski kierował się widocznie względami posiadanych materiałów, bo omawia nieraz miasta małe, np. Kąty (3600 mieszkańców, dane przedwojenne), pomijając znaczniejsze, przemysłowe i niemniej „historyczne", np. Świebodzice, 9480 mieszkańców, Pieńsk, 7300 mieszkańców (tu, jeśli nie w niemieckich, to w łużyckich źródłach znalazłby sporo materiału), Biały Kamień, 17 573 mieszkańców, Solice Zdrój, 9800 mieszkańców, bardzo stare Duszniki, 4500 mieszkańców itd. Przytoczyliśmy miasta niezniszczone, częściowo Pieńsk, gdy autor opisuje także rumowiska.

W opisach miast autor czerpał często ze źródeł starych lub z opracowań, opartych na książkach dawniejszych, w dodatku czytał niedokładnie, stąd pomyłki lub nieścisłości.

Wałbrzych np. nie leży nad rzeką Pełcznią, potok Pełcznica, po niemiecku Polsnitz płynie 8 km dalej na północ, leży na linii kolejowej Wrocław-Świebodzice-Jelenia-Góra (stąd nazwa Dworzec Świebodzki we Wrocławiu, bo kolej szła zrazu tylko do Świebodzic), której autor w ogóle nie podaje, wspominając mylnie inne linie, mające swój początek lub trasę inną. Książka jest pomyślana także jako informator turystyczny, a więc dane komunikacyjne powinny być ścisłe. Co innego legendy o miastach, w których Grabski — idąc śladem kronikarzy — lubuje się.

Zamek Kingsberg, po polsku Chojna, teraz oficjalnie Zagórze Śląskie lokuje autor „nieopodal" Wałbrzycha, łącząc go z powstaniem tego miasta, gdy w rzeczywistości zamek ten leży 10 km dalej i nie ma z Wałbrzychem nic wspólnego. I Wałbrzych ma swoje ruiny, ale nie były one „podziwiane przez turystów" i nazywały się Neuhaus.

Jeśli Boguszów miał prawa miejskie już (!) w XVII stuleciu, to kiedyż powstawały pierwsze miasta? Winno być: Boguszów otrzymał prawa miejskie dopiero w r. 1499! Hut szkła tu nie znano, kwitło za to piwowarstwo itd.

Henryk Jaworski rezydował nie we Lwowie (s. 109), lecz we Lwówku. Jelenia Góra nie ma bocznicy „na Boguszów", lecz leży przy głównym torze Wałbrzych-Boguszów-Zgorzelec, a bocznice prowadzą w Karkonosze itd. Opisując Sobótkę wpada autor w zachwyt mistyczny i kaznodziejską przesadę.

Najgorsze są bodaj etymologie. Na s. 176 czytamy: „Malborg zawiera w sobie pierwiastek zła, po łacinie malum zło, Malbork = Złogród". Ależ to Castrum Sanctae Mariae, Marienburg, w ustach

polskich Marborg, a przez rozpodobnienie Malbork jak Małgorzata z Margarety.

Nazwę Lignicy (!) wywodzi od Ligów, Ligones, co bajka, nie dowierzając staropolskiej Legnicy, po wielekroć w średniowieczu potwierdzonej. Lignicę wiąże mylnie z Ligotą i lekceważy rozprawkę Taszyckiego o Ligotach, Lgotach (Śląskie nazwy miejscowe, Katowice 1935) itd.

Z Piastowiczami śląskimi ma kłopot. Na s. 372 pisze: „łatwo nam dzisiaj obciążyć zarzutem zbrodniczej lekkomyślności książąt piastowskich za to, że dopuścili do tak silnego zadomowienia się i uprzywilejowania Niemców w swoich miastach". Sąd ten brzmi zbyt generalnie — nie wszyscy Piastowicze germanizowali swoje ziemie — nie uwzględnia ówczesnego punktu widzenia i wprowadza w zakłopotanie czytelnika, który dowiaduje się o tychże Piastowiczach na innych stronach książki rzeczy wręcz przeciwnych. Trzeba wiedzieć, że Śląsk Dolny odpadł od Polski nie tylko z przyczyn kolonizacyjnych, ale i politycznych (brakło centralnej władzy i orientacji), dynastycznych i innych. Kolonizowano też w Czechach, na Węgrzech i indziej. Skończmy raz z brązowaniem własnych słabości.

Układ materiału jest dość przypadkowy, np. malarzy śląskich omawia autor pod Świdnicą, gdy równą pretensję mogłyby wysunąć Legnica, Brzeg czy Kłodzko. Inklinacje publicystyczne i pewien mistycyzm pisarza kolidują czasem z obiektywizmem historycznym lub przesłaniają fakty mgłą baśniowości. Informator przechodzi miejscami w legendę.

Wydaje mi się, że całość wypadłaby jaśniej i bez potrzeby licznych powtórzeń, gdyby opisano miasta w grupach regionalnych: śląskiej, lubuskiej itd. w układzie alfabetycznym.

Powyższe luźne uwagi nie wyczerpują wszystkich zastrzeżeń recenzenta. Książka niedawnego laureata zasługuje jednak na to, by przed możliwym ponownym jej wydaniem poddać tekst gruntownej rewizji.

Alfons Szyperski

S P R A W O Z D A N I A

SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI WROCŁAWSKIEGO ODDZIAŁU ZWIĄZKU ZAWODOWEGO LITERATÓW POLSKICH

Wrocławski Oddział ZZLP zorganizował się dość późno, bo dopiero w maju 1947 r. Do założenia Oddziału potrzeba, jak wiadomo, 5 członków rzeczywistych, a taką liczbą Wrocław — choć typowany na centrum kulturalne Ziem Zachodnich — długi czas pochlubić się nie mógł. Gdy jednak to minimum literatów zebrało się, doszło do zorganizowania Oddziału, który wybrał zarząd w składzie: Wojciech Żukrowski, Stefan Łoś i Tadeusz Mikulski. Formalne i administracyjne czynności zajęły pierwsze tygodnie istnienia, ale już z końcem czerwca Oddział rozpoczął pracę na zewnątrz. Obok istniejących od półtora roku tzw. „czwartków literackich" Koła Miłośników Literatury i Języka Polskiego — powstały „Poniedziałki u Literatów" organizowane regularnie co dwa tygodnie, w większości wypadków zasilane specjalnie w tym celu zapraszanymi pisarzami z innych ośrodków. Program 8 odbytych (do dnia 6. X. b. r.) zebrań poniedziałkowych objął wieczory autorskie, szkice literackie i recenzje. Występowali (w kolejności chronologicznej): Anna Kowalska, Jerzy Ziomek, Hubert Drapella, Julian Lewański, Grzegorz Timofiejew, Jan Kott, Marian Promiński, Maria Dąbrowska, Wilhelm Mach, Wojciech Żukrowski i Marian Buczkowski. Probierzem celowości tych imprez może być frekwencja publiczności — podobno niejednokrotnie większa niż na analogicznych wieczorach autorskich w Łodzi czy w Krakowie.

Oddział wrocławski nie ma zamiaru na tym poprzestać. Planuje — w porozumieniu z OKZZ — wyjście z żywym słowem literackim z wrocławskiej salki odczytowej do świetlic robotniczych w mieście i na prowincji. Realizacji tego planu stoją chwilowo na przeszkodzie prace przygotowawcze do Walnego Zjazdu Literatów, który odbędzie się tu w połowie listopada.

Wokół Oddziału skupia się grupka młodych debiutantów. Największą ich troską jest to, że mogą się nazywać zaledwie grupką, a nie grupą. Jednak mimo tę niesprzyjającą okoliczność zamyślają oni o stworzeniu klubu młodych czy studia literackiego.

Między ilością członków Oddziału a jego zadaniami istnieje wielka dysproporcja. Konkluzją pierwszego kwartału pracy jest stwierdzenie potrzeby napływu pisarzy z Polski centralnej na Dolny Śląsk.

Jerzy Ziomek

DIARIUSZ KOŁA MIŁOŚNIKÓW LITERATURY I JĘZYKA POLSKIEGO WE WROCŁAWIU

od 21. listopada 1946 r. do 9. października 1947 r.

36) 21. XI. 1946 — 33-ci Wrocławski Czwartek Literacki. Wieczór autorski Mariana Piechala, Grzegorza Timofiejewa, Kazimierza Truchanowskiego. Słowo wiążące Wojciech Żukrowski.

37) 28. XI. 1946 — 34-ty Wrocławski Czwartek Literacki. 1) Konkurs Mickiewiczowski. 2) „Przegląd czasopism literackich“ — Tadeusz Nuckowski. 3) Wieczór autorski Tadeusza Zelenay'a. Autor odczytał wiersze ze zbiorów pt. „Jesień sentymentalna“ i „Zamieć“, oraz fragment powieści pt. „Drogi bez dna“.

38) 5. XII. 1946 — 35-ty Wrocławski Czwartek Literacki. 1) „Przegląd czasopism literackich“ — mgr Wanda Leopold; 2) Wieczór autorski Danuty Strzeszewskiej-Bieńkowskiej. Nowela „Operacja“ i fragment dramatu „Kradzież“.

39) 12. XII. 1946 — 36-ty Wrocławski Czwartek Literacki. 1) „Przegląd czasopism literackich“ — mgr Marian Smereka; 2) Odczyt mgr Haliny Światek Dzieduszyckiej pt. „Miłosz-Broniewski-Gałczyński“.

40) 19. XII. 1946 — 37-my Wrocławski Czwartek Literacki. 1) „Przegląd czasopism literackich“ — Danuta Strzeszewska-Bieńkowska. 2) Odczyt Anny Kowalskiej pt. „Galeria autorów brytyjskich XX wieku“.

Druga połowa grudnia 1946 r. Ukazał się 1-szy numer wydawanego przez Koło Miłośników Literatury i Języka Polskiego we Wrocławiu kwartalnika krytyczno-literackiego pt. „Zeszyty Wrocławskie“ pod redakcją Anny Kowalskiej i Tadeusza Mikulskiego w nakładzie 1000 egz., objętości 88 stron.

41) 9. I. 1947 — 38-my Wrocławski Czwartek Literacki. Odczyt mgra Mariana Smereki pt. „Wartość estetyczna epiki śląskiego poety Norberta Bończyka“.

42) 16. I. 1947 — 39-ty Wrocławski Czwartek Literacki. Wieczór autorski Anny Kowalskiej. Nowela „Czerwone rękawiczki“.

43) 23. I. 1947 — 40-ty Wrocławski Czwartek Literacki. Odczyt prof. dra Zygmunta Szweykowskiego pt. „Walka Prusa o wielkość i realizm w życiu narodu".

44) 30. I. 1947 — 41-szy Wrocławski Czwartek Literacki. 1) „Przegląd czasopism literackich" — Seweryn Maciszewski. 2) Odczyt Anny Kowalskiej.

45) 6. II. 1947 — 42-gi Wrocławski Czwartek Literacki. Odczyt prof. dra Stefana M. Kuczyńskiego pt. „Wódz Grunwaldu w literaturze i rzeczywistości historycznej".

46) 13. II. 1947 — 43-ci Wrocławski Czwartek Literacki. Odczyt dra Jerzego Pogonowskiego pt. „Milan Begović, jugosłowiański poeta miłości".

47) 20. II. 1947 — 44-ty Wrocławski Czwartek Literacki. 1) „Przegląd czasopism literackich" — mgr Marian Smereka; 2) Wieczór autorski Wilhelma Szewczyka i Jana Baranowicza.

48) 27. II. 1947 — 45-ty Wrocławski Czwartek Literacki. 1) „Leopold Staff na tle ostatniego tomu poezji" — dr Barbara Krukierek; 2) Odczyt Zdzisława Hierowskiego pt. „Dwudziestolecie poezji śląskiej".

49) 6. III. 1947 — 46-ty Wrocławski Czwartek Literacki. 1) „Przegląd czasopism literackich" — mgr Wanda Leopold; 2) Odczyt prof. dra Stanisława Kolbuszewskiego pt.: „Literatura a życie polskie w latach 1918—1939".

50) 13. III. 1947 — 47-my Wrocławski Czwartek Literacki. 1) „Przegląd czasopism literackich" — Elżbieta Miłanczówna. 2) Odczyt Jana Pierzchały pt. „Debiut poetycki Aleksandra Widery".

51) 20. III. 1947 — 48-my Wrocławski Czwartek Literacki. Wieczór autorski młodych prozaików. Udział wzięli: Romuald Cabaj, Jerzy Cieślikowski, Hubert Drapella, Tytus Karpowicz. Słowo wiążące Tadeusz Lutogniewski.

52) 27. III. 1947 — 49-ty Wrocławski Czwartek Literacki. Wieczór dyskusyjny na temat sztuki Jerzego Szaniawskiego pt. „Dwa teatry". Dyskusję zagaił prof. dr Stefan M. Kuczyński.

4. IV. 1947 — Ukazał się 2-gi numer kwartalnika krytyczno-literackiego pt. „Zeszyty Wrocław-

skie" w nakładzie 1000 egz., objętości 127 str.

53) 17. IV. 1947 — 50-ty Wrocławski Czwartek Literacki. 1) Zagajenie 50-go Czwartku Literackiego — prof. dr Tadeusz Mikulski; 2) „Dorobek kulturalny Ziem Zachodnich" — mgr Marian Smereka; 3) odczyt prof. dra Jerzego Kowalskiego pt.: „Pindar, poeta sportu i festynów".

54) 24. IV. 1947 — 51-szy Wrocławski Czwartek Literacki — 1) „Przegląd czasopism literackich" — Elżbieta Miłanczówna. 2) Odczyt prof. dra Stanisława Rosponda pt. „Język literatury XX wieku".

55) 8. V. 1947 — 52-gi Wrocławski Czwartek Literacki. Odczyt dra Witolda Kruk-Ołpińskiego pt. „Teoria Kretschmera a literatura".

56) 15. V. 1947 — 53-ci Wrocławski Czwartek Literacki. Wieczór autorski Mieczysława R. Frenkla. Fragmenty z książki pt. „I tam mój cmentarz".

57) 22. V. 1947 — 54-ty Wrocławski Czwartek Literacki. Odczyt prof. dra Zygmunta Czernego pt. „Paul Valéry jako poeta".

58) 29. V. 1947 — 55-ty Wrocławski Czwartek Literacki. Odczyt prof. dra Władysława Kuraszkiewicza pt. „Język polski w obozie koncentracyjnym".

59) 11. VI. 1947 — Akademia ku czci pisarzy czeskich i słowackich. 1) Zagajenie — („Polacy, Czesi i Wrocław") — prof. dr. Tadeusz Mikulski; 2) „Literatura zrozumienia" — prorektor Uniwersytetu Wrocławskiego prof. dr Jerzy Kowalski; 3) „Wśród swoich" — Wojciech Żukrowski.

60) 12. VI. 1947 — 56-ty Wrocławski Czwartek Literacki. „Kornowie". (Z dziejów książki polskiej we Wrocławiu) — odczyt prof. dra Tadeusza Mikulskiego.

61) 19. VI. 1947 — 57-my Wrocławski Czwartek Literacki. Wieczór autorski Wojciecha Żukrowskiego. (Fragmenty powieści pt. „Rok 1939").

62) 26. VI. 1947 — 58-my Wrocławski Czwartek Literacki. 1) „Przegląd literacki" — Aleksander L. Szuro. 2) „Twórczość naukowa a twórczość literacka" — odczyt prof. dra Mieczysława Kreutza.

63) 3. VII. 1947 — 59-ty Wrocławski Czwartek Literacki. „Fragmenty z dziejów odrodzenia Słowaczyzny 1840—1849" — prof. dr Tadeusz Stanisław Grabowski.

64) 10. VII. 1947 — 60-ty Wrocławski Czwartek Literacki. „Potop Sienkiewicza a prawda historyczna" — odczyt prof. dra Władysława Czaplińskiego.

65) 17. VII. 1947 — 61-szy Wrocławski Czwartek Literacki. „Gorzkie obrachunki". (O polskiej polityce kulturalnej) — odczyt Jana Kotta.

66) 24. VII. 1947 — 62-gi Wrocławski Czwartek Literacki. „Literatura polska w latach wojny i w chwili bieżącej" — odczyt dra Stefana Papée.

67) 31. VII. 1947 — 63-ci Wrocławski Czwartek Literacki. „O ratuszu wrocławskim" — odczyt Tadeusza Zelenay'a.

17 lipca 1947 ukazał się z druku 3-ci numer „Zeszytów Wrocławskich", w nakładzie 1000 egz., objętości 176 str.

68) 7. VIII. 1947 — 64-ty Wrocławski Czwartek Literacki. Wieczór autorski Stefana Łosia. Fragmenty „Opowieści tropikalnych" i „Wilkołaków".

69) 14. VIII. 1947 — 65-ty Wrocławski Czwartek Literacki. Odczyt asystenta Uniwersytetu Wrocławskiego Zbigniewa Gołąba pt. „O celach i metodach poznawczych humanistyki".

70) 21. VIII. 1947 — 66-ty Wrocławski Czwartek Literacki. Odczyt Stanisława Stempowskiego pt. „Gawęda o Antonie Czechowie" oraz odczytanie własnych przekładów nowel Czechowa pt. „Księga zażaleń" i „Serdeńko".

71) 28. VIII. 1947 — 67-my Wrocławski Czwartek Literacki. Odczyt prof. dra Jerzego Manteuffla „Satyra społeczna w komedii attyckiej".

72) 4. IX. 1947 — 68-my Wrocławski Czwartek Literacki. Wieczór autorski Bronisława Kamińskiego. Wiersze i proza.

73) 11. IX. 1947 — 69-ty Wrocławski Czwartek Literacki. Odczyt rektora Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych we Wrocławiu Eugeniusza Gepperta pt. „Czytanie obrazu na podstawie współczesnych zagadnień malarstwa polskiego".

74) 18. IX. 1947 — 70-ty Wrocławski Czwartek Literacki. Odczyt Wilhelma Szewczyka pt. „Niemiecka literatura współczesna".

75) 18. IX. 1947 — 71-szy Wrocławski Czwartek Literacki. Wiersze Stanisława Balińskiego z tomu „Literatura na emigracji“ — odczytała Anna Kowalska.

76) 2. X. 1947 — 72-gi Wrocławski Czwartek Literacki. 1) „Radio a kultura“ — odczyt dyrektora Rozgłośni Polskiego Radia we Wrocławiu dra Juliusza Petry'ego; 2) „O potrzebach programu radiowego“ — odczyt naczelnika Wydziału programowego Rozgłośni Polskiego Radia we Wrocławiu Tadeusza Banasia.

77) 9. X. 1947 — 73-ci Wrocławski Czwartek Literacki. Odczyt profesora Uniwersytetu Wrocławskiego dra Mariana Jakóbca pt. „Z dziejów polskiej ekspansji literackiej na Słowiańszczyznę Południową“.

Karol Heintsch

TREŚĆ ZESZYTU

REDAGUJĄ

ANNA KOWALSKA TADEUSZ MIKULSKI

WYDAJE

KOŁO MIŁOŚNIKÓW
LITERATURY I JĘZYKA POLSKIEGO

WE WROCŁAWIU, PLAC NANKIERA 7.

Z ZASIŁKU MINISTERSTWA KULTURY I SZTUKI,
FUNDUSZU KULTURY NARODOWEJ I URZĘDU WOJEWÓDZKIEGO
WE WROCŁAWIU.

SKŁAD GŁÓWNY:
KSIĘGARNIA M. ARCTA WE WROCŁAWIU.

F 9812

Drukarnia Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, ul. Ogrodowa 19.